



SEMPER FIDELIS

PL ISSN 0866-9414

LISTOPAD-GRUDZIEŃ 6 (89) 2005

PISMO TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH · WROCŁAW



Lwowskie Boże Narodzenie



*Niech radosny czas Bożego Narodzenia będzie źródłem radości i pokoju.
Niech umacnia w naszych Rodzinach wiarę, nadzieję i miłość.*

*Życzymy, aby Nowy 2006 Rok
przyniósł spełnienie wszystkich planów i marzeń
oraz dał moc nadziei w codzienności życia.*

*Redakcja „Semper Fidelis”
i Zarząd Główny TMLiKFW*

Nowi polscy święci

Święty abp Józef Bilczewski



Józef Bilczewski, ksiądz arcybiskup lwowski obrządku łacińskiego, ur. 24 IV 1860 r. w Wilamowicach, diecezja krakowska, w ubogiej rodzinie rolniczo-rzemieślniczej.

Po ukończeniu w 1880 r. szkoły średniej w Wadowicach, wstąpił do Seminarium Duchownego w Krakowie. Tu otrzymał święcenia kapłańskie 6 VII 1884 r.

Studia specjalistyczne teologiczne odbył w Wiedniu, kontynuował w Rzymie i zakończył doktoratem w 1886 r. Nadto w Wiecznym Mieście i w Paryżu poświęcał się badaniom archeologicznym.

W 1890 r. habilitował się na Uniwersytecie Jagiellońskim. W roku następnym został profesorem Uniwersytetu Lwowskiego, później zaś dziekanem Wydziału Teologicznego, a w 1900 roku rektorem tej uczelni.

17 grudnia 1900 r. został mianowany arcybiskupem lwowskim obrządku łacińskiego. Zabiegał o wysoki poziom duchowy kapłanów i wiernych. Wychował szeregi światłych księży i podniósł poziom moralny swej archidiecezji. W tym celu podejmował częste wizytacje pasterskie i wydawał bogate treścią i piękne w formie listy pasterskie. Stanowiły one prawdziwie głębokie rozprawy naukowe na aktualne tematy dotyczące życia religijnego. Systematycznie przedstawiał w nich prawdy wiary, zwalczał błędy i naświetlał zagadnienia etyczne.

Ze szczególną troską i miłością odnosił się do młodzieży. Również włączał się czynnie w pracę społeczną Kościoła. Chętnie brał udział i sam organizował związki i stowarzyszenia religijne, zawodowe i dobroczynne.

Lata I wojny światowej boleśnie uderzyły w jego archidiecezję. W tym szczególnym okresie okazał prawdziwie samarytańską postawę wobec potrzebujących. Jednak wiele owoców jego działalności zniszczyła zawierucha wojenna, ale też z nieustępliwą wytrwałością podejmował wysiłki w celu ich reaktywowania.

Zapał na złośliwą anemię i całkowicie zdany na wolę Bożą zmarł 20 III 1923 r. Według własnego życzenia pochowany został pomiędzy ubogimi na Cmentarzu Janowskim we Lwowie.

Jego głębokie życie wewnętrzne znamionowała modlitwa, praca i zaparcie się siebie. Odznaczał się na co dzień wielką dobrocią, miłością, gorliwością o zbawienie dusz, bezinteresownością i wyrozumiałością.

Zachęcał, aby „nie z ludźmi walczyć, jeno z błędami”, aby „Panu Bogu dawać zawsze pierwsze miejsce w naszej myśli i sercu! Nie tracić Go nigdy z oczu”. Jak prawdziwy uczony zaznaczał, że „nic bardziej religii nie szkodzi, jak powierzchowna jej znajomość”.

A był uczonym wysokiej klasy o międzynarodowej sławie. Ideą przewodnią jego badań archeologicznych było stwierdzenie tożsamości wiary i struktury nowożytnego Kościoła z Kościołem katakumb. Życiem swoim i przekonaniem potwierdzał prawdę, że głęboka wiedza jest pomocą do osiągnięcia świętości.

Rozpoczęty 17 IV 1959 r. proces informacyjny, przesłany został do Rzymu i urzędowo otwarty 23 II 1963 r. Zbieranie pism księdza arcybiskupa Bilczewskiego, ich ocenę i tłumaczenie ukończono w maju 1986 r.

Uroczystości beatyfikacji dokonał papież Jan Paweł II we Lwowie 26 czerwca 2001 r.

Święty ks. Zygmunt Gorazdowski



Ks. Zygmunt Gorazdowski urodził się w Sanoku 1 listopada 1845 roku. Od dzieciństwa ciężko chorował na nieuleczalną wówczas gruźlicę. Po ukończeniu gimnazjum w Przemyślu podjął studia prawnicze na Uniwersytecie we Lwowie, które przerwał na drugim roku wstępując do Seminarium Duchownego we Lwowie. Po ukoń-

czeniu teologii, ze względu na gwałtowne nasilenie się choroby płuc i niebezpieczeństwo utraty życia, dopiero po dwuletnim intensywnym leczeniu otrzymał święcenia kapłańskie 25 lipca 1871 roku w Katedrze Lwowskiej.

Już na pierwszych placówkach pracy duszpasterskiej dał się poznać jako człowiek mający wyjątkowy charyzmat kapłańskiej i charytatywnej służby. Tak np. w czasie szalejącej w Wojniłowie epidemii cholery, z zupełnym zapomnieniem o sobie spieszył chorym z pomocą, a zmarłych własnymi rękami wkładał do trumny.

Od 1877 roku rozpoczął niezwykle działalność kapłańską i dobroczynną we Lwowie. Najdłużej, bo ok. 40 lat pracował tu w parafii św. Mikołaja. Będąc człowiekiem głębokiej modlitwy, z niezwykłą żarliwością duszpasterską i apostołską podejmował wciąż nowe inicjatywy, a nadzwyczajna wrażliwość na ludzkie cierpienie przynaglała go do konkretnych działań. W tym czasie jako wikary, administrator, a potem proboszcz podjął w wielu szkołach pracę katechetyczną. Również angażował się w pracę wydawniczą i redaktorską. Wydał kilka edycji opracowanego przez siebie Katechizmu, katolickie Zasady i przepisy dobrego wychowania dla rodziców i wychowawców, Rady dla młodzieży, artykuły. Założył też Towarzystwo Bonus Pastor wspomagające pracę kapłanów. Zainicjował czy wprost ufundował we Lwowie szereg dzieł chrześcijańskiego miłosierdzia takich jak: Dom pracy dobrowolnej dla żebraków, tanią Kuchnię Ludową, Zakład dla nieuleczalnie chorych i rekonwalescentów, Internat dla ubogich studentów Seminarium Nauczycielskiego, Zakład Dzieciątka Jezus dla samotnych matek i porzuconych niemowląt, katolicką, polsko-niemiecką Szkołę św. Józefa.

Żarliwość kapłańska i heroiczna miłość do bliźnich, zwłaszcza ubogich i cierpiących sprawiła, że Święty Zygmunt do prowadzenia powyższych dzieł powołał dnia 17 lutego 1884 roku zakonne Zgromadzenie Sióstr Świętego Józefa. Zgromadzenie to idąc ściśle po linii charyzmatu swego Założyciela prowadzi szereg zakładów wychowawczych, angażuje się w pracę katechetyczną i oświatową. Siostry podejmują służbę wśród chorych, cierpiących, ubogich różnorodnym rodzajem ubóstwa. Swoją działalność Zgromadzenie prowadzi w Polsce, Niemczech, Francji, Włoszech, na Ukrainie oraz na misjach w Afryce i Ameryce Płd.

Proces beatyfikacyjny ks. Zygmunta Gorazdowskiego rozpoczął się w Archidiecezji Lwowskiej dnia 29 czerwca 1989 roku.

Dnia 26 czerwca 2001 roku Ojciec Święty Jan Paweł II dokonał we Lwowie beatyfikacji Księdza Zygmunta.

Udając się do szpitala w lutym br. Jan Paweł II zdążył podpisać dekret o kanonizacji obu lwowskich duchownych.

23 października br. papież Benedykt XVI, podczas mszy na placu Świętego Piotra w Rzymie z udziałem 30 tys. wiernych, ogłosił pięciu nowych świętych. Są wśród nich dwaj polscy duchowni: arcybiskup Józef Bilczewski i ksiądz Zygmunt Gorazdowski ze Lwowa. W swej homilii papież podkreślił, że nowi święci, dzięki swemu oddaniu Bogu i pokornej służbie Kościołowi, to wzory do naśladowania dla wszystkich wierzących.

Niedzielną kanonizacja była pierwszą, jakiej dokonał następca Jana Pawła II. Uroczystość zakończyła obrady synodu biskupów na temat Eucharystii.

Przybyli na nią liczni przedstawiciele Episkopatu Polski na czele z prymasem Józefem Glempem, kard. Henrykiem Gulbinowiczem, kard. Franciszkiem Macharskim, abp. Stanisławem Dziwiszem z Krakowa i metropolitą gnieźnieńskim abp. Henrykiem Muszyńskim. Było także około tysiąca pielgrzymów z południowej Polski, skąd pochodzili dwaj nowi święci oraz licząca 85 osób grupa wiernych ze Lwowa z metropolitą tego miasta – kard. Marianem Jaworskim.

Radujemy się z wyniesienia polskich duchownych ze Lwowa do Chwały Ołtarzy. □

Danuta Śliwińska

Wigilia – „Święty Wieczór, Dobry Wieczór”

Ostatni miesiąc w roku – grudzień. To szczególnie miesiąc oczekiwania, spokoju, zadumy. A w grudniu jest taki dzień, jeden, jedyny i niepowtarzalny w całym roku. Dzień, na który wszyscy czekają – jak świat długi i szeroki – z radością, wzruszeniem i dziwną przejmującą tęsknotą. Czekają na dzień narodzenia Bożego Dzieciątka.

Święta Bożego Narodzenia – to najbardziej rodzinne spotkanie w roku, ma szczególne znaczenie w polskiej tradycji. Niezmiennie od lat nastrój świąt dosięga każdego, choćby obchodził je w sobie tylko właściwy sposób.





Jednak najczęściej jest to nasz powrót do pełnych uroku zwyczajów i obyczajów wyniesionych z domów rodzinnych we wspomnieniach, z których najbardziej wzruszającym momentem było i jest dzielenie się opłatkiem oraz składanie sobie najlepszych życzeń. Właśnie te życzenia, sianko pod białym obrusem, śpiewanie kolęd, nakrycie dla niespodziewanego gościa, Pasterka – to tradycja pełna wzajemnej życzliwości i rodzinnego ciepła, która trwa od setek lat. Nie wyobrażamy sobie, żeby mogło być inaczej.

Wigilia – magiczny wieczór, czas przebaczenia, rodzinnej atmosfery, dobrych smaków pozostaje na całe życie. Od wieków z tym dniem wiązały się różne obyczaje i wróżby. O wielu niestety – zabiegani i obarczeni codziennymi obowiązkami – zapomnieliśmy. Z każdym rokiem coraz bardziej ubożają nam najpiękniejsze w polskiej tradycji święta. Nie możemy dopuścić, aby te tradycje zupełnie zaginęły. Zachowajmy przynajmniej te, które wzbogacają nasze przeżycia, spajają rodziny, zbliżają do innych ludzi.

Rodacy – we Wrocławiu, Warszawie, Krakowie, Lublinie, Szczecinku czy Węglińcu, a także we Lwowie, Stanisławowie, Drohobycz, Obertynie czy Żytomierzu i wszędzie tam, gdzie są Polacy – starajmy się utrzymać nasze zwyczaje znane i pamiętane z domów rodziców, dziadków i ich opowieści o tym „jak było jak oni byli jeszcze dziećmi”. I to przekazujemy dzieciom, wnukom.

Okres Bożego Narodzenia – to czas przyjaźni i składania życzeń, a Nowego Roku – to czas nadziei na ich spełnienie.

W ten najpiękniejszy dzień w roku myślą połączymy się z Rodakami rozsiadającymi po całym świecie, zwłaszcza mieszkającymi za wschodnią granicą i w tym szczególnym czasie życzymy, aby nadchodzące święta upłynęły w spokojnej, radosnej atmosferze, Nowy 2006 Rok przyniósł spełnienie wszelkich oczekiwań, a Gwiazda Betlejemka, która od wieków jest symbolem Bożego Narodzenia – wskazała drogę do lepszego jutra. W czasie wigilii i świąt nie może zabraknąć tradycyjnych potraw, których przepisy przekazywane są z mamy na córkę, razem z dobrymi radami babuni.

Tym razem pragnę Państwu przekazać przepisy na potrawy wigilijne prosto z Karpat Wschodnich, które otrzymałam od wielopokoleniowej huculskiej rodziny, mieszkającej w Worochcie. Są podobne do naszych, niektóre mają inne składniki. Miałam okazję i część potraw wypróbowałam. Są wysmienite, polecam.

A oto jak wygląda w Karpatach zestaw dań – na ten najpiękniejszy dzień w roku, jak Huculi mówią – na „Święty Wieczór. Dobry Wieczór”.

1. Rolmopsy śledziowe

Na przystawkę (w środku z marynowaną cebulą i marchwią), w oleju, zalane marynatą. Przepis jak u nas.

2. Szary barszcz z uszkami z grzybów

Barszcz

Składniki:

1 kg buraków, 1 cebula, szklanka perłowej fasolki, 1 łyżka oliwy, 1 łyżka maki, 10 dkg suszonych grzybów, kwas buraczany, sól, cukier, liść laurowy, czarny pieprz.

Przygotowanie:

Osobno gotujemy buraki, grzyby, fasolkę. Wywary buraczany i grzybowy łączymy. Miękkie buraki i grzyby pokrojone w słomkę wrzucamy do wywaru, wkładamy zgotowaną fasolkę, wlewamy kwas buraczany do smaku, dodajemy cebulkę lekko usmażoną, drobno pokrojoną i zasmażkę z maki na oliwie. Całość doprawiamy solą, cukrem i pieprzem.

Uszka z grzybów

Wg. naszego przepisu, jest taki sam.

3. Ryba smażona z orzechami

Składniki:

1 kg ryby (karp, pstrąg, jesiotr), 20 dkg oliwy, 30 dkg maki lub bułki tartej, 20 dkg mielonych orzechów włoskich, 2-3 ząbki czosnku, sól, cytryna, pieprz ewentualnie inne zioła wg. smaku.

Przygotowanie:

Oczyszczoną rybę dzielimy na porcje, nacieramy czosnkiem, solimy, pieprzymy i na 2 godziny pozostawiamy w lodówce. Po wyjęciu osuszamy i po obtoczeniu w mące smażymy na oliwie na złoty kolor. Po położeniu na półmisek skrapiamy sokiem z cytryny i suto posypujemy zmielonymi orzechami.

4. Pierogi z:

a) fasolą i grzybami, b) śledziami, c) makiem

Ciasto zwyczajne na pierogi.

Farsze:

a) Fasola i grzyby

Składniki:

Szklanka fasoli, 5 dkg suszonych grzybów, cebula, oliwa, sól, pieprz.

Przygotowanie:

Zgotowaną fasolkę i zgotowane grzyby mielimy w maszynce do mięsa, na oliwie smażymy cebulę i dodajemy do farszu. Całość doprawiamy do smaku solą i pieprzem, ewentualnie ziołami.

b) Śledzie

Składniki:

30 dkg marynowanych filetów śledziowych, 2 cebule, 10 dkg oliwy, 2-3 łyżki bułki tartej, sól, zioła.

Przygotowanie:

Śledzie przepuszczamy przez maszynkę do mięsa, dodajemy uduszoną cebulkę, bułkę tartą, ewentualnie sól i zioła.

c) Mak

Składniki:

Szklanka maku, 10 dkg cukru, 1-2 łyżek bułki tartej, surowe białko.

Przygotowanie:

Mak parzymy, gotujemy – tak jak na kutię i albo ucieramy w makutrze, albo przepuszczamy przez maszynkę, dodajemy rozpuszczony cukier, bułkę tartą i białko.

Po ugotowaniu wszystkie pierogi polewamy masłem, a z makiem dodatkowo słodką śmietanką.

5. Gołąbki z:

a) tartymi ziemniakami, b) kaszą jaglaną

1 główka kapusty, liście przygotowujemy zwyczajnie.

Farsze:

a) Tarte ziemniaki:

Składniki:

1 kg ziemniaków, 2-3 cebule, 20 dkg oliwy, sól, pieprz.

Przygotowanie:

Ziemniaki ucieramy na drobnej tarce, odlewamy sok, dodajemy uduszoną cebulkę, sól, pieprz i zawijamy w listki kapusty. Po zagotowaniu – zapiekamy w piekarniku.

b) Kasza jaglana:

Składniki:

2-3 szklanek kaszy jaglanej, 2-3 cebule, 2 łyżki mąki, 20 dkg oliwy, sól, pieprz.

Przygotowanie:

Kaszę jaglaną zalewamy wrzącą wodą i gotujemy na małym ogniu prawie do miękkości. Odciedzamy, dodajemy usmażoną cebulkę, mąkę, sól i pieprz. Mieszmamy i zawijamy w listki kapusty.

6. Sos grzybowy

(może być do pierogów i gołąbków)

Składniki:

10 dkg suszonych grzybów, 10 dkg mąki, 1 cebula, 2 łyżki mąki, 10 dkg oliwy, sól, 2 ząbki czosnku.

Przygotowanie:

Upřednio namoczone grzyby gotujemy do miękkości, kroimy w paski i wkładamy do wywaru, dodajemy uduszoną cebulkę, zasmażkę z 2 łyżek mąki, 10 dkg mąki rozcieńczonej wywarem. Dodajemy sól do smaku i zmiażdżony czosnek. Sos powinien być gęsty.

7. Fasola z grzybami

Składniki:

30 dkg fasolki perłowej, 5 dkg suszonych grzybów, 2 cebule, 2 łyżki mąki, 2 łyżki oliwy, sól, 2 ząbki czosnku.

Przygotowanie:

Namoczoną upřednio fasolę gotujemy do miękkości, grzyby również namoczone osobno gotujemy – jak miękkie – kroimy w paseczki i dodajemy do fasoli, do tego wkładamy usmażoną na złoty kolor cebulkę, mieszamy, doprawiamy solą i czosnkiem.

8. Sałatka buraczana

Sałatki z buraków na Podkarpaciu i w Karpatach robią różne – z czarnymi śliwkami, z fasolką, z orzechami – ale ta prawdziwa na wigilię jest z marynowanymi grzybkami.

Składniki:

50 dkg buraków, 25 dkg marynowanych grzybków (najlepiej opieńków), 10 dkg cebuli, 2 łyżki mąki, 5 dkg oliwy, czarny pieprz, sól.

Przygotowanie:

Zgotowane buraki kroimy w paski, grzybki marynowane również w paski, dodajemy usmażoną na złoty kolor cebulkę, zaprawioną mąką. Wszystko mieszamy. Doprawiamy solą, pieprzem i ewentualnie marynatą z grzybów.



9. Sałatka grzybowa

Składniki:

1 kg ziemniaków, 10 dkg suszonych grzybów, cebula, 20 dkg marchwi, 20 dkg fasolki perłowej, 2 łyżki mąki, 5 dkg oliwy, sól, liść laurowy, pieprz, 2 ząbki czosnku.

Przygotowanie:

Ziemniaki, suszone grzyby upřednio namoczone, marchewkę, fasolkę namoczoną – osobno gotujemy, ziemniaki z liściem laurowym. Ugotowane ziemniaki kroimy w plastry, dodajemy fasolkę, pokrojone w paski marchewkę i grzybki, usmażoną na oliwie cebulkę, rozprowadzoną mąkę z wywarem grzybowym, upřednio podsmażoną razem z cebulką. Wszystko mieszamy. Doprawiamy solą, pieprzem i zmiażdżonym czosnkiem.

10. Kompot z suszu

Przygotowywany jak u nas.

11. Kutia

Przepis podobny do naszego.

12. Pampuchy

Składniki:

50 dkg mąki, 5 dkg cukru, 5 dkg drożdży, 5 dkg oliwy, laska wanilii, cukier puder, olej do smażenia.

Przygotowanie:

Drożdże rozprowadzamy małą ilością ciepłej wody z cukrem (5 dkg). Dodajemy przesianą mąkę, oliwę, utłuczoną w moździerzu wanilię. Ciasto wyrabiamy i odstawiamy na 2 godziny w ciepłe miejsce, żeby podrosło. Ręce smarujemy olejem, wyrabiamy małe kulki i smażyemy z obu stron w głębokim oleju (podobnie jak pączki). Po wyjęciu posypujemy cukrem pudrem. Do stołu podajemy ciepłe.

Na zakończenie przypomnę WIGILIJNY WIERSZ
Jerzego Masióra:

*W snach powrotów tam na Kresy, pod Zamek,
Niech nam Gwiazda znów zaświeci ta sama,
Betlejemka, ale stamtąd, podniebna,
Ta co zawsze, ta najbardziej potrzebna.*

*Śnieżnej bieli w Łyczakowskim nam trzeba,
Skolatanę nasze lwowskie kolebać,
I wśród Miasta, chociaż śniegu nawiało,
Tak pozostać, jakby nic się nie stało –*

*W naszych domach rozdzwonionych kołędą,
Gdy serdeczni do Wieczerzy zasięda,
Gdy nam łza się wigilijna zakręci,
Nigdy więcej tej pięknej pamięci.*

*Nigdy więcej, niech jak dotąd – nie będzie,
Zaufajmy Łyczakowskiej kołodzie,
Zaufajmy Świętej Nocy nad Lwowem,
Niech się spełni, co snem było i słowem.*



Remigiusz Węgrzynowicz

„Dulce et decorum est pro patria mori...”

Sentencja Horacego („słodko i zaszczytnie jest umrzeć za ojczyznę”) był mottem nie tylko Rzymian antycznych, ale również naszych bohaterów narodowych szczególnie w XIX i XX wieku. Była kanwą patriotyzmu wyrosłego na romantyzmie w walkach „za naszą i waszą wolność”. Jaka siła oddziaływania była w pieśniach legionowych i międzywojennych? „Nasze morze... mamy rozkaz cię utrzymać albo na dnie twoim leć.” Jakim tragizmem i zadumą napędlają sentencje na cmentarzu bohaterów, że „wolność krzyżami się mierzy”? Rangę obchodów rocznicowych Powstania Warszawskiego często zawężamy marginalizując lub pomijając wyprzedzające działania AK na Kresach Wschodnich RP, które ściśle związane są z powstaniem (Akcja „Burza” – Wołyń, Wileńczyzna, Białostockie i Małopolska Wschodnia ze Lwowem).

Znaczenie walk AK – największej armii podziemnej w drugiej wojnie światowej, zakończonych bohaterskim epilogiem w stolicy – jako całość posiada inny wymiar historyczny (Dla jasności, wolny jestem od szowinizmów kresowych. Mój stosunek emocjonalny do powstania jako żołnierza wrzesnia jest głęboki i ponadto osobisty. Zdjęcie brata z kolegami w szturmie na „PASTĘ” jest już zwyczajowo eksponowane przy okazjach przez TVP). Fragmentaryczne ujmowanie zdarzeń (w tym przypadku) jest mniej czytelne dla młodszych pokoleń i innych narodów. Potrzeba przypomnienia, że Polacy byli obecni na Kresach i walczyli o swoje historyczne ziemie równie jak o stolicę posiada niemałe znaczenie w zachowaniu prawdy historycznej, wobec jeszcze stałego zakłamywania jej przez zaślepionych nacjonalistów wschodnich.

Trudno przewidzieć jakie znaczenie te prawdy będą posiadały dla przyszłych pokoleń. Jak uczy historia prawdy przypominane sprzed wieków posiadają niemałe

znaczenie w stosunkach międzynarodowych! (Na wschodzie obiektywni, postępowi, odważni intelektualiści przyznają, że podział terytorialny tych ziem powinien być zgodny z prawdą historyczną, niespreparowaną przez reżim sowiecki, a później wykorzystywany przez nacjonalistów!)

Ścisły związek losów Powstania Warszawskiego z klęską AK na Kresach rzuca światło na ówczesną sytuację polityczną. Pogwałcenie praw międzynarodowych (w Jalcie) przez sojuszników, pozbawiając prawa udziału w dyskusji dotyczącej podziału terytorialnego państw uczestniczących w wojnie, rozwinęło lawinę tragedii narodów zniewolonych. Decyzja trzech „mocarzy” w zamian konferencji pokojowej podzieliła świat na strefy wpływów i spowodowała nieobliczalne straty i ofiary ludzkie oraz zarzewia konfliktów niekończących się przez ponad pół wieku.

Historia nauki przypomina o eliminowaniu chaosu deterministycznego, w którym obowiązują prawa przyczynowe. Uporządkowanym procesom po wyjściu z chaosu w kosmosie zawdzięczamy istnienie świata i życia. W świetle powyższego rodzi się pytanie, czy niestabilne, chaotyczne układy społeczne po ostatniej wojnie światowej możemy porządkować minimalizując ofiary życia bez bohaterstwa? Czy na obecnym poziomie cywilizacyjnym ekspansjonizm terytorialny (zjawisko powszechne w przyrodzie) o życiodajną przestrzeń dla wzrastającej liczby ludności musi byćznaczony mogiłami bohaterów?

Czy mogiły bohaterów naszych rozsiane po całym świecie (powstańców listopadowych i styczniowych, kościuszkowskich i tych „straceńców spod Samosierry”, i legionistów „cudu nad Wisłą”, i Orląt Lwowskich (1918), i drugiej obrony Lwowa (1939), Westerplatte, Warszawy (1939), i tych, którym honor klęski nie pozwolił żyć –

skłonił do samobójstwa (m.in. płk gen. Dąbek), i tych spod Narwiku, Monte Cassino, Lenino, Wilna i Lwowa (1944), i tych bohaterów Powstania Warszawskiego i getta...) nie są wystarczającym memento, że krzyże znaczące drogę do wolności powinny obecnie zastąpić formy porozumienia zgodne z poziomem intelektualnym narodów?

Walki o wolność okupione krwią zasługują na najwyższy szacunek i pamięć. Obchody rocznicowe są memento dla pokoleń – nośnikiem pamięci narodowej. Odwiedzane miejsca uświęcone krwią wywołują największe emocje wśród uczestników tych walk (dzisiaj już kombatantów), którzy przeżyli trudy, cierpienia, strach, tęsknotę i lzy radości w tym miejscu. Mniejsze emocje przeżywają ci, którzy znają zdarzenia z pośrednich informacji. Najmniejsze emocje przeżywa pokolenie „powojenne”. Dla nich to tylko zdarzenia historyczne.

Z upływem czasu zgodnie z naturą ludzką tracą siłę emocjonalną zdarzenia odległe wobec aktualnych. Nie udźwignęlibyśmy bagażu historii narodu ani własnego życia, gdyby pojemność jego z upływem czasu nie topniała. Bohaterska śmierć przestała być drogą do wolności. Technika XXI wieku coraz bardziej wyręcza siłę fizyczną człowieka, a szczególnie okrutną walkę wręcz. Wyjątkiem jest terroryzm samobójców! Wolność prze staje się „mierzyć krzyżami”. Intelpekt nakazuje w konfliktach oszczędzać życie. Tylko żywi mogą budować Ojczyznę. Pogarda życia pozostała jako niebezpieczny relikwitu przeszłości i jeszcze niestety w umysłach chorych, nie zrównoważonych fanatyków niektórych ideologii.

Idea oszczędzania życia ludzkiego podczas wojny zauważalna już była w krajach zachodniej Europy w czasie pierwszej, a później drugiej wojny światowej. W armiach zachodnich oszczędzano wówczas nieporównywalnie więcej ludzi (których zastąpiła technika) w stosunku do krajów wschodniej Europy.

Ustroje totalitarne przyjęły zasadę siłowej metody rozwiązywania konfliktów, nie licząc się z życiem ludz kim zarówno we własnym kraju jak i obcym.

Zwycięstwo intelektu polskiego wywiadu połączone go z nieprzeciętną intuicją Piłsudskiego w bitwie zwanej „cudem nad Wisłą” pozwoliło przy nieporównywalnie mniejszych siłach i stratach ludzkich odnieść zwycięstwo. Ocena tego zwycięstwa jeszcze obecnie przez wielu historyków nie została właściwie zinterpretowana. Nie doceniono w pełni skutków dla narodów Europy zachodniej, jakie wywołałby niepowstrzymany przez Polaków marsz armii bolszewickiej na zachód...

Zwycięstwo Polaków przypisują (znany historyk amerykański Pipes) pomyłce Lenina i Tuchaczewskiego. Niewątpliwie zaślepiona zwycięstwami wiara woda rewolucji w siłę przewagi liczebnej przegrała w konfrontacji z intelektem polskim. Trudno byłoby ich posądzić o brak informacji o sytuacji na froncie.

Jak podaje Grzegorz Nowik „orężem polskiego intelektu, który przekreślił bolszewickie zamiary eksportu rewolucji był polski wywiad radiowy – kryptoanalityków”!!

Należy żałować, że intelekt polskiego wywiadu – jednego z najlepszych na świecie w drugiej wojnie światowej! (kryptoanalitycy – Enigma...) – nie został podobnie jak w pierwszej, wykorzystany w sposób właściwy przez Polaków – oszczędzając ofiar.

Dzisiaj wiemy (a wówczas zapewne wywiad nasz, rząd i dowództwo wojskowe), że szanse Polski w drugiej wojnie światowej oparte wyłącznie na sukcesach militar-

nych były niewielkie. Niewykorzystano na drodze dyplomatycznej jednego z najlepszych wówczas potencjału wywiadowczego w kształtowaniu skutecznym opinii światowej o niebezpieczeństwie totalitaryzmu sowieckiego równego, a może większego jak niemiecki.

Druga wojna światowa przypominała cywilizacji zachodniej o podstępny prymitywizm, okrucieństwie i pogardzie życia, z którego narody wschodu jeszcze nie wyszły. Mordowanie jeńców, jak również własnych żołnierzy powracających z niewoli, było żalosnym tego świadectwem. Życie żołnierza nie przedstawiało wartości. Sukcesy na frontach wschodnich odnoszono kosztem gigantycznych ofiar. Przewaga liczebna „żywej masy” ludzkiej przeciwstawiana była (pod przymusem KGB) przewadze technicznej przeciwnika, którego zasoby w końcu wyczerpywały się.

Niestety, doktryna amerykańska „taniej wojny” – cudzymi rękami – była fatalna dla Polski. Bohaterstwo i odwaga Polaków od pierwszych do ostatnich dni drugiej wojny światowej nie były w stanie wpłynąć na ewolucję opinii światowej. Pozostał długi okres ewolucji powojennej, w której intelekt polski (po 50 latach!) zabłysnął „Solidarnością” i był skuteczny!!! „Ruszył bryłę z posad świata.” Ten niepodważalny sukces intelektu polskiego, który zwalczył nie tylko przewagę fizyczną, ale również intelekt wschodu, obecnie, jak każde zwycięstwo, ma coraz więcej Ojców!

Piękna idea romantyzmu, która była inspiracją bohaterstwa (z ofiarą krwi) naszych przodków, uległa skutecznej intelektualnej metamorfozie. Dwie wojny światowe w XX wieku wykazały, że świadomość wartości życia wzrasta wraz z rozwojem cywilizacyjnym.

Niestety, tempo rozwoju cywilizacyjnego i wzrostu świadomości społecznej nie jest jednakowe wśród wszystkich mieszkańców naszej ziemi. Różnice poziomów są odczuwalne szczególnie na styku kultur i cywilizacji w tzw. „strefach buforowych” (w jakim znajduje się nasz kraj) przy nieporównywalnie łatwych obecnie kontaktach międzyludzkich.

Próby izolacji społeczeństwa zniewolonego w ustrojach totalitarnych lub pozornie zmieniających oblicze są coraz trudniejsze. Lęk rządzących tam przed wzrostem świadomości społecznej jest ewidentny. Wystarczyła nauka w Polsce, która doprowadziła do rozpadu „bloku wschodniego”, aby nie dopuścić do wizyty w Rosji Wielkiego Duchem Kapłana – współkonstruktora tego rozpadu, na którego zamach wysoce wyspecjalizowanej w tym zakresie organizacji KGB nie powiódł się!

Dzisiaj uzbrojeni w doświadczenia historii powinniśmy patriotyzm nasz manifestować gorącym sercem, ale chłodnym zrównoważonym analitycznym umysłem. Przypominać o historii Powstania Warszawskiego w pełnym wymiarze – łącznie z klęską akcji „Burza” – na całym obszarze kraju. Przypominać, że granice nasze historyczne, za które Polacy oddawali życie, sięgają znacznie dalej niż ustalił Stalin.

Intelekt polski w 1918 roku nad Wisłą zwyciężył intelekt euroazjatycki dysponujący przeważającą siłą fizyczną. W latach 1939-1945 intelekt polski poniósł niepowetowane straty – najcenniejszej substancji narodu.

Nieuwzględnienie przyczyn klęski AK na Kresach poprzedzającej powstanie przesądziło o jego losach. AK – największa armia podziemna (w drugiej wojnie światowej) miała szanse sukcesu tylko w porozumieniu z przeważającą wówczas na naszej ziemi siłą „sojusznika”, który decydował również o losach Powstania War-

szawskiego. Likwidacja AK na Kresach przez „sojusznika” na kilkadziesiąt dni przed wybuchem Powstania Warszawskiego była wskaźnikiem, że era bohaterów – „Kolumbów” o gorących umysłach i szlachetnych sercach – minęła. Nadszedł czas odwetu „wschodu” przy akceptacji „zachodu”. Nie było szans na powodzenie.

Wspaniały czyn bohaterski pozostawił pamięć i mogiły otaczane czią. Odeszli przedwcześnie, nie wzbogacili intelektem cennej substancji narodu, z której powstała po latach zniewolenia wolna Polska. Naród poniósł większe straty niż było konieczne w sytuacjach, w których intelekt zachodnich cywilizacji uległ również euroazjatyckiemu prymitywizmowi gwałcącemu wszelkie prawa i normy etyczne.

Rozważając zdarzenia sprzed pół wieku widzimy jak piękne hasło, na których wyrosło nasze pokolenie – „mierz siły na zamiary, nie zamiar wedle sił” – straciło już wówczas na aktualności. Opanowane przez AK miasta (Warszawa, Wilno, Lwów) miałyby szanse w pierwszej wojnie światowej, kiedy koń był dla wojska podstawowym środkiem przemieszczania, a „duch bohaterski” przy ówczesnej technice często decydował o zwycięstwie. Wówczas jeszcze trochę przestrzegano prawa międzynarodowe. Konflikt światowy zakończył się wówczas konferencją pokojową państw uczestniczących w wojnie. Ona decydowała o kształcie granic państwowych. W roku 1944 potężny front armii sowieckiej – sojuszniczek (?) doposażonej (przez aliantów) w sprzęt techniczny m.in. szybkie środki transportu – nie stwarzał szans na zachowanie zdobytych przez AK miast w sytuacji, kiedy „sojusznik” nie chciał pertraktować z legalnym rządem. Stworzył własny uległy rząd z całą bezwzględnością dokonując pacyfikacji naszych sił zbrojnych AK. Przelewająca się przez kraj Armia Czerwona nie potrzebowała współnika. Przy akceptacji Zachodu sama decydowała o losach ludności na obszarach opanowanych. Szansa zdobycia niepodległości oddaliła się do następnych pokoleń. Oszczędność życia – najcenniejszej substancji narodu – nakazywał rozważny intelekt.

Szlachetne bohaterstwo na froncie wobec wielokrotnie przeważającej siły wroga okazało się przeżytkiem. Pojęły to narody, które nie przyjmowały ciężaru wojny ponad własne siły, oszczędzając człowieka – najcenniejszą substancję narodową – a także dorobek kultury. Żadna stolica europejska nie została tak zniszczona. Żadna armia nie poniosła tak znacznych strat elity kadrowej jak Polska.

Polski intelekt wywiadowczy tak wspaniale wykorzystany przez dowództwo polskie w pierwszej wojnie światowej, w drugiej wykorzystywany przez aliantów, niedoceniony był przez Polaków. Dowództwo naczelne WP dysponując informacją wywiadowczą o sytuacji politycznej i militarnej na froncie wschodnim wydało rozkaz rozpoczęcia akcji „Burza” i Powstania Warszawskiego. Był to akt determinacji bez najmniejszych szans powodzenia. Cena jaką zapłaciliśmy była bardzo wysoka!

Z głębokim szacunkiem dla bohaterów powstania, lepiej dla kraju było zachować życie i służyć intelektem niż pozostałym przy życiu zniczami rozświetlać krzyże na mogiłach poległych.

Intelekt wspaniałego Polaka, który w latach osiemdziesiątych odegrał wybitną rolę (może decydującą?) w zwycięstwie nad komunizmem nie został przez Polaków doceniony, należyście uhonorowany i wykorzystany dla kraju na forum międzynarodowym. Historia pułkow-

nika Kuklińskiego, który dostarczał informacje dla USA tak decydujące, że po raz pierwszy dowództwo sowieckie zrozumiało, że wojna z Zachodem doprowadzi ich do klęski!

Sycąc się zwycięstwem przywódcy Solidarności nie pamiętali (a może obawiali się?) o cichym bohaterze, któremu zawdzięczamy tak wiele (a może najwięcej?). Jego żelazna dyspozycja psychiczna i odwaga (narażająca nie tylko Jego, ale również najbliższych na najcięższe tortury) jest godna najwyższego uznania i szacunku. Niestety bohater zapłacił najwyższą cenę (stratę dwóch synów!!). Nikt nie zdobył się na należne uhonorowanie (nawet nadanie stopnia generała) również po śmierci!

Z głębokim szacunkiem dla bohaterów minionej wojny, wolelibyśmy zamiast stawiać krzyże na ich grobach, korzystać z ich intelektu.

Złożona sytuacja na świecie nie omija naszego kraju. Intelekt naszych przywódców politycznych nie błyszczy. Nie potrafimy odnaleźć się w polityce krajowej i międzynarodowej. Sytuację polityczną komplikują różnice mentalności ludzi Wschodu i Zachodu. Kompleksy byłej wiekomocarstwowej Rosji po klęskach intelektualnych zadanych jej przez „karła kapitalistycznego” – Polskę (za wyprawę moskiewską, „cud nad Wisłą”, nieudany zamach na Papieża, jednego z konstruktorów rozkładu komunizmu, skuteczny cios Polaka (Kuklińskiego) w wywiad KGB, zwycięstwo Solidarności mimo przewagi wroga, zapoczątkowanie rozpadu imperium!, wsparcie Ukrainy w próbie demokratyzacji, umocnienie militarne Polski w NATO i Unii Europejskiej), zostały zakodowane w prymitywnej mentalności, korzystającej z odwetu przy każdej okazji m.in.: aneksja Kresów 1939, deportacje bezbronnej ludności, morderstwa w więzieniach, zbrodnia katyńska, rozgromienie AK – niedopuszczenie polskiej i alianckiej pomocy walczącej Warszawie, eksploatacja naszego kraju przez pół wieku – epopeja PRL..., ignorowanie nas w obchodach zwycięstwa. Lista jest długa.

Rosjanie są świadomi, że Polacy jako bezpośredni sąsiedzi znają ich lepiej niż narody Zachodu. W związku z tym starają się podważać naszą wiarygodność w opinii światowej, a szczególnie w UE. Manipulacja, prymitywne intrygi-prowokacje (pobicie dzieci rosyjskich i w odwecie naszych dyplomatów) są tradycyjną bronią Rosji, podobnie jak islamistów rozpowszechniających, że atak na WTC to prowokacja amerykańska!

Polski intelekt dyplomatyczny musi wykazać wyższość, tak jak wykazał to w historii, kiedy zwyciężał w trudniejszych sytuacjach.

Obecna scena polityczna w kraju przypomina „rozkosz przedrozbiorowy”. Tworzenie partyjek nic nie znaczących politycznie służy małym grupom dla lukratywnych posad. Odczuwamy kryzys koncepcji politycznej i brak osobowości z autorytetem. Nie potrafimy stworzyć pomostu pomiędzy Wschodem a Zachodem, do czego jesteśmy historycznie i geograficznie predysponowani. Wiele mówimy o cenie jaką zapłaciliśmy za bohaterską walkę o wolność. Cenę, której nikt nigdy nam na wyrówna.

W obecnej sytuacji wobec presji politycznych, gospodarczych i społecznych, a także zagrożeń terrorystycznych, musimy pamiętać, że epoka bohaterstwa minęła. Życie jest najcenniejszym darem. Należy go zachować dla ojczyzny, aby Ją wzmacniać intelektem, który jest podstawą egzystencji narodu. □

Zbigniew Umański

Kronika Kresowa

Polska Jesień: Zaduszki tu i we Lwowie; upamiętnienie ofiar ludobójstwa SS „Galizien” w Hucie Pieśniackiej; wyniesienie w Rzymie na ołtarze dwóch lwowskich duchownych – bł. arcybiskupa Józefa Bilczewskiego i bł. księdza Zygmunta Gorazdowskiego; Święto Niepodległości i rocznica Obrony Lwowa. Rok 2005, pełen patriotycznych wydarzeń, odchodzi do historii. W „Kronice Kresowej” odnotowuję go jako ROK LWOWSKICH ORLĄT, Ich ponownego, po 87 latach, zwycięstwa – tym razem nad sowieckim barbarzyństwem, historycznym zapomnieniem i antypolskim nacjonalizmem OUN. Santo Campo ich wiecznego spoczynku i Obrońców Lwowa zostało wskrzeszone. Zwyciężyła pamięć o ich bohaterstwie i śmierci za miasto „Semper Fidelis”. Jest to także pośmiertne zwycięstwo inż. Bobrowskiego i ofiarnej załogi „Energopolu”, którzy odkopali spod gruzu nekropolię Orłąt, rodaków we Lwowie, a przede wszystkim sekretarza ROPWiM Andrzeja Przewoźnika, który ją z determinacją odbudowywał. I wreszcie nasze, członków TMLiKPW – kilkanaście lat kwestowaliśmy, zbieraliśmy złotówki na odbudowę Cmentarza Obrońców Lwowa i to nierealne, wydawało się nam nie raz marzenie, w 2005 roku stało się historycznym faktem z naszym udziałem!

Niech świadomość tego i duma towarzyszą nam przy świątecznym stole i podczas tradycyjnych spotkań opłatkowych lwowiaków i kresowian.

Nie dają spokoju Orłętom

W czerwcu br. rada miejska Lwowa, po wieloletnim sprzeciwie, na wyraźną prośbę W. Juszczenki zgodziła się wreszcie na oficjalne otwarcie odbudowanego Cmentarza Obrońców Lwowa. „Za” była zdecydowana większość radnych, ale nieliczni nacjonalistyczni radni do ostatniej chwili usiłowali storpedować zapowiedzianą już uroczystość z udziałem prezydentów Polski i Ukrainy. Przegrali, ale nie pogodzili się z tym. Zaraz po uroczystości krytykowali, że „Polacy urządzili sobie patriotyczną imprezę w ukraińskim Lwowie” itp., a obecnie stawiają stronie polskiej zarzut niewykonania uchwał Lwowskiej Rady Miasta w sprawie uporządkowania „polskich mogił wojskowych”.

Zyskali poparcie deputowanego do parlamentu Ukrainy Andieja Szkliwa, który napisał w tej sprawie list do przewodniczącego lwowskiej administracji obwodowej Piotra Olijnyka oraz Rady Miejskiej. Ta zarzuca stronie polskiej, że na Cmentarzu Orłąt do tej pory „nie wykonano napisów w języku ukraińskim, a także dopuszczono się nieścisłości w napisie na Grobie Piechurów Francuskich (w języku polskim): „Francuzom, poległym w walce o Polskę w latach 1918-1920”, gdzie rok 1918 należy zmienić na 1919”; na płycie głównej z napisem: „Tu leży żołnierz Polski poległy za Ojczyznę”, zamiast

katolickiego krzyża umieszczono symbol militarny „Szczerebiec”, a na istniejących pylonach nazwy miejsc bitewnych nie zostały wypisane w języku ukraińskim, a jedynie polskim.

Przewodniczący lwowskiej administracji obwodowej odpisał deputowanemu A. Szkliwowi, że „sprawa ostatecznego wykonania uchwały sesji Lwowskiej Rady Miejskiej w sprawie polskich mogił wojskowych jest obecnie przedmiotem decyzji prawnych i podlega rozpatrzeniu w trybie ustalonym przez ustawodawstwo”. Czy ta odpowiedź zadowoliła deputowanego Szkliwa i lwowskich radnych i przestaną szukać pretekstów do zakłócenia i napięcia w stosunkach polsko-ukraińskich?

Sądziłbym, przynajmniej większość z nas kresowian, że po zwycięstwie „pomarańczowej rewolucji” na Ukrainie, spontanicznie popartej przez Polaków, także i tu na wiecach we Lwowie, że po spokojnym i godnym przebiegu uroczystości otwarcia Cmentarza Obrońców Lwowa, podczas której nie odnotowano żadnych antyukraińskich akcentów, a Polacy i Ukraińcy, uczestniczący w otwarciu, wspólnie zmanifestowali chęć pojednania ponad grobami – lwowscy radni pozbędą się wreszcie nacjonalistycznych, antypolskich uprzedzeń, czy kompleksów i odtąd będziemy szybciej zacieśniać dobrosąsiedzkie stosunki. Tymczasem... Ponownie wszczęto „wojnę” podjazdową o „Orłęta”. Komu i dlaczego na tym zależy, żeby trwała, jątżyła?

Ukraina docenia rolę A. Kwaśniewskiego

Z okazji rocznicy „pomarańczowej rewolucji” na Ukrainie prezydent RP Aleksander Kwaśniewski został zaproszony do Kijowa, gdzie z rąk prezydenta Ukrainy W. Juszczenki otrzymał, w uznaniu zasług jako jednego z głównych zagranicznych mediatorów tych wydarzeń, najwyższe ukraińskie odznaczenie państwowe Order za Zasługi Pierwszej Klasy.

A. Kwaśniewski otrzymał także tytuł doktora honoris causa najstarszej ukraińskiej wyższej uczelni, Akademii Kijowsko-Mohylelańskiej. W okolicznościowym przemówieniu prezydent RP poparł dążenia Ukrainy do NATO i Unii Europejskiej. Podkreślił konieczność przebaczenia krzywd, jakie wyrządziły sobie narody ukraiński i polski. Prezydent uznał otwarcie Cmentarza Obrońców Lwowa za punkt kulminacyjny poprawy wzajemnych stosunków. Ich stan ocenił jako jedno z największych osiągnięć swej kadencji i jest z tego dumny.

Podczas pobytu w Kijowie A. Kwaśniewski spotkał się z b. premierem Julią Tymoszenko, zdymisjonowaną przez prezydenta Juszczenkę. Mówi się, że podczas swej pożegnalnej wizyty na Ukrainie ustępujący prezydent RP będzie chciał doprowadzić do pojednania zwaśnionych przywódców „pomarańczowej rewolucji”. Kulisy tej rewolucji odkrywa „Rzeczpospolita” (z dn. 26-27 listopada br.) w artykule „Tajemnice pomarańczowej rewolucji”, zamieszczonym w dodatku „Plus-Minus” tej gazety. Do wspomnień o tamtych negocjacjach „Rzeczpospolitej” udało się namówić głównych bohaterów: Aleksandra Kwaśniewskiego, towarzyszącego mu ówczesnego wiceszefa dyplomacji Adama Rotfelda, prezydenta Litwy

Valdasa Adamkusa, szefa unijnej dyplomacji Javiera Solanę, Lecha Wałęsę, polityków ukraińskich i lidera rosyjskiej opozycji Borysa Niemcowa. Ujawnili wiele tajemnic umożliwiając poznanie sekretów działalności dyplomatycznej w czasie najważniejszego wydarzenia ostatnich lat w Europie.

Pasjonująca lektura, polecam Czytelnikom „SF” interesującym się wydarzeniami na Ukrainie.

Jak po grudzie...

... idzie nadal odzyskiwanie obiektów należących kiedyś do Kościoła rzymskokatolickiego na Kresach. Na prośbę metropolity lwowskiego kard. Mariana Jaworskiego do władz obwodu tarnopolskiego o zwrócenie klasztoru dominikańskiego w Czortkowie i klasztoru franciszkańskiego w Zbarażu, pierwszy wicewojewoda obwodu tarnopolskiego Petro Wowczuk odpowiedział, że władze na razie ich nie zwrócą.

W dawnym klasztorze dominikańskim od 1947 r. znajduje się warsztat krawiecki i władze Czortkowa zamierzają je zwrócić do... 2013 r. W gorszej sytuacji są franciszkanie (bernardyni) w Zbarażu, którzy mieszkali w zrujnowanym klasztorze, ale kilka lat temu usunięto ich stamtąd, bo miasto zaczęło odbudowę obiektu. Po zakończeniu prac w b. klasztorze pobernardyńskim będą się mieścić niektóre wydziały administracji zbarskiej i archiwa władz powiatowych. Dopiero niedawno franciszkanom udało się kupić sobie mieszkanie niedaleko kościoła. – Żeby parafia mogła działać, musi być nie tylko kościół, ale także pomieszczenia dla duchowieństwa oraz sala katechetyczna, sala spotkań dla dzieci, młodzieży i dla wszystkich wiernych, żeby zaspokajać ich potrzeby religijne. Parafia zbarska liczy 70 katolików – powiedział agencji KAI biskup pomocniczy Archidiecezji Lwowskiej Marian Buczek.

Niestety, władze obwodowe, jak i lokalne na Kresach nie biorą tego pod uwagę...

Tłumaczenie pomagają grekokatolikom...

... odbudować ich były kościół parafialny i urządzić w nim cerkiew grekokatolicką! Chodzi o zabytkowy kościół drewniany, z początku XVIII w., w Okmianach. Do 1874 r. stał w Tłumaczu i służył jako kościół parafialny dla miejscowych katolików. W 1874 r. rozebrano go i przewieziono do niedalekich Okmian i tam ponownie zmontowano. Służył wiernym aż do zamknięcia w 1940 r. Potem niszczał, zjadały go korniki...

Okmiańscy grekokatolicy, którzy nie mają swojej świątyni, bo miejscowi prawosławni nie chcą im zwrócić zabranej kiedyś cerkwi grekokatolickiej – urządzili w niej swoją – postanowili odbudować niszczonego zabytkowy kościół rzymskokatolicki i zaadaptować go na cerkiew ich obrządku. Grekokatolicki ks. Ruslan Pasiecznyj, z pomocą miejscowego stolarza Piotra Żakowicza i unickich wiernych, wyremontowali najbardziej zniszczoną ścianę i fronton świątyni, odnowili wnętrze i przystosowali do odprawiania liturgii grekokatolickiej. Ale kościół trzeba wyposażyć, wzmocnić jego fundamenty, żeby nie osiadał. Okmiańscy unicy zwrócili się do b. tłumaczan o pomoc we wspólnym ratowaniu ich byłej świątyni. Ci nie odmówili jej.

Oddział Tłumaczan TMLiKPW we Wrocławiu zebrał datki od swoich członków, dołożył z własnej kasy,

a były tłumaczanin Jerzy Czyżycki zawiązał dar tłumackich katolików do Okmian i przekazał grekokatolikom. Serdecznie dziękowali i podejmowali gościa. Odwiedził on remontowaną świątynię i stwierdził, że zabytkowy kościół parafialny rzymskokatolicki, tak emocjonalnie bliski byłym mieszkańcom Tłumacza, został uratowany. Modlą się w nim teraz grekokatolicy, jak kiedyś katolicy – do tego samego Boga. Gdy Okmiany odwiedzą b. tłumaczanie – będą modlić się wspólnie. Bo wspólnie go ratowali, odbudowali i znowu służy wiernym.

Tak się rodzi prawdziwe pojednanie...

„Romerydowie”

stworzyli wrocławską geografię

Z okazji 60-lecia nauki polskiej we Wrocławiu obradowała na Politechnice Wr. Konferencja Rektorów Akademickich oraz naukowców Polskiej Akademii Nauk. Na Uniwersytecie Wrocławskim odbyła się pierwsza po wojnie sesja jubileuszowa geografów, przyjechało wielu mistrzów i uczniów. Dyrektor Instytutu Geografii Rozwoju Regionalnego UW. opowiadał o historii instytutu od 1945 r., wspominano, co działo się w nim przez 60 lat, jak kształcono geografów.

Po wojnie do Wrocławia przyjechało wielu wspaniałych geografów, przeważnie z Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie: znakomity geomorfolog, który rozsławił wrocławską geografię na świecie prof. Alfred Jahn, Aleksander Kosiba, Józef Wąsowicz czy Julian Czyżewski. Mówiono o nich „romerydowie”, bo byli uczniami prof. Eugeniusza Romera, gwiazdy lwowskiej geografii i legendarnej „Książnicy Atlas” – wydawnictwa kartograficznego, które po wojnie odrodziło się we Wrocławiu. To tu prof. Kosiba tworzył w 1945 r. pierwszą po wojnie Katedrę Meteorologii i Klimatyzacji.

Wrocławskie uczelnie – Uniwersytet i Politechnika świętowały uroczyste 60-lecie nauki polskiej nad Odrą. Z tej okazji na UW. zorganizowano wystawę „Ich drogi... Trudne początki”, a wystawą „60 lat Politechniki Wrocławskiej – źródła i geneza” otworzy Muzeum PWR. Obecnie na 12 wydziałach PWR. studiuje 32 tys. studentów, a na wszystkich wyższych uczelniach 130 tys.

Ukraina Viva i prof. Osadczyk

Już piąty raz w październiku we Wrocławiu Kolegium Europy Wschodniej (założone przez Jana Jeziorańskiego w 2001 r.) wspólnie z Urzędem Miejskim zorganizowały nad Odrą Festiwal Kultury Ukraińskiej „Ukraina Viva”. Tegoroczny festiwal był niezwykle bogaty i urozmaicony. Koncert inauguracyjny festiwal poprzedziły wernisaże wystaw fotograficznych – „Metafora” A. Lutina (Lwów) i „Pomarańczowa rewolucja” K. Kasiora (Wrocław). W następnych dniach odbyły się spektakle teatralne: Lwowskiego Teatru Sakralnego „Woskresinnia” – sztuki Karola Wojtyły „Hiob” i plenerowy „Gloria”, koncert Huculskiej Muzyki w wykonaniu orkiestr ukraińskiej i polskiej oraz „Kanty polsko-ukraińskie” Scholi Teatru Wiejskiego Węgajły.

Interesujące były Spotkania Panelowe: „Ukraińskie sny o Europie” i „Przestrzeń wolności”, po raz pierwszy z udziałem wydawcy kijowskiego czasopisma dla inteligencji, „Krytyka” A. Mokronosa, a przede wszystkim stałego honorowego gościa prof. Bohdana Osadczyka. W dniach festiwalu obchodził on we Wrocławiu swoje

85 urodziny, bo – jak powiedział – „w Berlinie mieszkam, sercem jestem na Ukrainie, a najlepiej czuję się we Wrocławiu”. Odbił się pokaz filmu o nim pt. „Ataman” prod. TV oraz spotkanie z reżyserem tego filmu Urszulą Dubowską, a we wrocławskiej TV urządzono uroczysty JUBILEUSZ prof. Bohdana Osadczyka.

Najciekawsze jednak, uważam, były zorganizowanie w dniach Festiwalu UKRAINA VIVA cykl spotkań i dyskusje na temat „Polska polityka wschodnia” z udziałem naszych polityków, eurodeputowanych, posłów, przedstawicieli Ministerstwa Spraw Zagranicznych, instytutów zajmujących się polską polityką wschodnią i honorowego gościa – prof. Osadczyka.

Podczas obrad poruszono także drażliwą sprawę zwrotu polskich dóbr kultury na Wschodzie. Prof. Maria Nałęcz, naczelny dyrektor Archiwów Państwowych, powiedziała, że Polska, niestety, nie może liczyć w tej sprawie na wsparcie Unii. Musimy sami dogadać się z sąsiadami. Czyni to dr A. Juzwenko, dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, który od kilku lat negocjuje w sprawie zwrotu zbiorów Ossolińskich z biblioteki im. W. Stefanyka we Lwowie mieszczącej się w dawnym Ossolineum. Udało się powołać wspólną komisję do spraw biblioteki. Najważniejsze jest, żeby zachować jedność zbiorów – wrocławskiego Ossolineum i we Lwowie, bez konieczności rewindykowania. Dr Juzwenko znalazł wyjście. Zaproponował, że strona polska wesprze kapitalny remont pałacu Baworowskich we Lwowie, na który biblioteka Stefanyka nie ma pieniędzy, za udostępnienie po remoncie pokoju dla pracownika Ossolineum z Wrocławia, który będzie miał pieczę i będzie kontrolował co się dzieje z ossolińskimi zbiorami. Będą też one systematycznie kopiowane na CD. Podobno strona ukraińska wyraziła na to zgodę. Powodzenia, dyrektorze Juzwenko!

Pogrzeb czaszki Janki

Podporucznik pilot Janina Lewandowska urodziła się i spędziła młode lata w Lusowie, w Poznańskim. Stamtąd 3 września 1939 r. wyruszyła na wojnę, 22 września dostała się do niewoli sowieckiej, 22 kwietnia 1940 r. została zamordowana w Katyniu wraz z innymi oficerami polskimi wziętymi do niewoli przez wojska sowieckie.

Jak już pisałem, prof. Gerhard Butz, kierownik Zakładu Medycyny Sądowej w Breslau, który kierował ekshumacją zwłok polskich oficerów ze zbiorowych mogił w Katyniu, przywiózł stamtąd w 1942 r. siedem czaszek. Po wojnie, gdy zakład objął prof. Bolesław Popielski, ukrył je i dopiero w 2002 r. naukowcy z wrocławskiej AM przeprowadzili badania, które potwierdziły, że pochodzą one z Katynia. Wśród nich jedna była kobiety. Zidentyfikowano, że jest to czaszka ppor. Janiny Lewandowskiej, córki gen. Dowbora Muślickiego – jedynej kobiety zamordowanej w Katyniu.

Sześć czaszek pochowano uroczystie z honorami wojskowymi we wrocławskim Sanktuarium Golgoty Wschodu na terenie parafii pw. MB Pocieszenia. W pogrzebie uczestniczył ks. prałat Zdzisław Peszkowski Kapelan Rodzin Katyńskich. Czaszkę ppor. pilot Janiny Lewandowskiej włożono do granitowej urny wraz z ekspertyzami wrocławskich naukowców, którzy czaszkę zidentyfikowali i zrekonstruowali, spoczęła w rodzinnym grobie w podpoznańskim Lusowie.

Na pogrzeb z honorami wojskowymi przyjechali m.in. przedstawiciele stowarzyszenia „Rodziny Katyńskie” z Poznania, Warszawy i Wrocławia, krewni Janki z Argentyny i Anglii oraz naukowcy z wrocławskiej Akademii Medycznej i Uniwersytetu Wrocławskiego, którzy podczas sesji naukowej opowiedzieli, jak udało się ustalić i potwierdzić, że to czaszka Janiny.

Pośmiertnie Janka została członkiem honorowym Aeroklubu Poznańskiego.

„KRAKIDAŁY” książką miesiąca

W Klubie Księgarza na Starym Mieście w Warszawie odbył się wieczór promocyjny z okazji przyznania nagrody Warszawskiej Premiery Literackiej **Jerzemu Janickiemu** za książkę lutego 2005 „KRAKIDAŁY”.

Autor otrzymał nagrodę i Dyplom Honorowy Wydawnictwa „Iskra” oraz Dyplom Uznania za działalność na rzecz Lwowa i Kresów od Oddziału Stołecznego TMLiKPW. Prof. Stanisław S. Nicieja prezentował walory nagrodzonej książki, a Barbara Dunin odczytała jej fragmenty. Po rozmowie Autora z czytelnikami odbył się koncert piosenek lwowskich w wykonaniu Z. Kurtycza i B. Dunin.

Serdecznie gratuluję Panie Jerzy! „KRAKIDAŁY” to piękna książka, graficznie i w treści. W pełni zasługiwała na wyróżnienie i nagrodę! Dziękuję za autograf. Załączam gratulacje wrocławskich lwowiaków.

„Lista strat duchowieństwa...

... Metropolii Lwowskiej obrządku łacińskiego w latach 1939-1945”, pod takim tytułem ukazała się praca zbiorowa, pod redakcją naukową ks. Józefa Krętosza i prof. Marii Pawłowiczowej, dla uczczenia 60. rocznicy zakończenia II wojny światowej. Zawiera imienny wykaz księży i zakonników – ofiary zbrodni wojennych na terenie Archidiecezji Lwowskiej, Diecezji Łuckiej i Diecezji Przemyskiej wchodzących wówczas w skład Metropolii Lwowskiej.

Szersze omówienie książki, która ukazała się nakładem Wydawnictwa Świętego Krzyża w Opolu, zamieścimy w jednym z następnych numerów „SF”. Gratulujemy autorom pionierskiej pracy. Dzięki niej mamy pełniejszy obecnie obraz strat społeczeństwa polskiego na b. Kresach RP w latach II wojny światowej.

Unici ze Lwowa do Kijowa

Siedziba władz ukraińskiego Kościoła greckokatolickiego od sierpnia nie jest już we Lwowie, lecz w Kijowie, gdzie wznoszona jest unicka katedra. Arcybiskup większego Lwowa odtąd tytułowany jest arcybiskupem większym kijowsko-halickim.

Grekokatolicy mają nadzieję, że przeniesienie siedziby do Kijowa przyspieszy ustanowienie patriarchatu greckokatolickiego na Ukrainie. Abp. Huzar liczy, że inicjatywę poprze papież Benedykt XVI. Setki milicjantów musiały ochraniać uroczystość przeniesienia siedziby zwierzchnika Ukraińskiego Kościoła Greckokatolickiego ze Lwowa do Kijowa. Wierni i duchowni Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego wykrzykiwali: „Katolicy do Polski”, „Zdrajcy”. Hierarchia tej cerkwi zwróciła się pisemnie do papieża Benedykta XVI o anulowanie dekretu w sprawie przenosin, podpisanego jeszcze przez Jana Pawła II.

Co złego, to według ukraińskich nacjonalistów oczywiście „dzieło” Polaków! Śmieszne, gdyby nie było smutne...

Fundusz Dobrego Sąsiedztwa

Ukraińscy muzealnicy, m.in. z muzeów Lwowa i Kijowa, spotkali się we Wrocławiu w Kolegium Europy Wschodniej z wicemarszałkiem Sejmu RP Kazimierzem Michałem Ujazdowskim i dyrektorem „Ossolineum” dr. Adolfem Juzwenką. Rozmawiano o możliwościach i formach współpracy w dziedzinie kultury.

– Nowy rząd polski chce powołać Fundusz Dobrego Sąsiedztwa – poinformował wicemarszałek Ujazdowski. – Ma być to specjalna placówka dbająca o silne więzi polsko-ukraińskie, finansowo porównywalna z Polsko-Niemieckim Funduszem Wymiany Młodzieżowej. Fundusz Dobrego Sąsiedztwa będzie wspierać i animować współpracę między Polską i Ukrainą na poziomie instytucji pozarządowych.

Ta wiadomość ucieszy tych, którzy chcą nawiązywać dobrosąsiedzkie stosunki z Ukrainą, w różnych dziedzinach, rozszerzać je, ale borykają się z problemami organizacyjnymi i finansowymi. Oby FDS powstał jak najszybciej.

Kombatanci czy rizuny?

15 października, z okazji 63. rocznicy utworzenia Ukraińskiej Powstańczej Armii, do Kijowa przybyli, głównie z zachodnich regionów Ukrainy, byli członkowie tej formacji oraz zwolennicy uznania ich działań za walkę o niepodległą Ukrainę. Przeciwnicy UPA – komuniści, socjaliści i prawosławni (moskiewscy), którzy uważają ją za organizację zbrodniczą i faszystowską, zablockowali marsz weteranów UPA, doszło do bójki między nimi na głównej ulicy Kijowa – Chreszczatniku. Obecni wśród zwolenników rehabilitacji UPA księża Kościoła Greckokatolickiego, Ukraińskiej Cerkwii Prawosławnej Patriarchatu Kijowskiego oraz Unickiej Prawosławnej Cerkwii Autokefalicznej odprawili mszę na centralnej ulicy miasta. Milicja kijowska, która usiłowała zaprowadzić porządek, podała, że w demonstracji uczestniczyło 3 tys. stronników UPA, a przeciwników 7 tys. osób.

Przewodniczący Rady Najwyższej Ukrainy Wołodymyr Łystwyn, po rozmowie z prezesem Światowego Kongresu Ukraińców Askoldem Łozińskim, wezwał ukraiński rząd do przygotowania projektu ustawy, która uregulowałaby status bojowników OUN-UPA. Ukraińska Partia Ludowa zamierza zebrać dwa miliony podpisów pod wnioskiem o przyznanie UPA statusu „strony walczącej” w II wojnie światowej.

Sprawą kombatantów UPA zajęła się specjalna komisja rządowa pod kierownictwem wicepremiera Władysława Kyrylenki. Poparła zmiany w ustawie o statusie socjalnym weteranów wojennych. Jeśli ustawa zostanie zaakceptowana przez parlament, to „kombatanci UPA, walczący w latach 1939-1956 o wolność i niepodległość Ukrainy, otrzymają należne świadczenia socjalne, przysługujące weteranom drugiej wojny światowej”. Eksperci mają na ten temat inne zdanie. „To bardzo drażliwa kwestia, która mimo upływu lat nadal wzbudza kontrowersje. Podzieli ona Radę Najwyższą na dwa wrogie obozy – zwolenników i przeciwników Wiktora Juszczeki, który obiecał kombatantom UPA poprawę ich sytu-

acji” – powiedział „Rzeczpospolitej” znany politolog Ołeksandr Dergaczow. Apel Wiktora Juszczeki do żołnierzy radzieckich i kombatantów UPA o pojednanie on także ocenił negatywnie.

Krajowa Rada Środowisk Żołnierzy Oddziałów Samobrony, którzy bronili ludności polskiej na Kresach przed UPA, zaprotestowała przeciwko rezolucji Ukraińskiej Partii Ludowej, w której domaga się od władz Ukrainy uznania b. członków UPA za stronę walczącą w koalicji antyhitlerowskiej. – UPA nigdy nie walczyła z III Rzeszą, a głównym jej celem było „fizyczne usunięcie ludności polskiej z Kresów Południowo-Wschodnich” – czytamy w oświadczeniu SZOS.

W jak barbarzyński, bestialski sposób odbywało się to „usuwanie” ludności polskiej z Kresów przez UPA, można było ostatnio zobaczyć we Wrocławiu na fotograficzno-plastycznej wystawie „Kresy Wschodnie w krwi polskiej tonące” kuratora mgr. Jana Młodkowskiego, dowiedzieć się o genezie tego ludobójstwa od b. prof. UW. Franciszka Sikory.

Czy tę okrutną prawdę o OUN-UPA pozna kiedyś społeczeństwo ukraińskie, czy przebiję się do jego świadomości?

Ratował ossolińskie zbiory

Jeszcze niedawno był wśród nas... Roman Aftanazy, lwowiak, po wojnie zamieszkał we Wrocławiu. Od 60 lat był związany z „Ossolineum”. – Ratował we Lwowie zbombardowane wiosną 1944 roku ossolińskie dziedzictwo narodowe. W 1946 roku, jako członek polskiej delegacji, odbierał w Przemyślu zbiory „Ossolineum” i Panoramę Racławicką. Dzięki Jego wieloletniej pracy Biblioteka pozyskała bezcenne wprost książki – mówił o R. Aftanazym dyrektor „Ossolineum” Adolf Juzwenko, wręczając Mu list gratulacyjny z okazji ukończenia 90 lat.

Dziełem Jego życia została 11-tomowa praca „Dzieje rezydencji na dawnych kresach Rzeczypospolitej” – o wielkim wkładzie ziemianstwa polskiego w cywilizacyjny rozwój tamtych terenów. Nad „Dziejami” pracował samotnie ponad 40 lat, a dokumentacji szukał po całym niemal świecie! Doceniono tę gigantyczną pracę – otrzymał za nią polskiego Nobla.

Nie ma Go już wśród nas. Odszedł. Kultura polska poniosła wielką stratę. Kresowianie są Mu wdzięczni za przypomnienie i utwalenie w świadomości Polaków wielowiekowego polskiego dorobku kulturalnego na Kresach b. Rzeczypospolitej. Pozostał na trwałe w naszej pamięci...

„Z Grodu Revery...

... Wieści z ziemi halicko-stanisławowsko-pokuckiej” – taki tytuł ma 1 numer gazety wydanej w październiku przez Towarzystwo Kultury Polskiej im. F. Karpińskiego w Stanisławowie, które właśnie obchodzi XV-lecie działalności. Ładny prezent jubileuszowy zrobiło sobie i czytelnikom! Ukazał się jako dodatek do „Gazety Lwowskiej” nr 18 z dn. 30 IX br.

W „Słowie do Czytelników” redakcja pisze: – *Pismo nie powstało przeciwko czemuś lub komuś. Naszą ambicją jest dać pełne spektrum życia regionu, oddać różnorodności ludzkich działań, niezależnie od ich poglądów, a także poczucia przynależności narodowej. (...)*

Pragniemy przypomnieć naszym seniorom, a ludziom w średnim wieku, tudzież młodym, uświadomić, czym był Stanisławów dla wielu pokoleń jego mieszkańców, w historii i kulturze obu narodów (...). Postaramy się przekazać wiadomości tak o dniu dzisiejszym, jak i przypomnieć nieznane, wygrzebane z archiwów (...). Jesteśmy otwarci na współpracę ze wszystkimi, którzy chcieliby nam pomóc w doborze i przygotowaniu tematów lub materiałów do przyszłych artykułów. Chętnie będziemy umieszczali wspomnienia, utwory własne autorów, relacje z imprez i uroczystości, życzenia i pozdrowienia dla przyjaciół lub osób bliskich...

Wiarygodna, przekonywająca deklaracja redakcji. Czy tak będzie w praktyce? Stanisławowianie, tu i tam, czujcie się zaproszeni do współredagowania Waszego pisma! Szykujcie wspomnienia!

W pierwszym numerze zamieszczono rozmowę z prezesem Koła Stanisławowian w Warszawie St. Leszczyńskim pt. „Niszczono wszystko – nawet pamięć”, relacje z obchodu XV rocznicy TKP im. F. Karpińskiego „Co to znaczy Stanisławów” oraz z Konkursu Recytatorskiego Poezji w Krzemieńcu, „Oni nam pomagają” oraz wiersze, życzenia.

„Z Grodu Revery” redaguje zespół w składzie: Marcin Romer (red. nacz.), Rajmund Pizanowski, Olga Ciwacz, Wanda Ridosz, Renata Roszkowska i Renata Kłęczańska. Pierwszy numer sygnałny pomogła wydać „Gazeta Lwowska”. Cena umowna. Zainteresowanym, a sądzę, że będzie wielu takich, podaję adres do korespondencji: Towarzystwo Kultury Polskiej im. F. Karpińskiego, ul. Wowczyńska 92-a, 760-07 STANISŁAWÓW (Iwano-Frankiów), tel./fax +38 (0342) 78-60-90; e-mail: zgrodurevery@wp.pl

Życzymy zespołowi redakcyjnemu „ZGR” dobrych artykułów, ciekawych korespondencji, wspomnień i wielu czytelników. A po dziennikarsku – połamania piór!

Z Kresów na Ziemię Odzyskaną

Podczas tegorocznych wakacji Studenckie Koło Naukowe Historyków Akademii Pedagogicznej w Krakowie przeprowadziło w Szczecinku i Kołobrzegu wywiady wśród mieszkańców ekspatriowanych po wojnie z Kresów II RP. Badania dotyczyły sposobu przesiedlenia na ówczesnie zwane Ziemię Odzyskaną. Plon tych rozmów ma się ukazać w formie książkowej.

Zachęcamy studenckie koła naukowe historyków, także na innych uczelniach, do podejmowania takich akcji – dopóki jeszcze żyje pierwsze pokolenie przesiedlonych, które doświadczyło skutków ekspatriacji z Kresów. Ich wiarygodne relacje, wspomnienia, zweryfikowane naukowo, stanowiąc będą cenny materiał badawczy dla Instytutu Dziedzictwa Kresowego, o utworzenie którego, np. przy „Ossolineum” zabiega Zarząd Główny TMLIKPW. Służymy naszą wiedzą i informacjami.

Nowe organy w żółkiewskiej kolegiacie

25 września br. JE ks. kardynał Marian Jaworski Metropolita Lwowski dokonał uroczystego poświęcenia nowych organów w Kolegiacie św. Wawrzyńca w Żółkwi. Stare, zabytkowe zostały zdewastowane, gdy kościół był zamknięty za władzy sowieckiej.

Wiele lat czekała restaurowana świątynia i wierni na nowy instrument, aż znaleziono go – autentyczny,

w stylu francuskiego romantyzmu – w szwajcarskiej firmie „Tchanoun” z Genewy. Pochodził z kościoła w Neyrue, w którym zainstalowano nowy. Przebudowy, montażu, informacji, strojenia „nowych” organów w Żółkwi dokonał Jerzy Kukła, znany polski organmistrz i organista-wirtuoz, a niezbędne na ten cel fundusze pozyskał od sponsorów proboszcz parafii św. Wawrzyńca, ks. kanonik Bazyli Pawełko, od lat niestrudzony w przywracaniu tej świątyni pierwotnego piękna.

Po Mszy św. odbył się w żółkiewskiej kolegiacie pierwszy od kilkudziesięciu lat koncert muzyki organowej.

Wieści ze Lwowa

● Mer Lwowa Lubomir Buniak został zdymisjonowany 27 września przez radnych. Zarzucono mu niewykonanie uchwał Rady Miejskiej, ignorowanie decyzji sędziów oraz niedopełnienie wymogów ustawodawstwa w pracy komitetu wykonawczego. Mieszkańcy Lwowa stojący pod ratuszem wołali: „Chwała radnym!”. Obowiązki prezydenta miasta, do czasu wyboru nowego na wiosnę 2006 r., powierzono I zastępcy L. Buniaka, Zenonijowi Sirykowi.

● Ostatnim akordem Roku Polski na Ukrainie była wystawa „W stronę Schulza” w Lwowskiej Galerii Sztuki, na której zaprezentowano obrazy, grafiki, rysunki i fotografie będące Jego dziełami oraz prace polskich artystów, które powstały pod wpływem Jego twórczości. Odbył się „Wieczór Schulzowski” z udziałem oficjalnych gości z Polski, w tym Jerzego Janickiego oraz wybitnych polskich aktorów: M. Zajączkowskiej, P. Adamczyka i J. Gajosa – czytali oni wspomnienia siostry Schulza – Adeli, fragmenty Jego prozy i listów. Gościem specjalnym wieczoru był Alfred Szrajber z Drohobycza, ostatni z żyjących uczniów B. Schulza, który podzielił się swoimi wspomnieniami o Nim.

● Ukazało się z opóźnieniem, pięknie graficznie, ilustrowane unikalnymi zdjęciami historycznymi, wydanie specjalne „Spotkań lwowskich” poświęcone Orłętom Lwowskim – ich bohaterskim walkom w listopadzie 1918 r., udziału w nich lwowskich kobiet, sylwetkom dowódców. Jest przedruk „Purpurowej księgi” Kornela Makuszyńskiego, artykuł Stanisława S. Nicieja „Czyn i legenda Orłąt Lwowskich”, historia budowy i odbudowy Cmentarza Obrońców Lwowa i wiele in. Wspaniały numer! Gratulacje dla zespołu redagującego, grafika i szefowej red. Bożeny Rafalskiej.

● Pałac Potockich nie będzie rezydencją prezydenta Juszczenki, jak wcześniej zapowiadano. Natomiast Lwowska Rada Miejska ma zamiar zmienić nazwę „Pałac Potockich” – aby nie funkcjonowała oficjalnie. No cóż, stara nazwa jest zbyt polska i przypomina...

*Batiarygi z Łyczakowa / pastuszkowie mili,
Czy słyszycie? Za rogatkami / Małe Dziecię kwili!
I choć zima wokół mroźna, / z placu Antoniego
Pobiegijcie batiarygi / ogrzać Malerki...*

*Miłych, radosnych świąt Bożego Narodzenia
oraz zdrowia i wszelkiej pomyślności w*

Nowym 2006 Roku

życzy

KRONIKARZ KRESOWY

Uroczystości w Hucie Pieniackiej

28 lutego 1944 roku bandy UPA i ukraińscy mieszkańcy pobliskich wiosek napadli nocą na polską wieś o nazwie Huta Pieniacka. Położona na południe od Brodów, w pobliżu znanego klasztoru – Podkamień, ta polska wioska liczyła około 1200 mieszkańców, ponad 60 gospodarstw oraz kościół na małym wzniesieniu. Z dokonanej masakry udało się ocalić życie około 170 osobom. Zamordowanych wrzucono do pobliskiego jaru, zasypano i zniwelowano teren, wygładzając go starannie! Spalone szczątki domostw rozebrano do gruntu, po kościele nawet fundamenty i oto mamy teraz obraz łagodnie falującego pola – ugoru z piaszczystą, połą drogą, a pod lasem resztki wiejskiego cmentarzyka. Można by powiedzieć: pejzaż typowy dla Małopolski Wschodniej!

22 października br. na tym pagórku z dawnym kościółkiem odsłonięto i poświęcono pomnik, kolejny po-

ści przechodnie i żyjący do dziś mordercy, mieszkańcy sąsiednich wiosek, nakreślą znak krzyża na swych kainowych piersiach za tych niewinnych...

Z terenów całej Polski, rozsiani, a ocaleni w liczbie około 170 osób, ICH dzieci i wnuki, potomkowie spotkali się w tym miejscu. Nie tylko ONI, wraz z nimi wielu KRESOWIAN, b. mieszkańców tych polskich ziem, ściągnęło, by zmanifestować jedność i solidarność z OCALAŁYMI – przeciwko ślepej nienawiści i zbrodni bądź co bądź współmieszkańców...

Ponad 800 przybyłych osób wysłuchało homilii i żałobnej mszy świętej, przemówień przedstawicieli



mnik upamiętniający ludobójstwo dokonane na POLSKICH KRESACH Małopolski Wschodniej przez bandy UPA!! Tylko dzięki wieloletnim staraniom sekretarza Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, dr. Andrzeja Przewoźnika, po Katyniu, Miednoje, Cmentarzu Obrońców Lwowa i wielu innych, swoją historię niewinnie wymordowanych polskich wieśniaków znalazła i Huta Pieniacka. Duży, trzymetrowy, prosty w formie wykuty w kamieniu krzyż z orłem w koronie, dwie dwujęzyczne tablice informacyjne, a po obu stronach krzyża dwa słupy-obeliski, również z kamienia, pokryte od góry do dołu nazwiskami wymordowanych, tworzą kompozycję prostą w układzie, a przejmującą w swej treści i widoku, widoczną z daleka... Może dziś i w przyszło-



Huta Pieniacka. Delegacja rządowa

władz polskich przybyłych z Warszawy, ambasadora RP z Kijowa, konsulatu RP ze Lwowa, burmistrza Brodów i ocalałych mieszkańców tej wsi, Huty Pieniackiej...

Andrzej Przewoźnik, sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa powiedział: Huta Pieniacka



Huta Pieniacka. Przemawia sekretarz Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa Andrzej Przewoźnik.

jest symbolem tego, co działo się z ludnością polską w latach 1943-44 na dawnych Kresach południowo-wschodnich. Udało się doprowadzić do postawienia pomnika dzięki dobrej atmosferze towarzyszącej zakończeniu sprawy Cmentarza Orłąt Lwowskich. Ale jest jeszcze wiele podobnych miejsc, które należałoby upa-

miętnić – Berezowica Mała i Ihrowica w Tarnopolskiem, Ostrówki i Wola Ostrowiecka koło Lubomli...

Straż przy pomniku przez cały czas trwania uroczystości pełnili harcerze z Przemyśla! Poczty sztandarowe stowarzyszeń kombatanckich, harcerstwa kolejno składały wieńce u stóp pomnika upamiętniając Dzień Pamięci Pomordowanych w Hucie Pieniackiej, powiat Brody, 22 października 2005 roku!

Już 2 lata temu, na wydanych mapach terytorium obecnej Ukrainy, pominięto nazwę tej wioski, zmieniono

nazwę miasta Krystynopola. Także na Wołyniu zmieniono nazwę miasteczka Poryck, podobnie jak Huty Pieniackiej, Czerwonogrodu i wielu, wielu innych miast i wsi (vide – Stanisławów)!

Ukraińców, mieszkańców sąsiednich wiosek, przyszło niewielu, może kilkanaście osób i to raczej z ciekawości...

Fot. Marek Rogalski

Alicja Zboryt

Zadwórze – polskie Termopile

Gdyby przeprowadzić sondę uliczną i zapytać Polaków z czym kojarzy im się nazwa „Zadwórze” miałoby duży kłopot z prawidłową odpowiedzią na to pytanie. W 13-tomowej Encyklopedii PWN z 1970 roku nie ma hasła „Zadwórze”, nie ma też żadnej wzmianki w podręcznikach historii z tego okresu. Jest to jeszcze jedna „biała plama”, jedna z wielu w oficjalnej wersji historii Polski w PRL. Powie ktoś, że był to krótki epizod w bogatej w tragiczne wydarzenia historii walki Polaków o wolne i suwerenne państwo, ale był to epizod znaczący.

Dziś Zadwórze to wieś na Ukrainie, położona ponad 33 km od Lwowa, cicha i senna, jeśli nie liczyć hałasu licznych pociągów osobowych i towarowych, gdyż tędy przebiega główna magistrała kolejowa ze Lwowa przez Złoczów, Tarnopol aż do Kijowa. Każdego roku 17 sierpnia, lub w pobliżu tej daty, Polacy zamieszkali na dawnych i obecnych Kresach Wschodnich gromadzą się przy torach, pod kopcem usypanym na zbiorowej mogile bohaterów Polaków, którzy tu zginęli w bitwie z przeważającymi siłami konnej armii Siemiona Budionnego.

W 1920 roku Polacy toczyli ciężkie boje z napierającą ze wschodu Armią Czerwoną, która na swoich bagnietach, po trupie młodej, niepodległej Polski miała zanieść komunizm do Niemiec i zachodniej Europy. Jak teraz wiadomo ten czerwony pochód został zatrzymany pod Warszawą, a Armia Czerwona pod wodzą Tuchaczewskiego sromotnie pobita. Do tego przyczyniła się niesubordynacja Budionnego, którego konnica miała zabezpieczać odwrót Czerwonej Armii pod Włodzimierzem Wołyńskim. Budionny wraz ze Stalinem koniecznie chciał najpierw zdobyć Lwów, który „miał jak na dłoni”.

Bitwa warszawska została nazwana cudem nad Wisłą. Na Kresach Wschodnich trwały walki z dywizjami Budionnego. Według historyków pod Warszawą trwał bój o niepodległy byt Polski, a na Kresach Wschodnich walka o wschodnią granicę Polski.

W lipcu 1920 roku rotmistrz Roman Abraham otrzymał rozkaz utworzenia oddziału tzw. szybkiego reagowania, złożonego z piechoty, artylerii i konnicy. Do tego oddziału zgłaszali się masowo młodzi ochotnicy zwabięni nazwiskiem jego dowódcy, sławionego bohatera, listopadową obroną Lwowa przed Ukraińcami. Ten oddział liczący 1300 żołnierzy i 35 oficerów został zaprzysiężony pod lwowską katedrą. Wkrótce stoczył ciężkie walki pod Radziechowem, Krzywem, Witowem i innymi miejscowościami wstrzymując konnicę Budionnego w marszu na Lwów. Zapuszczał się też za linię frontu, zdobywając broń, amunicję i tabor. Zaatakowany przez

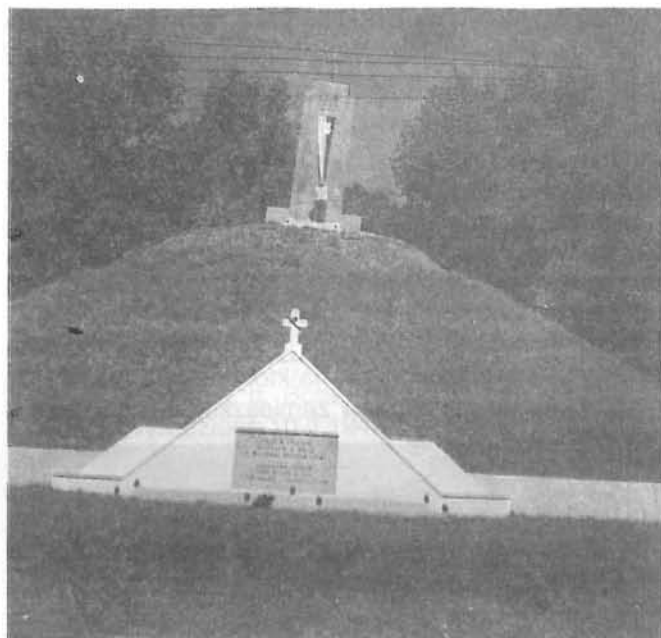
świeże siły rosyjskie rozpoczął odwrót, tocząc potyczki na swoich tylnych strażach. W czasie jednej z tych walk rotmistrz Roman Abraham został ciężko ranny i przewieziony do szpitala wojskowego we Lwowie. Dowództwo oddziału objął kapitan Bolesław Zajączkowski. Sytuacja oddziału stała się dramatyczna w momencie przerwania kontaktu z dowództwem we Lwowie. Od oddziału odłączyła się konnica, by przedzierać się w kierunku Glinian. Pozostali piechurzy i artylerzyści w liczbie ok. 350 przedzierałi się w kierunku Zadwórze w szyku bojowym, posuwając się wzdłuż torów. Pierścien budionnowców okrążający oddział zamknął się. Pod Zadwórzem doszło do bezpośredniego starcia kilkuset Polaków z wielotysięczną armią Budionnego. Opór trwał sześć godzin do wystrzelenia ostatniego naboju, zgodnie z rozkazem kapitana Zajączkowskiego. Wcześniej celne pociski rosyjskich taczanek rozbiły skrzynki z amunicją. Zginęli wszyscy rozsiekani szablami, zakłuci bagnietami i pikami, zastrzeleni, a było ich 318. Bohaterscy Polacy pod Zadwórzem byli tak zmasakrowani, że udało się zidentyfikować tylko siedmiu z nich. Wtedy badania DNA nie były znane. Pięciu rozpoznanych wraz z dowódcą kpt. Zajączkowskim zostało pochowanych na cmentarzu Obrońców Lwowa, dwóch prawdopodobnie w grobach rodzinnych. Pozostali zostali pochowani tam, gdzie zginęli – przy torach we wsi Zadwórze. Spią snem wiecznym pod ogromnym kopcem z obeliskiem i krzyżem i na cmentarzyku obok kopca. Tak jak Spartanie pod wodzą Leonidasa walczyli w wąwozie termopilejskim z nawałą perską i wszyscy zginęli, tak ponad 2500 lat później polscy obrońcy Lwowa powstrzymywali nawałę sowiecką i zginęli wszyscy, wraz ze swoim dowódcą. Zginęli za Polskę i ukochany Lwów.

Pamięć o bohaterstwie „zadwórzeń” jest żywa wśród Polaków żyjących we Lwowie, a także wśród Polaków z przygranicznych powiatów polskich. Każdego roku w sierpniu Polskie Towarzystwo Opieki nad Grobami Wojskowymi organizuje uroczystości rocznicowe. Stawiają ołtarz polowy, dekorują obelisk flagą białą-czerwoną z żołnierskim orzełkiem, a na co dzień opiekują się kopcem i cmentarzykiem. Prawdziwym „spiritus movens” tych prac i ich głównym wykonawcą jest pan Eugeniusz Cydzik – honorowy prezes tego Towarzystwa, przy pomocy swojej córki – Wandzi. W tym roku na uroczystości przybyli kapłani, pracujący w tamtejszych parafiach katolickich i z Polski ks. Tadeusz Pater, ze Lwowa – Polacy zrzeszeni w PTOGW i w Towarzystwie Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej z preze-

sem Emilem Legowiczem na czele, polscy lwowiacy, harcerze z ZHR z Przemyśla, przedstawiciele władz samorządowych Przemyśla, orkiestry dęte z Leżajska i Kuryłówki, przemyska młodzież szkolna, prezes oddziału TMLiKPW w Przemyśle i konsul z polskiego konsulat w Lwowie, a także liczni zaproszeni goście. Księ-



ża celebrowali uroczystą Mszę św. z okolicznościowym kazaniem, potem były przemówienia oficjalnych gości. Wśród tych wielu wystąpień zapamiętałam wystąpienie p. Eugeniusza Cydzika, który podkreślił, że mieszkańcy Zadwórza na przestrzeni wielu lat akceptowali obecność tego pomnika, nigdy mimo namów władzy sowieckiej go nie uszkodzili, wręcz przepędzali wandalów, którym on przeszkadzał. Za to im serdecznie p. Cydzik podziękował, a oni brali udział w uroczystości i wspominali tę bitwę i jej tragiczny dla Polaków koniec, znany z opowieści rodziców i dziadków. Dzięki ich postawie kopiec, obelisk i krzyż zachowały się od czasów przedwojennych,



mimo wojny i innych historycznych zawirowań. Po Mszy św. młodzież wystąpiła z programem poetycko-muzycznym, na szczycie kopca zebrani i delegacje złożyli wieńce i wiązanki kwiatów, zapalili znicze. Na koniec wszyscy posilili się żurkiem i chlebem przywiezionym z Leżajska za sprawą dr. Słuchana. W uroczystości brało udział 300-400 osób.

Dziś ta mogiła mówi potomnym:

„Przechodniu! Powiedz Polsce, że tu leżymy – posłuszni Jej rozkazom”.

Polskie Termopile warto i trzeba zapamiętać i tę pamięć przekazywać młodym. □

Helena Wiewiórska

Kresowanie na obczyźnie

Do Kanady w swych podróżach wybierałam się wiele razy. Tam od dawna mieszka moja serdeczna koleżanka z lat młodości, a także moja kochana bratanica, którą bardzo chciałam odwiedzić, zawsze jednak działo się coś pilniejszego, a o mojej podróży do Kanady zadecydowali ostatecznie... Kresowanie na obczyźnie. Bronia Długosz z Thunder Bay będąc w ubiegłym roku na Zjeździe „Isfahańczyków” w Dusznikach zachęciła mnie do odwiedzenia tego pięknego kraju, a perspektywa spotkania tam wielu Kresowian sprawiła, że zdecydowałam się i zamiar swój zrealizowałam w październiku tego roku, kiedy jesień w Kanadzie była przepiękna. Bronia przyleciała po mnie z dalekiego Thunder Bay do Montrealu, gdzie z jej przyjaciółką Heleną Grudzińską-Sochą, również Kresowianką, witają mnie na lotnisku i przez parę dni razem zwiedzamy to ogromne, nowoczesne i bardzo piękne miasto. Prócz pięknych zabytków interesuje mnie Uniwersytet M'c Gill, pięknie położony kompleks budynków uniwersyteckich, gdzie studiuje młodzież z różnych krajów świata, także z Polski. Częścią Uniwersytetu M'c Gill jest również Instytut Polski ze wspaniałym polskim księgozbiorem (największy w Kanadzie) i „białymi krukami”, m.in. Księgą Historii Polski międzywojennej 1919-1929 r. wydaną w Polsce w 1929 r. Oglądaliśmy pożytkie karty ze zdjęciami

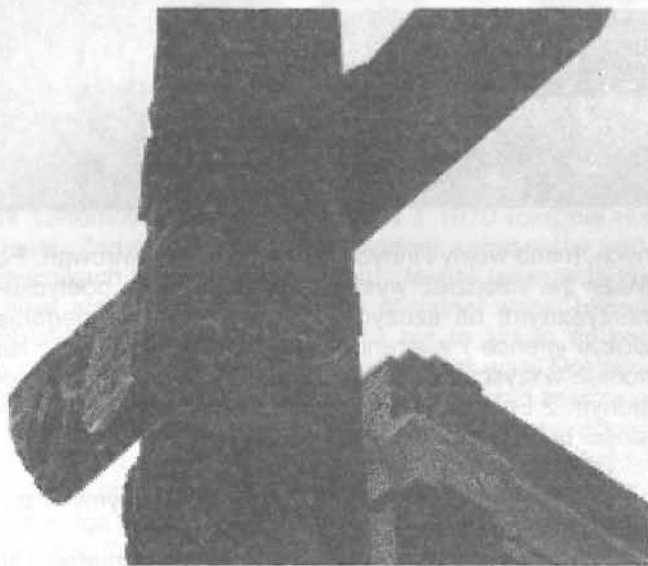
mi polityków i polskich działaczy patriotycznych, którzy budowali II Rzeczpospolitą. Są też pisma i periodyki wydawane w Polsce – także obecnie.

W przepięknej Bazylice św. Józefa w podziemiach, gdzie znajdują się szopki bożonarodzeniowe wszystkich narodów zamieszkujących Kanadę, jest również nasza szopka krakowska i góralska stajenka betlejemka.

Z Heleną Sochą z domu Grudzińską prowadzimy „nocne rodaków rozmowy” w jej apartamencie w spokojnej dzielnicy Montrealu. Helena została wywieziona z Lidy w woj. nowogródzkim w czerwcu 1941 r. jako jedenastoletnia dziewczynka z mamą i braćmi. Ojciec pracował w sądzie. Aresztowany i uwięziony na Litwie, zwolniony po amnestii „Sikorski-Majski” wstępuje do Wojska Polskiego, przyjeżdża na Syberię po rodzinę i zabiera ich z sobą do wojska stacjonującego w Działalabadzie. Ojciec odjeżdża z wojskiem na front, a mama z dziećmi do Teheranu i Ahrazu, gdzie przebywają 2 lata, następnie do Libanu, gdzie są aż do stycznia 1948 roku, kiedy wyjeżdżają do Anglii, gdzie Helena wychodzi za mąż w 1950 r. za żołnierza gen. Maczka i mieszkają w Manchesterze. W 1957 r. wyjeżdżają do Kanady. Mąż umiera w lipcu w ubiegłym roku – pochowany jest na cmentarzu wojskowym w Montrealu. Helena mieszka w apartamencie, skąd z dwunastego piętra roztacza się przepiękny widok na Montreal, zwłaszcza w świątłach nocy. Przebywając w jej domu zapominam jednak, że jestem w Kanadzie słuchając czystego, nieskażonego obcym akcentem języka polskiego, pomimo że Helena przebywa już na obczyźnie 65 lat.

Polonia w Montrealu jest liczna, co widać było na Mszy św. w kościele św. Wojciecha, gdzie młody ksiądz w czasie kazania zachęcał do działalności polonijnej.

Z Montrealu jedziemy do Ottawy, bo jak tu nie zwiedzić pięknej stolicy Kanady leżącej w prowincji Ontario, gdzie nie słyszy się już na ulicach języka francuskiego tak jak w Montrealu. Tu od razu widać, że to dominium angielskie – wieża zegara przy budynkach parlamentu tak bardzo przypomina londyński Big-Ben. A jednak i tutaj znajduje się coś polskiego – w samym centrum Ottawy stoi indiański cokół, na którym są umieszczone godła państwowe narodów zamieszkujących Ottawę –



*Ottawa – centrum. 4 X 2005 r.
Polski Orzeł na cokole z godłami państw,
których narody zamieszkują prowincję*

jest również polski Orzeł. Bronia zarezerwowała dla nas BxB u Polaków – okazuje się, że młodo wyglądająca Pani, która odbiera nas z autobusu i przyjmuje w swoim ślicznym pensjonaciku, jest Kresowianką i Sybiraczką, a jej mąż pochodzi z samego Lwowa! To właśnie to, czego w swoich podróżach ciągle poszukuję – Kresowanie na obczyźnie! Pani Krystyna Przednowek zosta-



*Pani Krystyna Przednowek
w swoim mieszkaniu w Ottawie*

ła wywieziona z Wilejki z mamą, babcią i bratem. Pani Krystyna daje mi do przeczytania pamiętnik swej mamy, która od roku 1929 pracowała jako sekretarka w Państwowym Szpitalu w Wilejce pełniąc równocześnie obowiązki gospodyni szpitala. Taki pamiętnik to skarb nie tylko w rodzinie, ale to przecież autentyczna historia Polski! Czytam jak zmieniło się wszystko po wejściu Rosjan w 1939 r. na tamte tereny, w jaki sposób odbywała się sowietyzacja, codzienne życie w tych warunkach opisane bardzo dokładnie, jednocześnie dowcipnie w odpowiednich momentach. Potem wywózka w 1941 r. – 20 VI – to ostatnia wywózka przed układem Sikorski-Majski. Mama Pani Krystyny opisuje tę straszną noc, kiedy kilku enkawudzistów z bronią w ręku wtargnęło do domu i kazali się szybko pakować. Krysia miała wtedy 2 latka, Janusz 4. Jadą w strasznych warunkach, o jakich mówią wszyscy zesłańcy, teraz na dodatek jeszcze Niemcy bombardują sowieckie pociągi. Jadą przez Orszę, Saratow i Syborsk. Po wielu dniach podróży wypuszczają ich na łąkę porośłą kwiatami – był to lipcowy dzień; kazano im chodzić w kółko – łąka była obstawiona enkawudzistami-strażnikami z pociągu z bronią gotową do wystrzału. Mama dopiero wtedy zobaczyła, jak wiele rodzin wywieziono z Wilejki. Dzieci szybko nazbierały kwiatów i traw. Po chwili kazano im wracać do zamykanych na kłódki wagonów. W ciągu 35 dni podróży wypuszczono ich tylko raz – na ciepły posiłek – tzw. łapszę (zupę makaronową). Dojechali wreszcie do ostatniej stacji kolejowej – Barnauk. Tu każą im wysiadać z rzeczami, a po nocy przespanej na swoich tobołkach każą się ładować na 3 barki w porcie towarowym na rzece Ob. Barki są bez dachu, bez poręczy, straszliwie przepelnione, zanurzają się po brzegi. Małe parostatki ciągną je w górę rzeki. Po trzech dniach makabrycznej podróży „wyladowano” ich w Kalmance – w porcie wyladunkowym na rzece Ob. Najbliższy horyzont zamykały góry Altajskie. Stąd zabierają ich stopniowo furmankami do sowchozów. Po pięciu dniach czekania w miejscowej szkole mama z Krysią, Januszem i babcią są zabrani furmanką do miejsca swojego przeznaczenia. Po dwóch dniach podróży z noclegiem na łące wysadzają ich w sowchozie Swałowka, Czaryszski Rajon, Altajskij Kraj, wysoko w górach Altajskich – 210 km bezdroży górskich do najbliższego pociągu. Zatrudniono ich przy sianokosach, pasieniu krów i owiec. Mama p. Krystyny pracowała jako jedna z rodziny zdolna do pracy, więc i chleba było mało. Po układzie Sikorski-Majski odbywają na własną rękę graniczącą z cudem udaną podróż do Wojska Polskiego, potem do Iranu, następnie Indie – przez Karaczi do Bombaju i do osiedla Valivade. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości (jaką ona była pamiętamy) wyjeżdżają do Afryki Wschodniej (Uganda, osiedle Koja) i tam przebywają ponad 2 lata. W sierpniu 1950 r. odpływają do Anglii. P. Krystyna z rodziną trafia do obozu przejściowego w Glosterskie. Dostaje się do szkoły z internatem w Grandon Hall połączonej następnie ze szkołą w Stowell. Następnie szkoła w Lilleford, po ukończeniu której p. Krystyna wyjeżdża na studia do Londynu, kończy wydział matematyczny przy Chelsea College, tu poznaje swego męża i we wczesnych latach sześćdziesiątych wyjeżdżają do Ottawy, gdzie mieszkają do dziś. Żegnamy sympatyczną p. Krystynę z nadzieją spotkania w Polsce na Zjeździe „Afrykańczyków” we Wrocławiu.

Zapraszamy!

Z Ottawy zgodnie z moim życzeniem jedziemy autobusem do dalekiego Thunder Bay, gdzie mieszka Bronia. Podróż autobusem trwa 22 godziny, ale to podróż jak z kolorowego westernu. Towarzystwo w autobusie bardzo oryginalne, widzi się wielu cywilizowanych Indian, których uroda jest tak charakterystyczna! Na jednym z przystanków wsiada grupa Menonitów w ich oryginalnych ubraniach. Przy wspaniałej pogodzie autobus sunie po idealnej nawierzchni kanadyjskich dróg – droga z Ottawy do Vancouver prawie pusta w tym dniu prowadzi wśród lasów o tej porze roku w tak pięknych kolorach, że nigdy nie zamieniałbym tych widoków na krótką podróż samolotem. Mijamy miejscowości o oryginalnych indiańskich nazwach jak: Petawawa, Matawia lub zangielszczone jak: Chalk River, Deep River, Blind River, szerokie drogi do lasów, aby wygodnie można było dojechać do leśnych domków – tu i ówdzie polskie nazwy jak np. „Dombrowski Road”, czy też polską flagę na zajeździe czy sklepie, jak w miejscowości Wawa. Gdzież nie ma Polaków? Zatrzymujemy się w przydrożnych tawernach na posiłki lub kawę. Dojeżdżamy wreszcie do Thunder Bay, gdzie wita nas mąż Broni i wiezie do ich ślicznego domku.

Thunder Bay nazywana przez Indian krainą śpiącego giganta leży w północno-zachodniej części Jeziora Górnego. Jest tu liczna grupa Polaków (około 4 tysięcy), w tym wielu Kresowian. Większa fala imigrantów z Polski przyjechała tu w latach międzywojennych. Była to głównie emigracja rolników z okolic Małopolski i chociaż nie byli wykształceni byli wielkimi polskimi patriotami i nieśli pomoc polskim żołnierzom Armii Andersa, którzy po II wojnie światowej nie mogli wrócić do Ojczyzny. Wielu z nich zostało w Thunder Bay, tu założyli rodziny i tu mieszkają do dziś. Tu poznaję kresową rodzinę Balców – Czesław, Eugeniusz, Zbigniew, Irena i Zuzia pochodzą z Andrzejówki koło Łucka. Wraz z rodzicami wywiezieni 10 II 1940 r. do Archangielska. Ojciec pracował w cegielni, Eugeniusz z braćmi został wyrzucony ze szkoły rosyjskiej za bunt, kiedy nauczycielka powiedziała, że to Stalin jest ojcem ludzkości, a Boga nie ma. 10-letni brat musiał już pracować – kierował końmi w lesie i dopiero przy temperaturze -50°C nie pracowano ze względu na konie, a nie na ludzi. Po amnestii Sikorski-Majski dostają się do wojska polskiego – najstarszy brat z ojcem do Kermine, później dołącza do nich reszta rodziny, następnie do Teheranu, skąd po dwóch tygodniach 500 chłopców wyjeżdża do Palestyny – w tym Eugeniusz, który dostaje się do szkoły kadetów w obozie Barbara. Tutaj w roku 1944 jako uczeń gimnazjum kadetów wręczał kwiaty Generałowi Sosnkowskiemu w czasie parady kadetów. Generał



*Eugeniusz Balc
wręcza kwiaty
gen. Sosnkow-
skiemu. Obóz
Barbara w Pale-
stynie. Parada
Kadetów 1944 r.*

pytał Gienka, czy ma rodzinę w Palestynie. Tymczasem ojciec wyjechał już z wojskiem do Egiptu z bratem Czesławem, najstarszy brat dołączył do kampanii włoskiej, a mama z siostrami i młodszym bratem była w Afryce. Eugeniusz pod koniec wojny dostaje się do szkoły morskiej, następnie wyjeżdża do Anglii, gdzie najpierw przebywa w obozie przetrwania koło Birmingham. Pływa potem w brytyjskiej marynarce handlowej przez trzy i pół roku, następnie rezygnuje z kariery drugiego oficera i w 1952 r. wyjeżdża z bratem do Kanady, gdzie mieszka z żoną Danutą – również Kresowianką – w Thunder Bay, z którą mam przyjemność rozmawiać w domu Broni. P. Danuta z d. Bobel pochodzi z Kostopola na Wołyniu. Wywieziona 10 II 1940 r. w okolice Archangielska z rodzicami i starszą siostrą. Po układzie Sikorski-Majski dostają się do Iranu, a w 1943 r. do Afryki, gdzie w Tanganice mama z Danusią przebywają aż 6 lat. Tu umiera siostra Danusi – 18-letnia! Ojciec w tym czasie walczy w Armii Generała Andersa w kampanii włoskiej. W 1948 r. Danusia z mamą wyjeżdżają do Anglii, gdzie łączą się z ojcem. W 1952 r. Danusia wychodzi za mąż, a w 1963 r. wyjeżdża do Kanady i tu mieszka w Thunder Bay już 40 lat.

W domu Broni spotykam również p. Stasię Galik – Kresowiankę z Wojciechówki koło Buczacza, woj. tarnopolskie.

Pani Stasia wspomina jak to w piękny dzień 17 IX 1939 roku wracała z rodzicami od lekarza, kiedy nagle pojawił się na niebie samolot z rosyjskimi znakami. Kiedy się zniżał, tato uspokajał, że jest to przecież samolot rosyjski, a nie niemiecki. I nagle z „przyjacielskiego” samolotu zaczęły spadać bomby i tylko dzięki temu, że koń się spłoszył i zaczął galopować, rodzina uniknęła śmierci. Później na tych terenach zaczęły się uaktywniać ukraińskie bandy UPA w okrutny sposób mordując Polaków. W 1942 roku Rosjanie ewakuują wieś na wschód w okolice Trembowli i tam są aż do wycofania się Niemców ze Związku Sowieckiego. Następnie wracają na wieś i tutaj są do roku 1945, kiedy to w październiku przyszło dwóch enkawudzystów, aby ojciec podpisał obywatelstwo Związku Radzieckiego, a kiedy odmówił, dano im 7 dni na opuszczenie domu. Mogli zabrać tylko podstawowe rzeczy – zostawili zasobny dom. Obiecywano im, że na Ziemiach Odzyskanych dostaną podwójną wartość ich majątku. Rodziny przeznaczone do wysiedlenia opuszczały swoje rodzinne strony jadąc w nieznane. Na stację kolejową podstawiono dla nich platformy kolejowe bez ścian, a był to już październik. Mężczyźni stawiali prowizoryczne ściany ze słomy, aby osłonić dzieci od wiatru i zimna. Krowa i koń były obok, na środku stał piecyk do gotowania. Na terenach nowej granicy Polski przesadzono ich do wagonów towarowych po jeńcach wojennych pełnych robactwa i tak dojechali do Międzyrzecza w woj. zielonogórskim. Tutaj było jeszcze dużo Niemców ukrywających się po domach. Kiedy weszli do domu, który mieli zająć, okazało się, że ciągle przebywał tam niemiecki gospodarz, uzbrojony. Ojciec znając język niemiecki powiedział, że nie przychodzą z własnej woli. Rodzice p. Stasi zdecydowali jednak, że nie zostaną tutaj i wracają do transportu. Jadą dalej, na tej trasie z niewiadomych przyczyn zdarzył się wypadek kolejowy – niewielu ludzi się uratowało. Rodzina p. Stasi dojeżdża wreszcie do Legnicy i zamieszkują w Pątnowie Legnickim na gospodarstwie poniemieckim, w którym niewiele zostało, bo czego nie zabrali Niemcy, wyczyścili idący z frontem Rosjanie.

Pani Stasia mieszka tu z rodziną do roku 1955 tj. do wyjścia za mąż, kiedy z mężem wyjeżdża w jego rodzinne strony do Solca Kujawskiego. Po śmierci męża w 1991 roku na zaproszenie kuzyna wyjeżdża do Kanady i mieszka w Thunder Bay aż do dziś.

W Thunder Bay z Bronią i jej mężem oraz liczną Polonią uczestniczę w pogrzebie śp. Joanny Oręziak, która bardzo aktywnie udzielała się dla tutejszej Polonii wraz z mężem śp. Kazimierzem Oręziakiem – Kresowianinem, żołnierzem Armii Andersa. Kościół w czasie nabożeństwa pogrzebowego jest pełny, podziwiam piękne głosy chóru Millennium – widać, że Polonia doceniła działalność śp. Joanny i śp. Kazimierza Oręziaków, który z okazji Tysiąclecia Polski Chrześcijańskiej usypał ko-



*Kopiec z pomnikiem Tysiąclecia Polski
w International Friendship Garden w Thunder Bay
(północno-zach. Ontario)*

piec w International Friendship Garden w Thunder Bay, gdzie znajdują się charakterystyczne akcenty narodów zamieszkujących to miasto. W kopcu znajduje się również ziemia spod Monte Cassino; kopiec ogrodzony jest biało-czerwonymi słupkami, obok znajduje się kaplica Częstochowskiej Madonny ufundowana przez Koło Polek w Thunder Bay. Przebywając z Bronią i jej mężem w ich leśnym domku w stylu zakopiańskim nad jeziorem o indiańskiej nazwie Shebandowan uczestniczymy w Mszy św. w katolickim kościółku w kanadyjskim buszu, gdzie Mszę św. odprawia ks. Andrzej Deptuła z Thunder Bay sympatycznie witając mnie jako gościa z Polski. Po Mszy św. Sybiracy z okolicznych domków gromadzą się pod kościołem wraz z księdzem, a potem jesteśmy zaproszeni na polskie ciastko i kawę do pp. Balców w atmosferze szczerzej, kresowej gościnności.

20 km od Thunder Bay oglądam wodospad o indiańskiej nazwie Kakabeka nazywany Niagarą Północy – jest tak piękny, wysoko spadający z gór, w miejscu dzikim, niesamowitym, że już później oglądana słynna Niagara nie wydaje się tak piękna.

Na Indiańskiej Górze w Thunder Bay – Mount McKay, skąd rozciąga się piękny widok na miasto i jezioro, oglądam drewniane rzeźby wykonane przez polskiego artystę Zbigniewa Gajdę: Indianki, które są zwrócone twarzami do jeziora Superior, w którym leżą zwłoki rzeźbiarza po tragicznej śmierci. Również jego autorstwa są 2 ogromne kamienne niedźwiedzie w ogrodzie zoologicznym.

Z żalem rozstaję się z pięknym Thunder Bay i serdecznymi ludźmi, jeszcze mam przyjemność być na koncercie orkiestry symfonicznej i słuchać przepięknie wykonywanego Chopina przez artystkę polskiego pochodzenia p. Janinę Fiałkowską. Wdzięczna Broni i jej mężowi, a także Kresowianom za rozmowy lecę West-Jetem do Toronto, gdzie odbiera mnie moja kochana bratanica z mężem. Rozmowom po wielu latach nie ma końca.

(c.d.n.)

Eugeniusz Dmytrów

Ocalić od zapomnienia.

Kosaczów – dzielnica Kołomyi (II)

Ulica Kosaczowska – prawa strona

2. Ostrowski. 2 synów. Starszy Leopold, zawodowy wojskowy. Ożenił się z Pauliną Seniuk z ul. Legionów, po wojnie znaną działaczką kresową z Oleśnicy.

4. Olszewski. Córka Janina, mieszka w Warszawie.

6. Fedyk.

8. Szoldra.

10. Beck – wytwórnia elementów betonowych.

12. Prynda Piotr, Rozalia.

14. Patkowski Marian, Zofia. 2 córki, uczennice szkoły im. Królowej Jadwigi. Miał konia, świadczył usługi polowe i transportowe.

16. Tumir Władysław – kolejarz, 2 ha pola. Dzieci: syn Marian (20), absolwent gimnazjum KKK z 1939 r. Powołany w 1940 r. do Armii Czerwonej, po odmowie wstąpienia do komsomolu zginął zamęczony w kopalni. Janina (22), uczennica Urszulanek, Roman (24), Izabela. Janina i Roman pozostali w Kołomyi.

18. Kurz. Krawiec. Żyd – wychrzta.

20. Szmidt Feliks. Bogaty rolnik, duża posesja, dużo ziemi.

22. Szmidt Rudolf (Rudźko).

24. Adamaszek Mikołaj, Bronisława. Strażnik więzienny, 2 ha pola. Dzieci: Stanisława, Wanda, Józef.

26. Beck Bronisław. Strażnik więzienny. Córki: Ludwika i Czesława.

28. Kamiński Józef, rolnik, 10 ha pola. Córka Józefa.

30. Kolmer. Kolejarz. Gospodarstwo rolne.

32. Tańczuk.

34. Bajcer Karol. Kolejarz. Żona Rozalia. Dzieci: Zygmunt (25), Helena.

36. Korzeniowski Władysław (98), Eugenia (10). Dzieci: Emilia (33), Kazimiera (35), Mieczysław (40), Chichłowska Anna, wdowa po policjancie. Dzieci: Tadeusz (20), Adela. Tadeusz w wieku kilkunastu lat został dobozem w orkiestrze 49 h.p.p. i po wielu

wojennych przejściach osiadł w Kanadzie.

38. Bojcuniak, syn Alfred.

40. Statkiewicz.

42. Feier Srułko. 6 córek.

Roza wyemigrowała przed wojną do Palestyny. Z zagłady w getcie uratowały się Ryfka i Mucka. Mucka uniknęła getta dzięki swej koleżance Jance Maderównie, która oddała jej swoją metrykę. Mucka wyjechała z Kołomyi jako Janka Maderówna. Berta, Gusta i Fejga zginęły w getcie. Srułko miał zajazd-karczmę. Przed sporym domem, cofniętym od ulicy, był spory plac wyłożony kocimi łbami, na którym zatrzymywały się furmanki. Karczma miała dość duże wzięcie zarówno u przejezdnych, jak i mieszkańców Kosaczowa. W sobotnie i niedzielne popołudnia wręcz do dobrego tonu należał towarzyski spacer, kończący się zazwyczaj w lokalu Srułka. Panowie raczyli się tu kuflem, o nie, nie kuflem, lecz halbą korolowieckiego, diatkowskiego lub lwowskiego piwa, panie lemoniadą, a dzieci zjadały kromeczki słodkiego piernika albo też znakomite, o niepowtarzalnym smaku precle. Młodszym czytelnikom warto wyjaśnić, że powojenne precelki czy obwarzanki krakowskie, warszawskie czy smorgońskie tak się mają pod względem smaku do kołomyjskich lub lwowskich precli jak nie przymierzając Baba Jaga do Miss Uniwersum.

44. Fritz – Niemiec.

46. Chaim Szmulko. Miał sklep towarów spożywczych. 2 dzieci. Ich tragiczne losy zostaną przedstawione w dalszej części.

48. Madera Karol. Rzeźnik. 2 córki: Aniela i Janina (ta od metryki). Posesja była oddalona od ul. Kosaczowskiej o ok. 100 m, nad Kosaczówką. Dom miał dużą i głęboką piwnicę, przeznaczoną do przechowywania mięsa. Podczas ostrzału artyleryjskiego miasta w lecie 1944 r. piwnica służyła jako schron dla okolicznych mieszkańców.

Na tym kończy się zabudowa prawej strony ul. Kosaczowskiej. Jednak warto wymienić jeszcze jedną rodzinę, formalnie zamieszkałą już w Puźdykach, ale organicznie związaną z Kosaczowem.

Karol Zaręba (Zaremba?), emerytowany kolejarz. Rodzina zajmowała się rzeźnictwem. Tu w wędliny zaopatrywała się znaczna część Kosaczowa. Okazały dom mieszkalny był posadowiony na wzgórzu, pokrytym dużym sadem i pięknymi klombami. Zaręba był bardzo lubiany przez młodzież. Założył kółko artystyczne, a młodzież chętnie uczęszczała na spotkania. Wiosną kładł w sadzie podłogę, służącą przez całe lato jako parkiet, a społeczność kosaczowska, głównie młodzież, tańczyła przy dźwiękach gramofonu lub akordeonu. W rodzinie było 6 dzieci: Michał (14), Janina (16), Franciszek (18), Józef (20), Czesław (24) i Alicja (33). Michał zginął w kampanii 1939 r., Janina, po mężu Majewska, osiedliła się we Wrocławiu, Franciszek był po wojnie zawiadowcą stacji pod Wrocławiem. Józef był tuż



Fragment planu miasta. Bożena Krupska, Wrocław 1996 r.

przed wojną bramkarzem drużyny piłkarskiej WCKS Pokucie, wypadki wojenne rzuciły go do Kanady, gdzie tragicznie zginął – utonął. Czesław miał dobrze prosperującą warsztat samochodowy we Wrocławiu. Uczestniczył w pierwszym spotkaniu Kołomyjan, zorganizowanym w dniu 30 stycznia 1988 r. przez niezapomnianych – ks. Stanisława Jaremczuka i przeucziwego Miecia Rutowicza. Wkrótce potem zmarł na chorobę Bergera. Alicja wybrała życie wędrowne, wychodząc za mąż za właściciela karuzeli.

Ulica Kosaczowska – lewa strona

1. Sługocki

3. Budyńczuk, Ukrainiec, żona Niemka. 3 dzieci: Oskar (23), Albert (27), córka (33). Młody Ukrainiec pracował kiedyś u bogatego Niemca na Baginsbergu. Praca zakończyła się mariażem z córką. Posag wystarczył na pobudowanie sporego domu z pięterkiem i założenie sklepu kolonialnego o nieco wyższym standardzie. Budyńczuk, osobiście prowadzący sklep, był człowiekiem o surowym obliczu, pozbawionym uśmiechu. Nie ukrywał niechętnego stosunku do Polaków i Polski. Tylko dbałość o interes skłaniała go do posługiwania się językiem polskim. Obaj synowie, a szczególnie starszy Oskar, który w 1939 r. ukończył gimnazjum kupieckie, byli chłopcami bardzo dobrze ułożonymi, kulturalnymi i sympatycznymi. W przeciwieństwie do ojca nie wykazywali żadnego szowinizmu, byli przez młodzieżowe środowisko akceptowani i wręcz lubiani. Cała rodzina wyjechała pod koniec 1939 r. do Rzeszy, razem z Niemcami kołomyjskimi.

5. Niemczyk, zawodowy wojskowy, miał młodziutką, ładną żonę.

7. Reiter – Żyd, bezdzietne małżeństwo. Prowadził sklep o typowej dla Kołomyi nazwie „Handel towarów mieszanych”. Reiter był jedną z pierwszych ofiar po wkroczeniu Niemców w 1941 r. Niemcy spędzili sporą gromadę Żydów do porządkowania terenu dworca kolejowego po sowieckich zniszczeniach. Po całodzienniej pracy dla odświeżenia i kąpieli nakazali Żydom, w tym Reiterowi, wskoczyć do dołu, wypełnionego jednak gazem wapnem. Poczucie humoru zgoła makabryczne.

9. Plezia. Córka Jadwiga (21), uczennica szkoły im. Królowej Jadwigi. Syn Zdzisław (24) ukończył w 1939 r. trzecią klasę gimnazjum KKJ.

11. Romańczuk Michał miał warsztat szewski. Zarówno warsztat – personel, jak i dom były prowadzone twardą ręką. Losy sprawiły, że w czasie I wojny Romańczuk znalazł się w Rosji i przeżył tam całą rewolucję październikową. Opowiadał o wielu przerażających wypadkach z tamtych lat. Miał 6 córek: Maria, Eugenia, Helena (22), Jadwiga (23), Zofia (25), Eulalia (27). Po wojnie osiedlili się w Krzyżu. Panny znalazły godnych mężów.

Mazurkiewicz Julian z matką. Zawodowy wojskowy.

Czajkowska Stefania (21), uczennica średniej szkoły zawodowej. Szczupła, zgrabna, zawsze elegancko ubrana, kuzynka Juliana.

13. Koch – zawodowy wojskowy. Dwie córki, uczennice Urszulanek. Starsza Wacława wyszła za mąż za Zbigniewa Zarębę z Al. Wolności. Zamieszkali w Toruniu. Młodsza – Krystyna.

15. Bohr Franciszek, zawodowy wojskowy, kwatermistrzostwo 49 h.p.p.

Syn Stanisław, zginął w wojnie obronnej 1939 r.

Córka Czesława, uczennica Urszulanek, wyszła za mąż za Władysława Hruszkę z ul. Zygmuntowskiej, owdowiała, mieszka obecnie w Poznaniu.

Syn Ryszard (26), botanik, specjalista ekologii roślin, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, rektor tej uczelni kadencji 1978-81.

21. Szkoła. Nauczycielka Zofia Stefanowiczówna, absolwentka seminarium nauczycielskiego w Kołomyi z rocznika 1914. Zmarła w Oławie w 1994 r. w wieku 100 lat. W szkole były dwie klasy. Druga zaczynała lekcje o 8.00, pierwsza o 10.30. W niektórych dniach tygodnia w sali szkolnej przebywały równocześnie obie klasy, zajmując różne końce sali.

25. Stadniczeńko, emerytowany kolejarz.

Pająkowa, uboga wdowa, b. pracowita. Kilko dzieci: Stanisław (20), Petronela, Kazimierz.

29. Kamiński Michał, szewc, dużo gruntu rolnego. Dwóch synów: młodszy Mundek, trochę rozwyrzany młodzieniec, starszy – zawodowy wojskowy. Córki: Janina – wyszła za mąż za podoficera, druga – Matylda – za policjanta.

31. Beck Franciszek – rolnik. 4 dzieci. Helena i Rozalia wyszły za mąż za zawodowych wojskowych, najmłodsza Kazimiera. Helena pozostała w Kołomyi. Syn Stanisław.

33. Beck Ludwik, kolejarz, grunty rolne, dobrze sytuowany. 3 córki i 2 synów. Helena wyszła za mąż za strażnika pogranicza, Nusia za zawodowego wojskowego. Matylda. Synowie Józef i Władysław. Józef, absolwent gimnazjum KKJ w 1936 r. pracował w tajnej radiostacji, usytuowanej w pobliżu horodeńskiego mostu kolejowego. 4 sierpnia 1939 r. radiostację wywieziono na stanowisko alarmowe. Po kampanii 1939 r. sprzęt i ludzie znaleźli się w Anglii. Józef osiadł ostatecznie w Toronto, gdzie zmarł w 1985 r.

35. Smeryczański. 1 córka, 2 synów. Inteligencka, ukraińska rodzina, trójka dzieci ukończyła seminarium nauczycielskie.

37. Wolanin Leon. Rolnik, powszechnie znany z imienia.

39. Serafin, kolejarz, wdowiec. 2 córki: Bronisława i Kazimiera, syn Jan.

Danker – Żyd. 2 córki. Jedna Regina uratowała się.

41. Abramko, Żyd, właściciel sklepu towarów mieszanym. Właściwie Abraham Krems. Starsze, bezdzietne małżeństwo, zmarli przed 1939 r. Abramko, wysoki, chudy, miał swoisty, filozoficzny stosunek do życia. Z wybranymi klientami prowadził uczone rozmowy o bycie i niebycie, traktując sklep jako uciążliwą prozę życia.

Grela Józefa z córką i rodzicami.

Szwerluga, zajęli mieszkanie po Abramku. Szwerluga zginęła tragicznie w czerwcu 1941 r. Uciekający ul. Kosaczowską Sowietzi ostrzeliwali domy. Ona stała w oknie, żołdat skierował do niej broń. Zginęła na miejscu.

43. Zawadzki Michał, żona (druga) Katarzyna. Dzieci z pierwszego małżeństwa: Anna, Stefania, Piotr. Z drugiego: Maria, Janina, Kamila i Zbigniew. Kolejarz, właściciel 2 domów i gruntu rolnego. Zmarł w 1930 r. Maria ukończyła szkołę średnią, za okupacji sowieckiej pracowała jako księgowa w Korszowie. W 1942 r. wyszła za mąż za Tadeusza Kisielewskiego, współwłaściciela drukarni przy ul. Brasona. Owdowiała, mieszka obecnie w Koszalinie. Janina zdobyła zawód krawiecki, Kamila – kapelusznicy, prowadziła własną firmę. Zbigniew zajmował się po wojnie naprawą maszyn biurowych. Kamila i Zbigniew mieszkają w Bydgoszczy.

45. Orłowski Michał, żona Anna z d. Zawadzka. Kolejarz. Dzieci: Adam (26) inżynier elektryfikacji kolei we Wrocławiu, Jerzy (29) technik dentystyczny, Ewa (31) wyszła za mąż za górnik, mieszka w Bytomiu.

47. Beck, kolejarz, grunty orne.

49. Szklarz, kolejarz.

Laskowski. Biedna, wielodzietna rodzina. Laskowski był dorożkarzem. Niżej przedstawione wydarzenie jest absurdalne, ale prawdziwe. Otóż mając małe dochody wpadł on na pomysł ograniczenia wydatków poprzez oszczędzanie na koniu. Postanowił oduczyć konia od jedzenia i picia. Jak sam relacjonował, koń był znakomity (w rzeczywistości wynędzniała szkap), już się zupełnie oduczył od jedzenia i prawie od picia. Ale coś mu (tzn. koniowi) się stało i zdechł. Tak czy inaczej sam właściciel długo nie pociągnął i zmarł na gruźlicę. Już podczas okupacji niemieckiej wdowa wzięła na przechowanie 4-osobową rodzinę żydowską Chaima. Na jakiś czas zapewniło to Laskowskiemu względny byt, ale prawdopodobnie ktoś zdradził. Niemcy rozstrzelali na oczach mieszkańców zarówno Żydów jak i Laskowską. Nie wiadomo, co stało się z dziećmi.

51. Gielik. Córka Genia wyszła za mąż za Sowietę.

53. Patkowski. Rolnik.

Teper – Żyd, handlował zbożem. Córka Andzia.

55. Biliński Jan, żona Anna. Kolejarz, gospodarstwo rolne, dobrze sytuowany. 2 córki: Janina i Stanisława.

Ulica boczna Zygmuntowskiej

Kilka domów, bardzo zadbanych, w ogrodach i sadach.

Białoskórski – syn Stanisław (25).

Junger – syn Edward. Edzio Junger (23) ukończył przed wojną trzecią klasę gimnazjalną KKJ. Postać znana w kręgach gimnazjalnych, harcerskich i środowiskowych. Sympatyczny, przyjazny, koleżeński, wszędzie akceptowany. Osiadł w Trzciance.

Ulica Nowowiejska

5. Berczowski, żona Anna, syn Zbigniew (33). Zawodowy wojskowy. Zginął tragicznie w czerwcu 1938 r. Wracał z polowy ryb na Kosaczówce. Gdy był w połowie drogi pomiędzy ul. św. Teodora a Kosaczowską nagle

pojawiała się burzowa chmura i uderzył w niego piorun. Zginął na miejscu. Wdowa postawiła w tym miejscu krzyż, zniszczony przez Sowietów.

7. Stefan Romańczuk. 2 córki i syn. Brat Michała z ul. Kosaczowskiej.

9. Zwaryczuk. Rodzina ukraińska.

Ulica św. Teodora

1. Szoldra, małżeństwo, dwoje dzieci: Stefania (21) i Kazimierz (23). Szoldra z synem wyjechali w 1944 r. z Niemcami. Za drugiej okupacji sowieckiej w lecie 1944 r. odwiedził Szoldrów jej brat z kolegą. Służył on w Czerwonej Armii. Spotkanie po kilku latach rozłąki uczczono sutą kolacją. Na drugi dzień sąsiedzi odkryli, że cała trójka Szoldrów została bestialsko zamordowana. Nie wiadomo kto dokonał zbrodni, ani jakie było jej podłoże.

2. Cupryk. 2 synów. Starszy Stanisław (18), absolwent gimnazjum KKJ z 1937 r.

3. Czarnecki Stanisław (12), żona Maria. Fotograf uliczny. W sezonie letnim pracował w kurortach, głównie w Jaremczu. Powołany w 1944 r. do wojska. Osiedlił się po wojnie w Raciborzu, gdzie założył nową rodzinę. Żona Maria wcześniej związała się z Sowietem. Pozostała w Kołomyi.

Ulica Wołoska

4. Andrejczuk Piotr, Ukraińiec, kolejarz. Żona Maria, siostra Karola Bajcera. Dzieci: Roman (25), Irena (27), Mirosław (31). Roman rozpoczął przed wojną edukację we wstępnym seminarium duchownym obrządku greckokatolickiego. Za okupacji niemieckiej wstąpił ochotniczo do SS-Division Galizien. Po wojnie, dla zatarcia śladów, wyjechał do azjatyckiej części ZSRR.

6. Piśko, zawodowy wojskowy, kierownik magazynu mundurowego 49 h.p.p. Dzieci: Julian (23) uczeń gimnazjum KKJ, Stanisława (27), bardzo ładna.

8. Ziarnicki, emerytowany funkcjonariusz policji. Żona Niemka. Dzieci: Matylda, zamężna, członkini Strzelca, Edward (19), po wojnie oficer marynarki. Ziarnicka pozostała w Kołomyi do 1958 r., później wyjechała do Gdyni do syna.

10. Orobec. Biedne, ukraińskie, starsze małżeństwo.

12. Szklarz. Posesja blisko rzutni granatów i Kosaczówki. Synowie: Antoni, zawodowy wojskowy, Emil, wysoki przystojny blondyn, bliźniacy (22) Władysław i Stanisław.

Ulica św. Jadwigi

3. Gieryluk, emerytowany robotnik kolejowy. Bardzo religijna rodzina o nietypowym życiorysie. Pięcioro dzieci. Dwaj starsi synowie Kazimierz i Stanisław byli marynarzami, jeden w podwodnych okrętach. Trzeci – Karol pracował w odlewni Braci Biskupskich, w wojsku był czołgista. Czwarty z kolei Jan także wyjechał do Gdyni, zaciągnął się do marynarki i służył w okrętach podwodnych. Najmłodsze z dzieci Maria Natalia jasna blondynka o kręconych lokach i niebieskich oczach uczyła się u Urszulanek, była członkinią Strzelca. Za pierwszej okupacji sowieckiej podjęła pracę na kolei i związała się z Sowietem. Wyjechała z nim w 1941 r., ale okazało się, że on tam miał już rodzinę. Wróciła do Kołomyi, ale już odmieniona, w znacznym stopniu zrusyfikowana.

5. Kosyluk Jan, żona Stefania z Zawadzkich. Tokarz. Córki: Zdzisława i Urszula. Zdzisława wyszła za mąż za geodetę Uniatowskiego, zamieszkali w Poznaniu. Mężem Urszuli był Jan Buhacz.

7. Szponar.

9. Huculewski – zawodowy wojskowy.

11. Chomiak, córka Genia.

13. Prynda, kolejarz.

Kanada

O mieszkańcach Kanady udało się uzyskać tylko szczątkowe informacje:

– Wangricht, policjant. Córka Kazimiera (22), ładna, fertyczna brunetka.

– Moszuk, dwie córki. Starsza zamężna. Jej mąż brał udział w kampanii wrześniowej. Długo nie wracał, wydawało się, że zginął. Po kilku miesiącach, za Sowietów, wrócił cały i zdrowy. Żona wybiega mu na spotkanie, upada i zmarła na atak serca. Młodsza córka – Bronisława (21).

– Huculak, dwie córki, starsza działała w Strzelcu. Młodsza Nela (24), piękna brunetka, skromna, wyważona, koleżeńska. Pozostała w Kołomyi.

– Kotowicz, dwie córki i syn. Starsza Zofia została w Kołomyi, prowadziła aptekę. Młodsza Olga, uczennica Urszulanek, osiedliła się po wojnie w Gdańsku.

– Piotrowski, dwie córki, starsza Olga.

Refleksje końcowe

W latach dziewięćdziesiątych dwukrotnie odwiedziłem Kołomyję. Pokazywałem kolejno córce i żonie miejsca, które one znały z opowiadań. Miały możliwość porównać swoje wyobrażenia ze stanem rzeczywistym. Nie będzie przesadą stwierdzenie, że przewędrowaliśmy przez znaczną większość ulic, zaliczyliśmy wszystkie dzielnice miasta, w wielu miejscach dochodząc do granic Kołomyi. Zainteresowanym Kołomyją obserwatorom pokazywałem charakterystyczne miejsca i budynki, jak koszary, boisko POKUCIA i Sokoła, szpital, dworzec kolejowy, wille przy ul. Wilsona, które zachowały nazwy sprzed I wojny światowej, cmentarze, świątynie i szkoły. Pokazałem też budynek żeńskiej szkoły średniej – zawodówki przy ul. Mickiewicza, dziwnie pomijanej we wszystkich wspomnieniach, a błędnie oznaczonej na planie 96 jako bursa. A przecież ta szkoła znana była z urody uczennic i wysokiego stopnia fachowości grona. Odwiedziliśmy też wszystkie zakamarki Kosaczowa. Wszystkie wrażenia nagrywałem na miniaturowym dyktafonie, opisując to, co widziały moje oczy, wydaje mi się, że beznamytnie i bezstronnie. Jak wygląda w tej sytuacji konfrontacja Kosaczowa 39 i Kosaczowa 95?

Ulica Kosaczowska przestała być jedną z wylotowych ulic miasta w wyniku zamknięcia przejazdu kolejowego – rampy, stała się więc ulicą lokalną. Dla umożliwienia ruchu pieszych zamiast rampy – nad torami zbudowano kładkę. Gdzieś za czasów sowieckich ulicę pokryto dywanikiem asfaltowym. W 1995 r. asfalt był tu także zniszczony, a w nawierzchni porobiły się wyboje sięgające pół metra (tak!) głębokości. Jak mogły się tam poruszać samochody – nie wiadomo. Pozostałe ulice nie zmieniły swego charakteru i wyglądu.

Zniknęły stawy. Zasypane śmieciami i odpadkami stały się terenem budowy ohydnych, krzywych, koślawych szop i garaży bez ładu i składu. Pomnik-obelisk był widoczny, ale na ogrodzonym terenie urządzono złomowisko. Teren ćwiczeń 49 h.p.p. także zmienił swój charakter. Został częściowo zabudowany jakimiś halami i szopami, natomiast bliżej Kosaczówki, tam gdzie kiedyś rosły kolonie kwiatów, powstały kolonie chwastów,

pokrzyw i ostów, sięgające 2 m wysokości, tworzące gęszcz nie do przebycia.

Kosaczówka stała się ściekiem. Prawdopodobnie wskutek prac ziemnych naruszono stosunki wodne, w wyniku czego w rzece prawie nie było wody. Rzeka jakby znikła. Okolice mostu drogowego, będące wcześniej miejscami kąpeli, stały się wysypiskiem starych przedmiotów, naczyń, resztek mebli, części maszyn itp. Tragiczny był wygląd domostw. Nieremontowane przez dziesiątki lat, brudne, zaniedbane, pochylone od starości, ukryte w dzikich krzakach niczym nie przypominały domów przedwojennych. Jedynym pozytywem były zabudowania postawione chyba w ostatnim czasie, wypeł-

niające lukę po lewej stronie Kosaczowskiej między numerami 53 i 55.

Czy stwierdzona degradacja dzielnicy jest czymś wyjątkowym? Chyba nie.

W wielu, a właściwie prawie we wszystkich wspomnieniach jest wymieniana prawidłowość, że gdzie wkroczyła władza sowiecka, natychmiast powstawał bałagan, brud, nędza, nieporządek i zniszczenie. Ta prawidłowość znalazła całkowite potwierdzenie na Kosaczowie. Uzyskanie przez Ukrainę niepodległości nic w tym zakresie nie zmieniło.

Niech więc w naszych wspomnieniach pozostanie ten dawny, polski Kosaczów. □

Władysław Bohr („Sas”)

Obóz (II)

Tymczasem w obozie czas mijał, a widoki na wyjazd były nikłe i mgliste. Nowy komendant obozu major Kozłowiec kiedyś oficjalnie zapowiedział: „skoro ujdziecie w damoj”. Reakcją był ogólny śmiech. To doprowadziło majora do wściekłości i najbliższych stojących kazał zamknąć w KPZ za to, że śmieli się śmiać z oświadczenia samego Stalina. Między innymi trafił tam także Wiktor Działyk. Kiedy po jakimś czasie wrócił, opowiadał, jak to śledczemu „zaaplikował” własny wierszyk, po którym go wypuścili. A oto ten wierszyk:

*Nie dierżycie wy mnie bolsze,
Nie muczytie duraka.
Moje miasto tolko w Polsce,
Odpustitie starika!*

Sensacją obozową była udana ucieczka z obozu kapitana „Szczerbca”, Mickunasa i por. „Sępa”. 1 marca wykorzystując gęstą mgłę przebrani w białe prześcieradła przekradli się przez druty i szczęśliwie dotarli do kraju. „Szczerbiec” w 1949 r. został aresztowany przez UB i w 1950 r. skazany i rozstrzelany za zwalczanie na wileńszczyźnie sowieckiej partyzantki. Mickunas umarł w latach siedemdziesiątych w Wielkopolsce, bodajże w Jarocinie.

Z innych ucieczek, których było kilkanaście (w większości nieudanych) na wzmiankę zasługuje ta chorążego Kobuza i por. Będkowskiego – doszli do Lidy i tu w chacie, gdzie chcieli się ogrzać (a była ostra zima) trafili na milicjanta, w efekcie czego po 4 miesiącach nieobecności zjawili się znowu w obozie, ale pod konwojem. Stary chorąży jeszcze raz próbował uciekać (w lipcu 1947 r.), ale po trzech dniach go złapali. Zapytany przez komendanta, czy będzie jeszcze uciekał, odpowiedział – budul!

Do ważniejszych zdarzeń należała awantura o przedstawienie, które wystawił „klub demokratów”. Był to twór zainspirowany przez Sowietów, mający na celu ideologiczne wychowanie internowanych. „Klub” na z górą 2000 osób w okresie największego rozkwitu miał 175 członków, głównie żołnierzy i paru oficerów, którym się zdawało, że to ułatwi im szybszy powrót. Jako konkurencyjną formę bezideowych przedstawień „Naszej Budy” klub przygotował sztukę własnej twórczości. Tytułu już nie pamiętam, ale treść znam z opowiadań żołnierzy, bo od początku spektakl był przez oficerów

bojkotowany. Był to ohydny paszkwil na AK. – Matka miała 3 synów, dwóch było porządnymi w partyzantce GL, która miała kontakty z dobrymi sowieckimi partyzantami, a trzeci – wyrodek – należał do AK. To był pijak i złodziej, współpracował z Niemcami, szuja. Finał premierowego przedstawienia był żalospisny – jeszcze przed zakończeniem spektaklu „artyści” zostali na scenie obrzuceni zgniłymi ziemniakami i błotem, a potem poturbowani do krwi. Z baraku oficerskiego wyrzucono wszystkie rzeczy pięciu oficerów-demokratów, a ich samych nie wpuszczono do środka. Powstała niezwykła awantura. Major Kozłowiec początkowo się odgrażał, że ten „bunt” będzie srogo ukarany, ale po rozmowie z rotmistrzem Kozakiewiczem, polskim starszym obozu, złagodził. Janusz przedstawił mu jasno i spokojnie nasze racje. Takie ordynarne i głupie zożydanie spraw dla nas świętych obraża nas i nie może być tolerowane. Gdyby major był w naszej sytuacji i gdyby ktoś w taki ordynarny i kłamliwy sposób przedstawiał sprawy dla niego święte, postąpiłby tak samo. I o dziwo! Kozłowiec zastosował pewne sankcje dyscyplinarne (zresztą sprawców pobicia nigdy nie wykryto), ale dla świętego spokoju wydzielił osobny barak dla „demokratów”, a nawet polecił spożywanie posiłków w osobnej stołówce. W ten sposób siedząc w obozie, zostali dodatkowo odizolowani od reszty obozowej społeczności.

Jeszcze dwa wydarzenia z uwagi na ich wymowę uważam za godne odnotowania: Ze Stalinogorska (też obóz) przyjechało do nas około 40 oficerów z armii Berlinga w charakterystycznych drelichowych mundurach z dystynkcjami i w polówkach z orłem piastowskim – bez korony. Byli to oficerowie, których już po wcieleniu rozszyfrowano, że byli w AK – w efekcie czego zamknięto ich w obozie.

Drugim zdarzeniem był wystosowany do rządu PRL list zapewniający o lojalności internowanych. Zbierano podpisy w całym obozie. Inicjatorem całej akcji był major „Żegota”, który twierdził, że taki list może przyspieszyć nasz powrót do kraju, gdzie teraz jesteśmy najbardziej potrzebni. Ten dzielny oficer na pewno miał dobre intencje (był kiedyś dowódcą 27 dywizji AK wstawionej w walkach z Niemcami na Wołyniu). Ale sam pomysł spowodował rozbięcie społeczności obozowej. Część, i to duża, uważała, że w myśl powiedzenia „cel uświęca środki” podpis wcale nie oznacza zmiany przekonań, a jest tylko dyplomatyczną grą. Część zaś – głównie wilniacy i lwowianie – zdecydowanie odmówiła podpisu. Miało to jeszcze jedną złą stronę: brak podpisu mówił jednoznacznie o nastawieniu tych, którzy nie

deklarowali lojalności i był znakomitym ułatwieniem dla „kontrrazwiedki” w rozeznaniu, kto jest kto. List prawdopodobnie nie wyszedł nigdy poza obóz, ale uczynił dużo złego. Być może dlatego przesiedziałem w obozie dłużej od innych.

W czerwcu 1947 r. (chyba 25) obóz znów ogłosił głodówkę. Tym razem inicjatywa wyszła od żołnierzy, a my oficerowie poparliśmy ją. Chodziło o to, by uniknąć represji. Wkrótce Sowieci wywieźli do więzienia generałów i pułkowników, skąd wkrótce powrócili oprócz generała „Marcina” Grabowskiego, który w tajemniczych okolicznościach zmarł w więzieniu. Znów przyjechał z Moskwy delegat-generał, który zapewnił, że jeżeli głodówkę przerwiemy, to wyjedziemy z obozu. Co prawda nie powiedział jak i dokąd, ale ludzie uwierzyli, że na wolność. I rzeczywiście w ciągu 2 tygodni obóz rozwiązano. Nasi generałowie, pułkownicy i majorowie wyjechali pierwsi. Nas 300 młodszych oficerów załadowano do towarowych wagonów i pod konwojem wywieziono do Czerepowca. Część żołnierzy, podoficerów i podchorążych skierowano do Borowicz i do Kazania. Obóz w Diagilewie przestał istnieć.

Tak więc z początkiem lipca 1947 r. ciasno, po 50-60 chłopca, siedzieliśmy w bydłych wagonach z małą dziurą w podłodze (żeby nie można było prysnąć). Lipiec – duszno, gorąco! Trwały niekończące się dyskusje na temat, gdzie nas wiozą. Zdecydowani optymiści uważali, że rząd londyński upomniał się o swoich żołnierzy, więc jedziemy do któregoś z północnych portów i tam czekają na nas angielskie, a może i polskie okręty, które nas zabiorą do Wielkiej Brytanii. Drugą grupę stanowili skrajni pesymiści, którzy widzieli nasz los w najczarniejszych barwach i prorokowali nowy Katyń.

Była i trzecia grupa, do której i ja należałem, a która nie wierzyła w angielskie okręty ani w Katyń – po prostu zmienialiśmy obóz. Oprócz mnie tego samego zdania byli Kazik Kacperski, Bolek Bondy „Wiśniarski”, Czesław Budrewicz i kilku innych (Kazik Krauze po operacji ślepej kieszki jechał w wagonie szpitalnym). W pewnym momencie to nasze przekonanie zostało wystawione na ciężką próbę. Podróż trwała 7 dni, a nasi konwojenci nie przejawiali przyjaznych uczuć. Dokuczały upały. Kiedyś rano ocknąłem się i usłyszałem rozmowę dwóch bojów. Jeden twierdził, że „naczelstwo to eto duraki”. On inaczej by z nami „pogawarił”.

Minęliśmy Moskwę i nasz eszelon według gwiazd skierował się na północ. Triumfowali optymiści. Gdyśmy się zatrzymali na stacji Biologoje, kierunek leningradzki wydawał się realny. Ale zamiast na północny zachód eszelon skręcił na północ, co spowodowało ochłodzenie optymistycznych nastrojów. A w pewnym momencie pociąg stanął w gęstym lesie. Ogarnęły nas wątpliwości, czy ta sceneria nie wróży „przesiadki do wieczności”. Kazik Kacperski drwił niemiłosiernie z optymistów, którzy tym razem jechali na te swoje okręty do Murmanska i prorokował 9 gram ołowiu w tył czaszki... Po dwóch godzinach pełnych nerwowego napięcia i oczekiwania, pociąg ruszył dalej. Obóz w Czerepowcu (oblast Wołogda), do którego w końcu trafiliśmy, zajmował duży teren, na którym w licznych barakach mieszkało 7 do 8 tysięcy jeńców. Byli to głównie Niemcy, ale dużą grupę stanowili też Rumuni, Węgrzy, a nawet nieliczni Hiszpanie z Błękitnej dywizji gen. Franco. To międzynarodowe towarzystwo uzupełnialiśmy my Polacy. Co prawda

nasz wspólny pobyt z Niemcami w obozie jenieckim u sojuszników, jakimi byli Sowieci w koalicji antyhitlerowskiej, był co najmniej dziwny, jeżeli wręcz nie bezsensowny.

Mój krótki (od lipca do października) pobyt w Czerepowcu zostawił niewiele w pamięci. Jak wspominałem, nieliczna grupa Hiszpanów prawie wyłącznie sprawowała jakieś obozowe funkcje. Jeden z nich – Fernando, wspaniały typ pięknego mężczyzny – był obozowym profosem więzienia. Ponoć lał niemiłosiernie Niemców, którzy trafili do jego „pensjonatu”. I tu dopiero okazało się, że Wiktor dobrze gadał po hiszpańsku. Jednej sierpniowej nocy jedenastu naszych dało nogę z obozu – zresztą wszystkich w ciągu trzech dni wyłapano. Zrobiła się draka, zarządzono alarm i zbiórkę na placu. A Manius – chyba największy śpioch w obozie (bardzo nie lubił, gdy go budzono) – pomimo alarmu spał spokojnie w baraku. Obozowy politruk – starszy lejtnant Jegorow sprawdzał baraki i usiłował na siłę obudzić Maniusia. Ten półprzytomny w ciemnym baraku zaaplikował mu klasyczny bokserki cios i podbił mu oko. Oczywiście Manius wyładował w „pensjonacie” Fernanda. Tu nie wolno było palić, dostawało się zmniejszoną rację żywnościową, a o jakichkolwiek kontaktach z obozem nie było mowy, czego zresztą Fernando ściśle przestrzegał. I tu zadziałał Wiktor. Przez gońca w komendaturze sowieckiej – też Hiszpana, zwanego Krzyworączką (miał po zranieniu krzywo złożoną rękę) – dotarł do Fernanda i dzięki temu Manius miał co palić, otrzymywał niezłe wałówki i wszystko, co trzeba. Groził mu sąd za pobicie oficera w czasie pełnienia służby, ale Jegorow okazał się przyzwoitym człowiekiem. Po prostu uznał, że Manius w ciemności nie wiedział, kto go budzi, a półprzytomny bronił się jak umiał. I on Jegorow nie ma do niego żadnych pretensji. Po tygodniu Manius wrócił do baraku.

Z Węgrami zawiązały się szybko serdeczne kontakty. Byli tylko ogromnie zdziwieni, że my – polscy oficerowie – znaleźliśmy się w jenieckim obozie u Sowieców i nijak nie mogli pojąć dlaczego. Raz w tygodniu pod bramą obozu formowała się dość duża grupa Niemców, którzy opuszczali obóz. Odsyłano ich ponoć do „Vaterlandu”. Po obozie chodziły znów parole, że nasz wyjazd do kraju jest kwestią dni. I rzeczywiście około 15 lub 16 października wyczytano 40 nazwisk (wśród nich i moje) i kazano przygotować się do wyjazdu. Optymiści widzieli w nas kwatermistrzów dla reszty obozu. Zbiórka wyczytanych, ładowanie do samochodów ciężarowych – i pożegnaliśmy obóz w Czerepowcu.

Nasze następne miejsce postoju to obóz w Griazowcu, który budowali jeńcy fińscy w 1940 roku. Mieszkali tu także nasi oficerowie z 1939 r. m.in., jak się dowiedziałem już po wojnie, por. Pawulski z mojego 49 pułku. Obóz miał teren pofałdowany, środkiem w dość głębokim jarze przepływała rzeczka, dzieląc obóz jakby na dwie części. Z jednej strony była komenda sowiecka, „sanczast”, łaźnia i stołówka, z drugiej baraki mieszkalne. W barakach mieszkali oficerowie niemieccy (duży procent wyższych rangą) i część żołnierzy – razem około 3 tysiące. Nasza grupa otrzymała osobny wydzielony i dodatkowo odrutowany barak. Na wieżycze stał ruski bojec. Do łaźni, do stołówki szliśmy razem, pod opieką służbowego. Nad naszym cennym zdrowiem czuwała kobieta „wracz”, bezpośrednim opiekunem ba-

raku był ksiądz Dziunio. Był to franciszkanin **ojciec Rafał**, w cywilu **Władysław Kiernicki**, pseudonim konspiracyjny „Dziunio”. Szalenie żywotny, pogodny, zawsze uśmiechnięty był fenomenalnym człowiekiem, władał biegle kilkoma językami, w tym także rosyjskim. Był niezwykle skromny i poświęcał się całkowicie służbie dla innych. Raniutko, gdy wszyscy jeszcze spali, w czasie bardzo ostrej zimy wstawał pierwszy, odma- wiał brewiarz, potem chwycił łopatę i odgarniał śnieg, palił w piecu, obchodził chorych aplikując leki, a gdy ktoś wyraził chęć, spowiadał. Słowem Dziunio to prawdziwy ksiądz, przyjaciel, opiekun, prawdziwy kolega.

Nasze grono zmalało do kilkunastu osób. Niektórych, jak np. Wicia Ginejkę i jeszcze kilku, których uznano za sowieckich obywateli, wywieziono, a kilku przeniesiono do innych obozów. Nie potrafię już wymienić wszystkich, którzy byli ze mną, ale na pewno byli: Józek Łagodzki, Staszek Torowicz, Staszek Łatkowski, Władek Bober, Zbyszek Korczak, Janusz Specylak, Bolek Wójtowicz, Tadzio Wyrobek, Kazik Kacperski, Boguś Berger, Staś Adamski, ksiądz Dziunio. Z Kazikiem Kacperskim żyliśmy się właśnie w tym obozie. Pochodził z Kiwerc, trafił do armii Berlinga, ale na krótko. Bo gdy go rozszyfrowali, że był w AK, pojechał do obozu w Ostaszkowie, skąd trafił do Diagilewa. Kazik miał obsesję na punkcie swojego zdrowia. Ponieważ miał jakieś tam dolegliwości, które według niego mogły go w przyszłości pozbawić przyjemności obcowania z kobietą, Kazik dostał na tym punkcie chorobliwej manii. Ale poza tym grał w pokera i to dobrze. Kiedyś w Diagilewie przegrał płaszcz i buty, lecz za parę dni wszystko odegrał i jeszcze dużo wygrał.

Mieszkaliśmy w dużym baraku obliczonym chyba na 100 osób, więc miejsca było dużo, ale cała nasza grupa ulokowała się wokół pieca, bo zima była pierońska. Chyba przez zapomnienie pozostawiono w kącie baraku zwinięte koce i prześcieradła. Ponieważ mrozy nocą dochodziły do minus 50°, a w baraku woda zamarała aż do dna, rozbieraliśmy niezajęte prycze na opał, a dodatkowe koce chroniły nas od zimna. A prześcieradła Kazik wykorzystywał inaczej, z czego on i ja mieliśmy dodatkowe porcje chleba. Polegało to na tym, że co 10 dni chodziliśmy do łaźni, zdając przed kąpielą brudną bieliznę, a po kąpieli dostawaliśmy czystą, a Kazik robił z prześcieradeł koszule – składał prześcieradło, wycinał otwór na głowę, przyszywał dwa takie niby rękawy, składał w kostkę i zdawał jako brudną bieliznę. Tylko ja byłem dopuszczony do tej tajemnicy. Ta „biała dekada” trwała jakiś czas, dopóki łaźnienny nie połapał się i nie zaczął przyglądać się każdej zdawanej sztuce bielizny. Tak czy inaczej zaopatrzyliśmy się z Kazikiem – każdy po kilka par nowych czystych koszul, a nadwyżki Kazik sprzedawał Niemcom za chleb po paskarskich cenach. A w ogóle kiedy zostaliśmy w tak niedużej grupie, zaczęło się nam nieźle powodzić.

Jednak kiedyś rano na wieżycze strażniczcej zamiast ruskiego bojca zobaczyliśmy szkopa. Na znak protestu z miejsca nie poszliśmy na stołówkę i zaczęliśmy głodówkę. Reakcja była natychmiastowa. Do baraku przyleciał komendant obozu płk Surma i jego zastępca płk Aleksandrow. Nasze żądania w pierwszym rzędzie dotyczyły tego szkopa, który nas Polaków miał pilnować, ale i innych spraw. Efektem tego była natychmiastowa zmiana posterunku, wydano nam ciepłe ubra-

nia (walonki), watowane fufaje, a nawet kożuchy, co prawda nie nowe, ale w całkiem niezłym stanie. A żeby już mieć całkowity spokój, Surma wydał polecenie, by nam wszystkim (nawet bez badania!) przyznać „dietę” tj. jedzenie szpitalne, znacznie lepsze i bardziej kaloryczne. Ciepłe ubrania bardzo się przydały – mrozy cisnęły, temperatura nawet w słoneczne dni dochodziła do minus 20-25 stopni. Mimo takich mrozów na przełomie lutego i marca, gdy słońce przygrzało, chodziliśmy na spacer dokoła baraku.

Wśród Niemców było dużo starszych ludzi, którzy źle znosili chłód i głód. Jednak byli dobrze zorganizowani – niektórzy przebywali w obozie od Stalingradu. Mieli instrumenty, niezłą orkiestrę i kwintet muzyczny. Przed Bożym Narodzeniem jeden z młodszych oficerów, wysoki przystojny brunet, zwany przez nas Stalingradczykiem, bo tam dostał się do niewoli, poprosił Staszka Turowicza o wypożyczenie nut polskich kolęd. I w dniu wigilii rano za pozwoleniem Sowietów, a przede wszystkim naszym, odwiedził nas ten niemiecki kwintet i wraz z życzeniami zagrał nam polskie kolędy. Było to dla nas wielkie zaskoczenie – nasze wzajemne stosunki zawsze chłodne stały się wręcz wrogie, gdy jakiś szkop nazwał nas „Verfluchte Polaken”, za co dostał w mordę, a że do bójki włączyło się kilku innych wybuchła druga „wojna polsko-niemiecka”, z której szkopy musiały rejtować. Teraz zmiały nam serca, atmosfera się ociepliła.

Czas leciał i nagle zrobiło się względnie ciepło i pomimo dużego jeszcze śniegu włączaliśmy na dach naszego baraku i „leżakowaliśmy” na kożuchach. Gęby nam pociemniały, „diet-pitanie” też zrobiło swoje, poprawiliśmy się na ciele – jednym słowem sanatorium. Staszek Turowicz zorganizował kwartet wokalny, w którym sam śpiewał pierwszym tenorem, a miał naprawdę ładny głos, Staszek Łatkowski „Poraj” i ja basowaliśmy, a Janusz Specylak udawał drugiego tenora. Nawet nieźle nam wychodziło to śpiewanie i ułatwiał przetrwać beznadziejne oczekiwanie na zwolnienie. A zaczynało ono być coraz realniejsze, bo dowiedziawszy się, że po naszym wyjeździe koledzy z Czerepowca z końcem października wyjechali do Brześciu, a grupami do Polski. Kilku w Brześciu siedziało jeszcze dość długo, Budrysy np. opuściły ten gościnny Brest dopiero z końcem grudnia, inni jeszcze później.

Aż nadszedł kwiecień 1948 r. Wyczytano kilkanaście nazwisk (w tym i moje) i zawiadomiono, że mamy jechać do Lwowa. Nie było to po naszej myśli, bo pozostawaliśmy dalej pod opiekuńczymi skrzydłami NKWD, po drugie nie było wiadomo, czy tam zastaniemy naszych bliskich. Ale jakaś namiastka wolności po tylu latach izolacji w „pierdlu” nęciła wszystkich. Istniała w końcu szansa, że prędzej czy później będzie można repatriować do Kraju. Ja osobiście miałem nadzieję we Lwowie zastać jeszcze Ewę, choć nawiązany jeszcze w Diagilewie kontakt urwał się w momencie naszego wyjazdu w czerwcu 1947 r. A przez ten czas wiele mogło się zdarzyć.

Te wszystkie za i przeciw szeroko omawiano w baraku z udziałem także tych, którzy tymczasem jeszcze zostawali w obozie (Łagodzki, Kacperski). Większość zdecydowała – jedziemy do Lwowa!

I tak pewnego kwietniowego dnia 1948 roku nasza grupa pod opieką starszyny wyruszyła pociągiem do Moskwy, a stamtąd wkrótce do wolności, do KRAJU!!!! □

Wypędzeni (II)

Pociąg zatrzymał się w Przemyśle na torach dworca towarowego. Zaraz nas otoczyła sfera handlarzy, pytali o złoto, złote monety, tak, jakbyśmy przyjechali z bogatego kraju, a nie z nędzy sowieckiej.

Ponieważ Mama miała polskie pieniądze, zafundowała nam bochenek białego chleba za 1,40 zł. (słownie: jeden złoty czterdzieści groszy!), którego nie widzieliśmy chyba od czerwca 1941 roku, to jest od wybuchu wojny niemiecko-bolszewickiej. Jak nam ten chleb smakował i to bez niczego, „pośny”, jak się mówiło.

Postój trwał ponad trzy godziny i właśnie podczas postoju dowiedzieliśmy się dokąd nas wiozą. Stacją końcową miał być Karb-Bobrek, gdzieś w okolicy Bytomia.

Kolejno mijamy Przeworsk, Rzeszów, Dębicę, Tarnów, Brzesko, Bochnię, Kraków, „nocujemy” na stacji Jęzor-Nędza. Zaraz powstaje dowcip, że z jednej nędzy, przyjechaliśmy do drugiej.

Następuje podmiana lokomotywy, która trwa „tylko” trzy dni.

Ludzie powoli godzą się z przeznaczeniem, snują plany, rozważają gdzie jechać, czy dalej, np. na Dolny Śląsk, czy raczej zatrzymać się zaraz za dawną granicą. Ta ostatnia koncepcja przeważa, tym bardziej, że każdy w skrytości duszy wierzył, że przyjechał tutaj tymczasowo, że niedługo powróci do Lwowa, więc nie warto było zapuszczać się zbyt daleko, najodpowiedniejsze winne być Bytom, Zabrze i Gliwice. Jest tam, a raczej był do 1939 roku dobrze rozwinięty przemysł, więc zapewne każdy znajdzie pracę. A gdy tylko dobry Bóg pozwoli, to się skrzyknijemy i hajda do Lwowa!

Powolutku, jakby szukał drogi w tej gmatwaninie torów, nasz pociąg przejechał przez Mysłowice, Katowice i o godzinie 3 po południu dotarliśmy do „naszej” stacji końcowej, dalej już transport nie jechał.

Był to już wcześniej wspomniany Karb-Bobrek, stacja towarowa na zachód od Bytomia. Dano nam trzy godziny na wyładowanie się, z tym, że nie było tu jakichkolwiek ramp, ot gołe tory i wszystko. Gdzie kto mógł i jak mógł, ścigał ten cały swój dobytek, ponownie układano te skrzynie w coś przypominające jamę borsuka. Podobnie i my ustawiliśmy nasze skrzynie, ale w sposób sprawdzony już na rampie Dworca Czerniowieckiego, tylko, że Tato zrobił duży błąd, mianowicie ustawił skrzynie tak, że front, czyli wejście na legowisko usytuował od zachodu. Myślał, że tak jak we Lwowie, najwięcej wiatrów i deszczów będzie ze wschodu, podczas, gdy tutaj na Górnym Śląsku było odwrotnie. Dobrze, że z kilima była zasłona, bo nawiąłoby i napadało nam co nie miara.

Zaraz założyliśmy z Tatą solidny daszek, natomiast Mama zajęła się naszą „kuchnią”, czyli gotowaniem na prymusie.

Ludzie nas otaczający, jakby się trochę otrząsnęli z przygnębienia które im towarzyszyło od wyjazdu ze Lwowa, do czego w dużej mierze przyczyniły się odwiedziny Lwowian, już mieszkających w Bytomiu. Zaczęły się więc zawiązywać nowe znajomości, wspólne

układanie planów na przyszłość, pomoc w znalezieniu dachu nad głową i jakieś pracy.

Do nas nikt nie przyszedł, więc siedzieliśmy przed naszym „domkiem” i jak wynikało z rzadko rzucanych słów, rodzice widzieli przyszłość w bardzo ciemnych barwach. No, ale dookoła były setki takich jak my, więc jak na razie to koczowanie na torach zbytnio nam nie doskwierało. Pierwsza noc spędzona na torach przebiegła spokojnie, tylko było bardzo chłodno, ale i nic dziwnego, skoro to był koniec września.

Od rana rozpoczął się ruch, wczoraj zawarte znajomości zaowocowały w postaci nadjeżdżających samochodów i platform konnych, zaczęło się więc noszenie skrzyń, ładowanie, pożegnania i do wieczora kilkadziesiąt rodzin „wyprowadziło” się z torowiska.

Tak jak na mnie, tak i na rodziców, fakt, że ludzie znaleźli sobie mieszkania i opuszczają tory, wpływało bardzo demobilizująco, zaczęło narastać jakieś poczucie krzywdy, że oni już, a my?

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć, siedziałem więc na desce, która wraz z kilkoma ceglami tworzyłaławeczkę i spoglądałem na otaczające nas światła. Z lewej widoczna była przysadzista wieżyczka ze świecącym w nocy zegarem i gdyby nie jesienne mgły oraz zbyt duża odległość, mógłbym zobaczyć która godzina. Wieżyczka ta górowała nad kompleksem budynków, ale nie wiedziałem, czy kopalni, czy też koksowni. Ale praca tam trwała, gdyż zapalały się i gasły rozmaite lampy (a może to wiatr nimi kołysał?), dochodziły gwizdy i stukoty, ot, normalne odgłosy pracującego zakładu.

Na wprost, przez szpaler drzew oddzielających tory od ulicy, prześwitywały oświetlone okna, były tam, jak zauważyłem w ciągu dnia, małe domki otoczone ogródkami, typowe osiedle górnicze. Jak ja zazdrościłem tym co tam mieszkali, kładli się spać do normalnych łóżek, siadywali na normalnych krzesłach, spożywali posiłki przyzwoicie, przy stołach, a nie jak my, z miską na kolanach. Nasz prymityw jeszcze pogłębiał i tak już pesymistyczne nastroje.

Siedziałem tak, patrzyłem na otaczające widoki, które nawet i w nocy były mi obce. Ciągłe mi się zdawało, że to zły sen, że zaraz się obudzę, u nas na Łyczakowie, pójdę do kuchni napić się czarnej kawy (zbożowej) z niebieskiej rynki i położę się, aby spać dalej, mając jednak o wiele przyjemniejsze sny, aniżeli dotychczasowy.

Ale rzeczywistość była taka, że nie był to niestety sen, to była smutna jawa. Zza zasłonki dochodziło ciche pochrapywanie Taty, Mama na swoim miejscu w kąci, zwinięta jak kot w kłębuszek, spokojnie spała, a ja siedziałem i tysiące różnych myśli przelatywało mi przez głowę. Wspominałem moich kolegów, tych, co wcześniej wywieziono, zapewne gdzieś tutaj niedaleko mieszkają, tych co zostali jeszcze tam, ale i oni w niedługim czasie mieli tu przybyć, jak również i tych, których rodzice z różnych powodów postanowili pozostawić we Lwowie.

W myślach chodziłem, nie, raczej snulem się po tak bliskich mi lwowskich ulicach, widziałem domy, kościoły, parki, nawet poszczególne drzewa i nagle budziłem się, to były senne widziadła, a jakże bliskie memu sercu. Tutaj nawet powietrze było inne, tak zalatywało naftaliną, czy innym niemiłym zapachem, a słońce?

Przecież ono ledwie się przebijało przez tę dymną zawiesinę, zwaną tutaj powietrzem.

No a niebo? Przecież nie było wcale niebieskie, tylko mętno-bure od tych dymów wydobywających się ze setek kominów.

Zmęczony niewygodną pozycją i natłokiem myśli, wczłogałem się na moje miejsce na „legowisku” i zasnąłem, ciekaw, co przyniesie dzień następny, a miała to być nasza druga niedziela poza Lwowem (pierwsza była w transporcie na stacji Jęzor-Nędza).

Rano, po dokładnym umyciu się, wyczyszczeniu butów oraz naturalnie po śniadaniu, poszliśmy z Mamą do kościoła na Mszę św. natomiast Tato został, aby pilnować naszego majątku. Piszę majątku, ale to dla nas naprawdę był majątek, bo dla kogoś innego byłaby to kupa zużytych ubrań, spranej pościeli oraz trochę garnków i książek, ale dla nas, nie wiedzących co nas jeszcze czeka? A poza tym, wszystko to było stamtąd, ze Lwowa, a więc miało niesamowitą wartość.

Przeszliśmy przez wszystkie tory, a było ich chyba ze trzydzieści, przez głęboki rów i ulicą po której biegły szyny tramwajowe, poszliśmy w prawo, gdzie wg opowiadań ludzi którzy już wcześniej okolice spenetrowali, miał się znajdować kościół. Minął nas tramwaj, ale i on był nam obcy, innego koloru niż nasze lwowskie, jakiś taki brudno-kremowo-żółty, inna sylwetka, pamiętam, że miał jakiś numer z przodu, a nad oknem motorniczego dużą tablicę z napisem „WIESZOWA” – widocznie jakaś miejscowość na tym terenie.

Doszliśmy do kościoła, którym okazał się malutki baraczek, a tutejsi, ich pieśni, ich strój, były mi obce. Po Mszy św. gdy usłyszałem ich mowę, te „wdycki, kaj, sam, tukej” i setka innych niezrozumiałych mi określeń, a na dodatek modlenie się z książeczek w których królował gotyk i język niemiecki?

Nie wiedziałem dosłownie, czy jestem w Polsce, czy też innym kraju. Dopiero Mama mi wytłumaczyła, że jest to „śląska mowa”, że słowa są staropolskie, od wieków niezmiennie, a to, że się modlą z książeczek niemieckich wynikało z tego, że od setek lat, panowali tu Niemcy i wszyscy musieli uczęszczać do szkół niemieckich, więc gdzie mieli się nauczyć czytania po polsku? I tak dobrze, że nie zapomnieli języka praojców, że pomimo tępienia przez Niemców wszystkiego co polskie, potrafili zachować swą odrębność.

Zaraz spojrzałem na nich łaskawszym okiem, ale z kolei zdenerwował mnie fakt, że moi rówieśnicy rozmawiali pomiędzy sobą po niemiecku, a tego już Mama nie potrafiła mi wytłumaczyć.

Wróciliśmy do naszego „grajdołka” i pierwsze, co się rzuciło nam w oczy, to siedzący bez ruchu, wpatrzony w nikąd, Tato. Ani nie poprawił naszego legowiska, ani nic nie poskładał, tak jak go zostawiliśmy idąc do kościoła, tak go i zastaliśmy.

W ogóle, od tej niedzieli Tato bardzo się zmienił, prawie wcale się do nas nie odzywał, bardzo dużo spał, a może udawał, że śpi, przesiadywał całymi godzinami na wspomnianej wcześniej deseczko-ławeczce i jakby cały otaczający go świat przestał dlań nagle istnieć.

Mijały dni, robiło się coraz chłodniej, codziennie ubywało dużo rodzin, które znajdowały sobie pracę i dach nad głową, a my siedzieliśmy. Tato już nie odzy-

wał się w ogóle, nie chciał jeść, nogi od kolan w dół spuchły mu jak banie, niczym się nie zajmował, nic go nie interesowało.

Na koniec zostaliśmy na torach tylko my i w odległości od nas około 200 metrów, samotne starsze małżeństwo, które oczekiwało na synów, aby gdzieś się osiedlić.

Rozpoczął się trzeci tydzień od naszego przyjazdu, był już październik, nie pamiętam jaki to był dzień tygodnia, gdy Mama po śniadaniu zwróciła Tatowi uwagę, że zamiast siedzieć jak ten „stary grzyb”, powinien zainteresować się pracą i mieszkaniem, przecież zimować tu nie będziemy, a i powoli pieniądze się kończą. Powiedziała „stary grzyb”, ale tak jakoś to zabrzmiało jak „stary gnyp” (stary, wysłużony, już do wyrzucenia, nóż szewski), nie to jednak jest ważne, ale skutek był piorunujący. Tato zerwał się na równe nogi, aż się zatoczył, gdyż przez prawie tydzień nie chodził wcale, kilka razy powtórzył cicho:

– Ja ci dam stary gnyp, ja ci pokażę kto tu jest stary..., wymyśl się, ogolił prawie dziesięciodniowy zarost, wyciągnął z jednej ze szafy porządniejsze ubranie (które nie ukradli, bo było w szafie w innym pokoju), ubrał się, założył z wielkim trudem na spuchnięte stopy meszty, bez słowa wziął od Mamy kilkanaście złotych i kulejąc, poszedł w stronę miasta (Bytomia).

Długo Taty nie było, już zaczęliśmy się o niego martwić, gdy około piątej po południu z daleka zobaczyłem jego sylwetkę, ale to nie był ten sam człowiek, co zapamiętany z rana. Ten szedł szybkim, żołnierskim krokiem, wyprostowany, wymachiwał rękami i coś sobie lwowskiego gwizdał, szeroki rów, który oddzielał tereny kolejowe od bitej drogi, a służący nam dotychczas za toaletę (panie na lewo, panowie na prawo), przesadził jednym susem, – tak to był mój Tato, ale odmłodzony o dobre 10-15 lat.

Ucałował Mamę, mnie przytulił i jak nie wrzaśnie:

– Ta dawajci jeść, bo calutki goły (?) dzień nic nie jadłem – a w trakcie posiłku, po raz któryś odgrzanego, bo przezorna Mama już wcześniej przygotowała, opowiadał, jak „trambajem” (był szczęśliwy, więc wtrącał słowa w bałaku lwowskim) dojechał do Katowic, odnalazł Kuratorium Oświaty, spotkał kupę koleżków, jak to oni wychodzili na każdy przyjeżdżający ze Lwowa transport, właśnie po Tatę, że ktoś podał mylnie datę naszego wyjazdu ze Lwowa, a tym samym i przejazdu przez Katowice, że wybrał Zabrze jako miejsce pracy, że proponują mu kierownictwo szkoły, ale wyraził zgodę tylko na zastępcę kierownika, że będzie uczył w Szkole nr 1, przy ul. 3 Maja, że jutro jedzie do Zabrze, do PUR-u (Polski Urząd Repatriacyjny) po przydział mieszkania i o samochód do przewiezienia nas i naszych „maneli”, że...

Skończył swoje opowiadanie, równocześnie z jedzeniem. Spojrzał na nas triumfalnie

– I co wy na to? – spytał.

Mama aprobująco pokiwała głową, stwierdziła, że zawsze wierzyła w niego i jego zaradność (tu do mnie dyskretnie i porozumiewawczo mrugnęła okiem), ale do Zabrze, załatwić mieszkanie i środek transportu do przewiezienia skrzyń, pojedzie ze mną,

– A ty Lunku (tak się zawsze do Taty zwracała – zdrobniale od Wilhelm), przygotuj skrzynie do przewozu,

może trzeba coś poprawić, przepakować lub przybić uchwyt, ty wiesz najlepiej co zrobić – zakończyła.

Tej nocy spaliśmy jak suszy i nawet stwierdzenie raniem, że ktoś w nocy ukradł nam 100 złotych, to jest równowartość 70 bochenków chleba, nie zepsuło nam dobrych humorów.

Po śniadaniu, pojechałem z Mamą do Zabrza, tramwajem linii „5”. Dziwne mi się to miasto wydawało, z dworcem kolejowym na środku, z licznymi liniami tramwajowymi łączącymi sąsiednie miasta i osiedla, z nie otynkowanymi jednopiętrowymi domami z czerwonej cegły, no i ten zapasek, jeszcze intensywniejszy jak w Karb-Bohrku. Dopiero potem dowiedziałem się, że to koksownia o dźwięcznej nazwie „Skalley” tak „napachniała” Zabrze i okolicę.

Mama zaraz „ruszyła” do Wydziału Oświaty, tam już wiedzieli o pracy Taty (telefonowano z Katowic z Kuratorium), a ponieważ było to już po 1 października, wypłacili Mamie nawet pensję za m-c październik (z góry) oraz „coś” na zagospodarowanie się (2 pensje bez dodatków).

Gorzej poszło Mamie w PUR-ze, gdyż aktualnie nie dysponowali w tym dniu odpowiadającym Mamie mieszkaniem, ale zaproponowali przewóz naszego „majątku” do domu noclegowego, który działał przy kościele św. Anny. Zapewniali, że są tam łóżka, koce, więc można te dwie, czy trzy noce spokojnie „pod dachem” przespać, że jedzenie też jest na miejscu, gdyż zakonnice prowadzą stołówkę dla repatriantów. Prosił o wybaczenie, ale na pewno coś w ciągu przyszłego tygodnia odpowiedniego się znajdzie, gdyż Niemcy sukcesywnie opuszczają mieszkania, pozostawiając meble i wyjeżdżają za Odrę, do sowieckiej strefy okupacyjnej.

– A kiedy otrzymamy środek do transportu? – spytała Mama.

– Ta jutro o pół do ósmej samochód podjedzie do torowisk – zapewniał kierownik PUR-u – tylko, że trzeba skrzynie przenieść na drogę, gdyż auto będzie bez ludzi do noszenia, tylko sam kierowca.

Mama upewniła się jeszcze raz, że to jutro i ruszyliśmy w drogę powrotną. Pamiętam, że ponieważ byliśmy „wściekle” głodni, na ul. Dworcowej, nie opodał poczty, w dużym sklepie rzeźnickim, kupiliśmy po dwie bułki i „kubasie” gorącego bulionu. Dawno mi takie coś, tak nie smakowało. Bułki pochłonałem, gorzej było z bulionem, był naprawdę „sakramencko” gorący i nic dziwnego, skoro stał w kolosalnym garze na taborecie gazowym i prawie się gotował.

Wracaliśmy ponownie tramwajem linii „5”, który rozpoczął jazdę z Pl. Wolności, przez Biskupice dojechaliliśmy do Bytomia, kilkanaście minut spaceru i jakże dobrze znana nam kupa skrzyń, wokół których pracownicy krztał się Tato.

On też stanął na wysokości zadania, bo oprócz przygotowania skrzyń do transportu, ugotował pożegnalny obiad, składający się z „kartofli na kwaśno”, a do tego chleb posmarowany duszoną wieprzowiną (świńska tuszonka).

Trochę byliśmy zdziwieni tym, skąd Tato nagle „wytrzasnął” kartofle, skoro do sklepu na pewno nie chodził, pozostawiając nasze skrzynie na łasce i opiece boskiej. Dopiero gdy się dobrze rozejrzałem, to stwierdziłem, że za drogą prowadzącą do Bytomia ciągnie się kolosalne

kartoflisko! Że też prędzej o tym fakcie nie wiedziałem, bo makaron i chleb, lub raczej odwrotnie, chleb i makaron, już nam się przez te przeszło dwa tygodnie „obozowiska” ganz znudził.

Po obiedzie Mama zdała relację z tego co załatwiła, jej decyzja natychmiastowego przeniesienia się do „domu noclegowego” w Zabrze, uzyskała aprobatę Taty, jak również odmowa przyjęcia byle jakiego mieszkania. Ostatecznie, to mieszkanie ma się na całe życie, więc jeden, czy dwa dni w noclegowni nie robiło wielkiej różnicy. Oboje byli pełni energii, snuli plany na najbliższe dni i tygodnie. Tato już myślał o prowadzonych lekcjach, był ciekaw, jakie będą dzieci, jaki jest ich poziom i jak wyposażona jest szkoła. Mama natomiast planowała, co, jak i gdzie ustawi, czy samo mieszkanie będzie ustawne i przy jakiej będzie ulicy, czy głównej jak we Lwowie, czy też przy jakiejś bocznej.

Długo tego wieczora nie mogliśmy zasnąć, bowiem byliśmy „ostatnimi Mohikanami” na tych torach, wspomniane wcześniej małżeństwo doczekało się wreszcie przyjazdu trzech synów, wojskowych, którzy przy pomocy kilku żołnierzy „galopem” zapakowali bagaże rodziców, jak i ich samych na samochód, odjeżdżając w kierunku Bytomia. Nasi współtowarzysze niedoli, byli tak szczęśliwi, że ich synowie żyją i po nich przyjechali, że z tej radości zupełnie zapomnieli o pożegnaniu się z nami.

Raniutko szybko spakowaliśmy nasze rzeczy, a Tato rozpoczął przenoszenie skrzyń z torów na pobocze drogi za rowem. Najgorszą przeszkodą okazał się rów, gdyż w nocy spadł mały deszcz i boki rowu, na których rosła trawa, zrobiły się bardzo śliskie. Jednak od czego jest „pomyślnie”? Z naszych lwowskich jeszcze desek i dwóch „amerykańskich płotków”, zbudowaliśmy z Tatą, coś na kształt mostka, który wprowadził mocno sprężynował, ale też umożliwił pokonanie rowu, który znowu nie był taki mały, bo był szerokości ponad 3 metry, a i głęboki na ponad jeden metr.

Skrzynie, po sprawdzeniu, że wieko jest mocno przybite, stawialiśmy (całą trójką) na sztorc, na innej skrzyni, Tato owijał ją grubą liną, brał na plecy i tak schylony, powoli szedł w stronę rowu i drogi. Ja z Mamą podtrzymywaliśmy skrzynie z obu stron i tak w trójkę, krok za krokiem, przenieśliśmy całą stertę na pobocze drogi.

Tato, aby nas dodatkowo rozweselić, mrucał niby do siebie, ale tak abyśmy słyszeli:

– Ta co to za idiota porobił takie wielkie skrzynie i co tam do środka napchał, że są takie ciężkie? Żebyś go znał, to bym mu kazał za karę samemu nosić te skrzynie!

Gdy przenosiny dobiegły końca, ukazał się duży samochód ciężarowy z PUR-u po nasze rzeczy, a na dobytek z dwoma, oprócz kierowcy, ludźmi do załadunku. Okazało się, że kierownik w domu opowiadał swojej żonie, kto do Zabrza przyjedzie, a ta nas znając jeszcze ze Lwowa, wymogła na mężu, aby postarał się ludzi do załadunku. Teraz robota poszła mi gładko, skrzynie w rękach czterech silnych mężczyzn wydawały się puste, dosłownie fruwały na skrzyni ładunkowej pojazdu. Potem panowie na skrzyni, pani i kierowca do kabiny i... żegnaj Karb-Bohrku na zawsze, bo jakby przyszło wracać do Lwowa, to z całą pewnością będziemy ładowali nasze

graty na jakiejś porządnej rampie i to do wagonu krytego, a sami pojedziemy pociągiem pośpiesznym!

Jednak czas pokazał, że były to tylko marzenia, które nigdy się naszym Rodzicom nie spełniły, a do końca dni swoich wierzyli, że wrócą do Lwowa!

Przyjechaliśmy do Zabrza na ul. 3 Maja. Kościół św. Anny stał w głębi pięknie zadrzewionej alei, po lewej stronie, nieopodal kościoła była plebania, natomiast po prawej, przy ulicy, stał dom parafialny, zamieniony na dom noclegowy PUR dla przesiedleńców ze wschodu, jak to się wtedy ładnie mówiło. Skrzynie nasze zostały wniesione do jednej z piwnic, której drzwi zamknięto na potężną kłódkę, a klucz wręczono Mamie.

Przeszliśmy do dużej sali widowiskowej, której trzy boki zostały szafkami ubraniowymi podzielone na trzy lub czterolóżkowe sypialnie, natomiast środek sali zajmowały ustawione w długi szereg stoły, przy nich taborety, na których siedzieli podobni do nas „repatrianci”. Jak wynikało z dalszych rozmów, to kolejne transporty ze Lwowa i jego okolic, były rozładowywane w wielu miejscowościach województwa katowickiego, a w Zabrzu na stacjach Zabrze Północ i Mikulczyce. Niektórzy z nich byli tu już po dwa tygodnie, inni dopiero wczoraj przyjechali, myśmy się nie przyznawali, że „wietrzyliśmy się” przez ponad dwa tygodnie na świeżym powietrzu, bo po co się tłumaczyć: a co?, a jak? itp. – przyjechaliśmy i kropka!

Mama poszła z Tatą do piwnicy i przynieśli oboje naszą pościel ze Lwowa, wyjętą z jednej ze skrzyń. Po raz pierwszy od wyjazdu spaliśmy pod dachem, wprawdzie na żelaznych łóżkach (wojskowe) z siennikami, ale pod naszymi koldrami, kładąc głowy na własnych poduszkach i to się przede wszystkim liczyło.

Nazajutrz, a była to sobota, poszliśmy zobaczyć to miasto w którym mamy na razie mieszkać, do czasu powrotu do Lwowa. Skręciliśmy do centrum i zaraz natknęliśmy się na Szkołę Powszechną nr 1 w której to od poniedziałku Tato rozpoczynał pracę, obejrzelśmy Pl. Wolności z przylegającymi doń ulicami i wróciliśmy do „siebie”, to jest do domu noclegowego.

Ani rodzice, ani ja, nie byliśmy zachwyceni tym miastem, rzucał się w oczy straszny brud, powodowany obecnością tylu zakładów przemysłowych; huta, koksownia, brykietownia, a przede wszystkim elektrownia na Zaborzu (dzielnica Zabrza), obficie „raczyła” miasto dymem ze swoich kominów. Zrozumieliśmy wtedy, dlaczego stare domy nie są otynkowane, dlaczego dachy są kryte papą lub dachówką, a nie blachą (kwaśne deszcze, raz dwa by sobie poradziły!), znaleźliśmy wytłumaczenie faktu, że tu każda, nawet najmniejsza uliczka jest wysadzana drzewami, rachitycznymi co prawda, ale drzewami.

A najgorsze było to, że ciągle mieliśmy przed oczami Lwów i wszystko porównywaliśmy do tego naszego wzorca. Nie musieliśmy nic do siebie mówić, ale każde z nas jednakowo myślało, bo też i rzucały się w oczy kolosalne różnice.

I nie chodzi tu o wielkość samego miasta, no bo kudy tam któremu do stołecznego i królewskiego Miasta Lwowa, ale tu wszystko było obce; domy, chodniki, tramwaje, niebo, ludzie, słońce, to nie było to, cośmy tam zostawili, pośród czego wyrosliśmy, co ukształtowało nasze charaktery.

Tam człowiek uśmiechał się do niebieskiego, nie, chabrowego nieba, do złocistego słońeczka, do soczystej, otaczającej nas zieleni, do wesołych domów i beztroskich, pogodnych ludzi, a tutaj? Niebo nie przypominało nieba, słońce – słońca, a zielen jakby była posypana popiołem.

Na każdym kroku ślady tego, że przez wiele lat panowali tu Niemcy, no bo chociaż taki przykład: po przejściu przez most nad torami kolejowymi, na pierwszym domu – nędzna, blaszana tabliczka z wymalowaną lakierem nazwą ulicy: 3 Maja, a kilka metrów dalej, piękna, emaliowana tablica z napisem: DOROTHENSTRASSE, liczne reklamy, napisy po niemiecku, wszystko to, na każdym kroku przypominało nam, gdzie faktycznie jesteśmy.

Nawet po upływie kilku lat, nie znaleźliśmy choćby i jednego miejsca, mającego odnośnik tam we Lwowie, a może nie chcieliśmy tego, może to „tam” było dla nas święte, a każde porównanie byłoby profanacją?

W poniedziałek Tato poszedł do pracy, chociaż nigdy tak nie mówiliśmy w domu, mówiło się: poszedł do szkoły, jest w szkole, wraca ze szkoły, ja natomiast z moim świadectwem poszedłem załatwić przyjęcie mnie do gimnazjum.

I nie wiem do dzisiejszego dnia, jaki diabeł mnie pokusił, że zamiast do I-szego, niedaleko, bo na ul. Sienkiewicza-Mickiewicza, to poniosło mnie do II-go na Pl. Romualda Traugutta.

Dlaczego napisałem, że pierwsza „buda” była przy ulicy o podwójnej nazwie? Bo była to jedna długa ulica, łącząca ul. 3 Maja z ul. Wolności i właśnie przy budynku gimnazjum traciła nazwę Henryka Sienkiewicza, na rzecz Adama Mickiewicza. Dopiero po latach „zapominał” na całej długości autor Trylogii i Quo Vadis, natomiast Mickiewicza „wysiadano” do Mikulczyc (osada górnicza na północ od Zabrza).

Przyjęto mnie do klasy trzeciej gimnazjalnej, a więc do matury miałem 4 lata nauki (po dwa lata w gimnazjum i liceum).

Po kilku dniach przenieśliśmy się do mieszkania przy ulicy Sądowej nr 1 (GERICHTSTRASSE), było duże, bo trzy pokoje z kuchnią i łazienką, na parterze. Okna dwóch pokoi wychodziły na ulicę, a tak konkretnie to na wysoki mur więzienny, natomiast okna trzeciego pokoju i kuchni, na ciemne, malutkie podwórko.

Dotychczasowi użytkownicy mieszkania, byli jeszcze, siedzieli w tym trzecim pokoju „na walizkach” i czekali na wyjazd do „Vaterlandu”, patrząc na nas jak na śmiertelnych wrogów.

Wieczorem przyjechał oczekiwany Jurek, byliśmy więc w komplecie i odważniejsi, bo był uzbrojony w pistolet P-38 (mała „armatka” kalibru 9 mm).

Widząc to nasze towarzystwo, „wspaniałe” mieszkanie, bo na dodatek, przez ścianę sąsiadowaliśmy z zakładem pogrzebowym „HARIS”, brat poszedł z Mamą do PUR-u i musiał im szpetnie przygadać, bo zaraz „znalazło” się „zapomniane” przez urzędników mieszkanie, wprawdzie pięciopokojowe, ale z możliwością rezygnacji z dwóch, a nawet trzech pokoi, usytuowane też niedaleko, bo przy ul. 3 Maja pod nr 65 na pierwszym piętrze. Okna wszystkich pokoi były od ulicy (na północ), a od kuchni i łazienki na południe, na zielone pola.

W Jednostce Wojskowej Jurek załatwił samochód i kilku żołnierzy, którzy sprawnie przenieśli nasz dobytek w skrzyniach na samochód i potem wnieśli do mieszkania. Mieszkanie było kompletnie umeblowane, z materacami w łóżkach, a nawet z talerzami i garnkami.

Pierwszą czynnością, było odkręcenie metalowej płytki na której wygrawerowane było: OTTO HÖNSCH – Baumeister i przykręcenie naszej.

Nim wszyscy zabraliśmy się do sprzątania i rozpakowywania, uklękliśmy w dużym pokoju, a Mama zmówiła modlitwę, dziękując Panu Bogu za wszystko.

Zaczęliśmy nowy rozdział życia, z dala od ukochanego tak Miasta...

K o n i e c

Jest to ostatni rozdział książki pt. „Przepraszam Cię Miasto”. PT Czytelników ciekawych dalszych losów naszej Rodziny, odsyłam do II tomu wspomnień pt. „Na ścieżkach przeszłości”.

W przygotowaniu tom III pt. „Spacer po starym Lwowie”. □

UROCZYSTOŚCI W ODDZIAŁACH I KLUBACH TMLiKPW

Zbigniew Umański

Dni Lwowa i Kresów Płd.-Wsch. w Stolicy

Odbyły się tradycyjnie w dniach 18-23 listopada, a ich organizatorem był, jak w co roku, Oddział Stołeczny TMLiKPW. Tegoroczne DNI miały szczególnie uroczystą oprawę. W obchody bardzo aktywnie włączyli się uczniowie i nauczyciele dwóch szkół warszawskich noszących imię Orłąt Lwowskich: XVI Liceum Ogólnokształcącego dla Dorosłych oraz Gimnazjum nr 27, które z okazji jubileuszu istnienia tych szkół przygotowali urozmaicony program obchodów DNI i święta szkoły.

Zainauguowało DNI XVI Liceum Ogólnokształcące. Część oficjalną w szkole rozpoczęto uroczystością hymnem państwowym i hymnem szkoły. Prezes Oddziału Stołecznego TMLiKPW Ryszard Orzechowski wręczył dyrektorze szkoły Teresie Dondziłło medal „Pro Memoria”, taki sam wicedyrektorowi Zdzisławowi Bigosowi oraz Krzyż II Obrony Lwowa, przyznane im przez kapituły tych odznaczeń za wieloletnie zaangażowanie w popularyzowaniu i utrwalaniu wśród młodzieży wiedzy historycznej o Kresach. Odznaczono także sztandar szkoły z okazji jej X-lecia. W części artystycznej z pięknym programem słowno-muzycznym „Mortui sunt ut Liberi vivamus” wystąpił Zespół Pieśni i Tańca Politechniki Warszawskiej, odbyło się spotkanie towarzyskie. W późniejszym terminie w kościele pw. Matki Boskiej Częstochowskiej odprawiona została Msza św. w intencji Patrona – Orłąt Lwowskich i szkoły oraz za kapelana TMLiKPW śp. Janusza Popławskiego.

W Gimnazjum nr 27, które obchodzi w tym roku XX-lecie szkoły i XV-lecie nadania imienia Orłąt Lwowskich, DNI LWOWA i KRESÓW miały szczególnie uroczysty charakter. Uczestniczyły w nim delegacje młodzieży z innych szkół mających tego samego Patrona, a także polskich szkół nr 10 i 24 ze Lwowa oraz Mościsk, zaproszonych przez Jubilata, przedstawiciele władz oświatowych, samorządowych i TMLiKPW. Rozpoczęły się Mszą św. w kościele pw. Świętych Apostołów Jana i Pawła, złożeniem kwiatów pod tablicą poświęconą Józefowi Piłsudskiemu. Potem w szkole: przemówienia gości, odznaczenie dyrektora „27” Apoloniusza Sawickiego i pedagog Barbarę Chybę, opiekunkę Szkolnego Klubu Młodzieżowego TMLiKPW medalami „Pro Memoria” z okazji jubileuszu i działalności patriotycznej – od wielu lat szkoła organizuje wycieczki

uczniów i nauczycieli do Lwowa, gości młodzież z polskich szkół we Lwowie, pogłębia wiedzę o Kresach, organizuje obchody historycznych rocznic i Dni Lwowa, konkursy wiedzy o Patronie szkoły dla klas pierwszych.

Za wieloletnią współpracę z Oddziałem Stołecznym TMLiKPW dyrektora „27” przyznała Honorowe Odznaki Szkoły prezesowi Ryszardowi Orzechowskiemu, wiceprzewodniczącemu Stanisławowi Leszczyńskiemu oraz pośmiertnie, bardzo lubianemu przez młodzież tej szkoły – ks. Januszowi Popłowskiemu, kapelanowi TMLiKPW.

W części artystycznej, przygotowanej przez uczniów wszystkich klas „27”, wystąpili także ich polscy koledzy z lwowskich szkół nr 10 i 24. Duże brawa dla wykonawców!

W niedzielę 20 listopada, w południe, przed Grobem Nieznanego Żołnierza stanęły poczty sztandarowe warszawskich szkół noszących imię Orłąt Lwowskich, organizacji kombatanckich, kresowych i harcerzy. Na placu Piłsudskiego zgromadzili się warszawscy lwowiaczy i kresowianie, uczniowie polskich szkół we Lwowie i Mościsk wraz ze swoimi nauczycielami, warszawska młodzież szkolna i liczni mieszkańcy stolicy. O godz. 12 następuje uroczysta zmiana warty – błysk oficerskiej szabli, padają komendy, kompania WP prezentuje broń. Między wyprężonymi na baczność żołnierzami i marynarzami ustawiają się delegacje z wieńcami i wiązkami kwiatów. Na czele delegacja Zarządu Głównego TMLiKPW, za nią Zarząd Oddziału Stołecznego TMLiKPW z prezesem R. Orzechowskim, delegacje Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi z prezesem Janem Franczukiem, lwowskich szkół nr 10, 24 i Mościsk, organizacji stołecznej Prawa i Sprawiedliwości, warszawskich szkół...

Wiceprezes Oddziału Stołecznego TMLiKPW płk. Stanisław Leszczyński, przemawiając przez megafon do zebranych na uroczystości przypomina, że w listopadzie 1918 r. Lwowskie Orłęta – kilkunastoletni uczniowie, studenci, batary podjęli bohaterską walkę w obronie polskiego Lwowa. dzielnie się bili, zwyciężyli, obronili swoje miasto, ale wielu z nich oddało za ojczyznę młode życie. Jeden z nich, ekshumowany z Cmentarza Obrońców Lwowa, bezimienny, spoczywa od 1925 roku

w Grobie Nieznanego Żołnierza. Dziś w 87 rocznicę ich walki i bohaterskiej śmierci oddajemy mu hołd pamięci...

Sygnalista gra na trąbce, rozlegają się znowu komendy wojskowe, kompania prezentuje broń. Padają nazwiska Orląt, nazwy redut, gdzie padli w nierównej walce ich bezimienni obrońcy... Odpowiadamy: Polegli na Polu Chwały! Warczą werble, pochylone sztandary, skupione twarze... Rusza korowód z wieńcami. Mam zaszczyt jako pierwszy, w imieniu Zarządu Głównego TMLiKPW, oddać hołd Nieznanemu Obrońcy Lwowa. Pochylam głowę. W tym roku, 24 czerwca, kłaniałem się grobom Orląt oddając hołd ich pamięci na ich odbudowanym Santo Campo. Teraz tutaj... To wielkie wyróżnienie przez los dla lwowiaka! Nie mogłem ukryć wzruszenia wpisując się do Księgi Honorowej...

Uroczystość przy Grobie Nieznanego Żołnierza w stolicy zakończyła się defiladą kompanii WP. Nigdy dotąd nie oddano w stolicy cześć Obrońcom Lwowa tak uroczystie, z takim ceremoniałem, w samo południe! Niezapomniane przeżycie! Udajemy się wszyscy do Bazyliki św. Krzyża, gdzie odbędzie się tradycyjnie Msza św. w intencji poległych Obrońców Lwowa, z udziałem chóru Szkoły Muzycznej im. Oskara Kolbergera.

Ostatni akord Dni Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Warszawie – koncert w Muzeum Kolekcji

im. Jana Pawła II. Jak co roku sala pełna, mnóstwo znajomych twazy, ale nadal brakuje mi uśmiechniętej pogodnie śp. Janusza Popławskiego, jego ciepłego głosu... Nie ma też Jurka Janickiego – chory, i jeszcze paru innych – odeszli... Ale jest żona śp. gen. Abrahama, siostra przedwcześnie zmarłego lwowiaka Zbigniewa Herberta. Ze Lwowa przyjechały dyrektorki polskich szkół – Marta Markina z „10”, Łucja Kowalska z „24” i Teresa Teteryl z Mościsk. Jest delegacja Towarzystwa Opieki nad Grobami Wojskowymi, pilnujące odbudowanych grobów Orląt Lwowskich, z prezesem Franczkiem. Sami swoi...

Prezes Orzechowski wita zebranych i oddaje głos Leonowi Łochowskiemu, reżyserowi i konferansjerowi od lat tej imprezy. Jej tegorocznym honorowym patronem jest burmistrz Dzielnicy Śródmieście m. st. Warszawy

Śpiewa chór „Polonia”, aktor Krzysztof Kolberger pięknie recytuje wiersze Herberta, występuje młodzieżowy zespół artystyczny polskiej szkoły nr 24 we Lwowie. Program podoba się, wykonawcy także, brawa. Ale się rozruszał zebranych dopiero zespół folklorystyczny „Ta joj”, gdy zaśpiewał popularną piosenkę „Gdybym miał jeszcze urodzić się znów” – cała sala odpowiedziała: „Tylko we Lwowie...” i z tym refrenem na ustach warszawiacy opuszczali Galerię Porczyńskich...

Do zobaczenia i usłyszenia za rok!

Lwowskie pamiątki po Józefie Piłsudskim

Tak się szczęśliwie złożyło, że w trakcie tegorocznych obchodów Dni Lwowa i Kresów w Warszawie, w dworcu „Milusin” w Sulejówku, gdzie mieszkał Marszałek Józef Piłsudski z rodziną, czynna była wystawa pamiątek po Nim, które powróciły do kraju po 65 latach, wśród nich – lwowskie. – *Pamiątki te były wywiezione z Polski po wybuchu wojny w 1939 r. i różnymi drogami przez Bukareszt, Sofię, Paryż i Sztokholm, a nawet Chicago, dotarły do Londynu* – czytamy w liście Jadwigi Piłsudskiej-Jaraczewskiej, córki J. Piłsudskiego, otwierającym wystawę. – *Zostały tam przekazane mojej matce, Aleksandrze Piłsudskiej i odtąd były pod opieką rodziny. Ale w warunkach wojennych, na uchodźstwie (...) ciągle były przenoszone i przechowywane przez różnych ludzi i instytucje. Dopiero po wielu latach, już po śmierci matki, razem z siostrą Wandą zaczęłyśmy przekazywać nasze rozproszone zbiory do Instytutu Józefa Piłsudskiego w Londynie, który stał się dla nich bezpieczną przystanią...*

– *Rodzina powróciła do kraju w roku 2004* – czytamy dalej w liście córki Marszałka. – *Sprowadziliśmy te cenne pamiątki po moim Ojcu, Józefie Piłsudskim, które miło mi teraz pokazać w moim rodzinnym, odrestaurowanym domu w Sulejówku.*

Jest ich ok. stu, najważniejsze wśród nich to **Mundur Marszałka z odznaczeniami, które zawsze nosił**: Krzyż Srebrny Orderu Wojennego Virtuti Militari, Krzyż Niepodległości z Mieczami, Krzyż Walecznych z trzema okuciami (nadany czterokrotnie).

Buława marszałkowska, wręczona J. Piłsudskiemu przez najmłodszego Kawalera Orderu Virtuti Militari

sierz. Jana Żywka z 41 Suwalskiego Pułku Piechoty podczas uroczystych obchodów drugiej rocznicy odzyskania niepodległości na placu Zamkowym w Warszawie. Buława wykonana jest ze srebra i złota.

Paradna szabla Toledańska, używana przez Marszałka podczas reprezentacyjnych wystąpień, wykonana według wzoru szabli polskiej z 1921/1922 r. w Toledo w Hiszpanii, z wytrawionymi na głowni ornamentami, herbem rodowym Piłsudskich – „Kościeszka” i monogramem „J.P.”, buławą marszałkowską, a na rękojeści – wizerunek orła jagiellońskiego i skrzyżowane dwie buławy marszałkowskie.

Pamiątki lwowskie po Marszałku to piękny Ryngraf od Korpusu Kadetów nr 1 we Lwowie, ofiarowany Mu w dniu imienin 19 III 1933 r. Na srebrnej tarczy znajduje się wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej nad skrzyżowanymi szablami i sztandarami z okresu Powstania Styczniowego. Poniżej dwie skrzyżowane buławy marszałkowskie między odznakami pamiątkowymi 1 Brygady Legionów i Korpusu Kadetów nr 1. Tarcza okolona napisem: „*Szala zwycięstwa rozstrzyga się w sercu, woli, charakterze i umiejętności trwania*”.

Ryngraf od 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich – ofiarowany Marszałkowi w dniu imienin 19 III 1935 r. Na srebrnej tarczy z wizerunkiem Matki Boskiej Jazłowieckiej umieszczono odznakę pamiątkową pułku oraz napis: „*1-mu Marszałkowi Polski – Wodzowi Narodu*”.

Karabela ormiańska – ofiarowana Marszałkowi przez Kupiectwo Lwowa w 1932 r. z okazji objęcia przez Niego protektoratu nad Targami Wschodnimi. Podarunek był dowodem wdzięczności społeczeństwa Lwowa za

pomoc okazywaną przez Wodza Naczelnego walczącemu miastu od listopada 1918 r. do marca 1919 r.

Ryćcina – dekoracja herbu miasta Krzyżem Srebrnym Virtuti Militari 22 listopada 1920 r. u stóp pomnika Adama Mickiewicza. Marszałek powiedział wówczas: *„Za zasługi położone dla polskości tego grodu i jego przynależność do Polski mianuję miasto Lwów Kawalerem Krzyża Virtuti Militari”*.

Dyplom Odznaki Pamiątkowej Korpusu Kadetów nr 1 we Lwowie ofiarowany J. Piłsudskiemu jako Pierwszemu Żołnierzowi Rzeczypospolitej i honorowemu szefowi Korpusu.

Ryngraf od Klubu Sportowego „Strzelec” we Lwowie ofiarowany Marszałkowi 19 marca 1935 r. z okazji Jego imienin. Na srebrnej tarczy, na tle grawerowanego orła państwowego, umieszczona jest tarcza z orłem strzeleckim. Poniżej monogram „J.P.” i data 19 III 1935 oraz napis: „Klub Sportowy Strzelec we Lwowie”.

Jest jeszcze zdjęcie jak Marszałek Józef Piłsudski dekoruje sztandar 14. Pułku Jazłowieckiego w 1921 r. – bez bliższych danych oraz pamiątka kresowa: talerz drewniany zdobiony od górali huculskich z Kosowa.

Wystawę w „Milusinie” zorganizowała Fundacja Rodziny Józefa Piłsudskiego we współpracy z Muzeum

Wojska Polskiego (które On przed 85 laty powołał do życia) w sulejowskim dworcu, gdzie Piłsudski żył, pracował, przyjmował przyjaciół i odpoczywał stawiając pasjanse. Zgromadzono dziesiątki pamiątek po Nim – „relikwie narodowe” i mnóstwo osobistych (ujmująca jest wśród nich laurka „męża Józefa do żony Aleksandry” napisana własnoręcznie przez Piłsudskiego). Oglądając je i krótki film o Nim – żołnierzu, wodzu, polityku, ojcu patriotycznej polskiej rodziny, dopiero tu uświadomiłem sobie wielkość Józefa Piłsudskiego: Jego gorący patriotyzm i troskę o przyszłość odrodzonej ojczyzny, a zarazem tak bardzo skromnego i wrażliwego...

Należy żałować, że piękna wystawa pamiątek po „Dziadku” (scenariusz ich ekspozycji i opis eksponatów – dr Grzegorz Nowik) została zamknięta już 20 listopada. Jego córki mają nadzieję, że ponownie ją udostępnią – zwróciły się nawet z prośbą do zwiedzających: *Gdyby Państwo zechcieli wesprzeć dalsze tworzenie Muzeum Marszałka prosimy o wpłaty na konto Fundacji Rodziny Józefa Piłsudskiego: 04-1020-1156-0000-7202-0011-2466 PKO BP S.A. XV O/W Warszawa. Serdecznie dziękujemy za wsparcie i wszelką pomoc.*

Jestem przekonany, że ich nie zabraknie. □

Eugenia Dąbrowska (Towarzystwo im. Rajmunda Jarosza w Truskawcu)

Znów Tarnów o nas pamiętał!

Tarnów, w województwie Małopolskim, znajduje się w odległości 80 km od Krakowa i 260 km od Lwowa, leży na głównej drodze łączącej te miasta.

Jest to miasto o starych tradycjach. Pierwsza osada, powstała jeszcze przed końcem XI wieku, stała się następnie wsią rycerską, aż w 1330 r. zasłużony w sprawie jednoczenia Polski po rozdrobnieniu dzielnicowym – rycerz Spycimir Leliwita, otrzymał od króla polskiego Władysława Łokietka akt lokacyjny dla miasta Tarnowa, oparty na prawie magdeburskim, co pozwoliło na dynamiczny rozwój miasta.

Przez kolejne wieki Tarnów stanowił własność możnego rodu Tarnowskich, a następnie innych rodów książęcych, w końcu Sanguszków.

Należy podkreślić, że wybitnie zasłużonym dla korony polskiej był hetman Jan Tarnowski, który w 1531 r. odniósł ważne zwycięstwo nad wojskami mołdawskimi, skutkiem czego do Polski na wiele lat zostało włączone Pokucie.

Jak inne miasta, Tarnów nawiedzały zarazy, pożary i najazdy, w tym najazd Szwedzki, przemarsze wojsk, co powodowało wielkie zniszczenia i zubożenie miasta.

W 1772 r. Tarnów znalazł się pod zaborem austriackim i w tej niewoli znajdował się blisko 150 lat.

Wielu tarnowian uczestniczyło w wielkich powstaniach narodowych XIX wieku, co pozostawiło ślad na zabytkowym Starym Cmentarzu. Znakomitym Synem Tarnowa był z pochodzenia Węgier – generał Józef Bem, uczestnik Powstania Listopadowego (1831-32), a także bohater Wiosny Ludów (1848-49), wybitny inżynier, którego dziełem, między innymi, jest przebudowa-

ny z klasztoru SS Karmelitanek Trzewickowych, budynek dawnego Ossolineum we Lwowie (obecnie biblioteka im. Stefanyka).

Generał spoczywa w otoczonym czcią mauzoleum w Parku Strzeleckim w Tarnowie.

I wojna światowa pochłonęła wiele ofiar wśród ludności Tarnowa, wielu obywateli tego miasta walczyło w Legionach.

Po odzyskaniu niepodległości miasto i region zmieniły swój obraz dzięki budowie, z inicjatywy prezydenta Ignacego Mościckiego, najnowocześniejszego wówczas w kraju kombinatu chemicznego - Zakładów Azotowych. Budowniczymi i inżynierami tej fabryki byli absolwenci Politechniki Lwowskiej.

Podczas II wojny światowej, szczególnie znamienym i tragicznym wydarzeniem był wyjazd z tarnowskiego dworca kolejowego pierwszego transportu więźniów do Oświęcimia.

Tarnowianie-partyzanci AK przyczynili się do wykrycia tajemnicy budowy rakiety V-2, której fragmenty znalezione w okolicach Tarnowa, przekazali do ekspertyzy polskiemu wywiadowi.

W tym mieście, leżącym na szlaku ze Lwowa, zatrzymali się po wojnie liczni mieszkańcy Kresów Wschodnich, co w 1989 r. zaowocowało utworzeniem Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Od wielu lat jesteśmy zapraszani przez ten Oddział na letnie kolonie, co dla polskiego środowiska w Truskawcu jest ogromną wartością.

W tym roku zorganizowano w Tarnowie. kolonię dla 55 osób – z Truskawca, Stanisławowa, Zbaraża i Strzel-

czysk. Dzieci poznały się między sobą, nawiązały też kontakty z dziećmi z Polski.

Zarząd Oddziału Towarzystwa, a w szczególności panie Halina Żmuda – prezes, Bogusława Romaniewska – wiceprezes i członkinie p. Krystyna Kubala i p. Danuta Braty zadbały o każdy szczegół przy organizacji wypożyczynku. Na opiekę z ich strony mogliśmy liczyć podczas całego pobytu – od momentu spotkania na granicy w Medyce do pożegnania na tej granicy. Zapewniono nam wspaniałe warunki zakwaterowania w Ośrodku Szkolno-Wychowawczym, kierowanym przez p. Grażynę Kryplewską, mieszczącym się w pięknej dzielnicy miasta. Zapewniono też wiele atrakcji i opiekę medyczną, w tym stomatologiczną, z czego dzieci nie były zbyt zachwycone, ale po perswazjach opiekunów skorzystały. Pani dr Alicja Wyszowska przebadła wszystkie dzieci.

Ze strony gospodarzy opiekowała się nami nauczycielka Ośrodka, niezastąpiona pani Renata Wrzos.

Dzięki p. Ryszardowi Pagaczowi, który bezinteresownie poświęcił swój czas, aby nas oprowadzać poznaliśmy miasto i jego historię (stąd informacje zamieszczone na wstępie), okolice i piękną Ziemię Tarnowską. Zorganizowano nam wycieczkę do Krakowa, gdzie uczestniczyliśmy w Mszy Świętej w Sanktuarium



Grupa uczestników kolonii letniej z Truskawca przy pomniku św. Faustyny w Krakowie-Łagiewnikach

Miłosierdzia Bożego w Łagiewnikach, a następnie zwiedziliśmy Wawel, traktem królewskim przeszliśmy do Bazyliki Mariackiej, zwiedziliśmy Rynek, Sukiennice z zachwycającymi dziełami kramami, ul. Floriańską, Barbakan, Uniwersytet Jagielloński.

Braliśmy udział w imprezach organizowanych dla dzieci w mieście, Mościcka Fundacja Kultury specjalnie dla nas zorganizowała seans filmowy, a Towarzystwo zaprosiło opiekunów kolonii na premierę filmu „Karol – człowiek, który został papieżem”, co było dla nas wielkim i wzruszającym przeżyciem.



Zarząd i sponsorzy wśród dzieci

Wiemy, że za tak wspaniale zorganizowanym pobytom stoi wielu sponsorów, o których mogliśmy się dowiedzieć – Urząd Miasta, Kuratorium Oświaty, Bolesław Budzik z firmy „Mega”, Jednostka Ratownictwa Chemicznego z Tarnowa, pani Ewa Chylewska ze Szwajcarii, p. Krzysztof Mądel – właściciel firmy przewozowej, który podczas wspólnego spotkania został odznaczony honorową odznaką „Zasłużony dla Towarzystwa Miłośników Lwowa”. Niewątpliwie było też wiele osób bezimienne wspierających tę akcję.

My, ze swej strony, podziękowaliśmy organizatorom tak, jak mogliśmy najserdeczniej to uczynić – piosenką i poezją w wykonaniu uczestników kolonii.

Czy za rok znów spotkamy się w Tarnowie? Mocno w to wierzymy!

Dziękując Towarzystwu Miłośników Lwowa za wielki trud organizacyjny, życzymy wiele sił i wciąż niegasnącego zapału w osiągnięciu celów.

Na Tarnów możemy zawsze liczyć!

Truskawiec, 30.08.2005

Marian Wiszniewski

XV-lecie Świdwińskiego Klubu TMLiKPW

W dniu 15 września 2005 r., czyli dokładnie w XV rocznicę powstania Klubu, zorganizowano jubileuszowe spotkanie we wspaniałej sali rycerskiej świdwińskiego ośrodka kultury. Początek spotkania uświetniła kapela lwowska z orkiestry dętej ŚOK pod kierownictwem **Władysława Makowskiego**, która swoim występem wprowadziła obecnych we wspaniałą, radosną i sentymentalną nastrój lwowski.

Swoją obecnością zaszczytili nas: senator RP – Grzegorz Andrzej Niski, wicestarosta Powiatu Świdwin – Lesław Ryżlak, burmistrz Miasta Świdwin – Józef Pietraszek i jego zastępca – Jan Owsiak, zastępca wójta Gminy Świdwin – Zdzisław Pawelec, zastępca wójta Gminy Brzeźno – Jerzy Niedzielski, prezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” z Koszalina – Zbigniew Cie-

chanowski, prezes Stowarzyszenia Kresowian z Kuropatnik, woj. Tarnopol, z Sielska – Jan Adamów, prezes TMWiKW – Anna Teresińska, dyrektorzy szkół – SP2 Danuta Malitowska, SP3 Anna Masłowska i ZSR CKP Andrzej Muchorowski, naczelnik wydziału Oświaty Kultury Starostwa Bogdan Kaczmarczyk i Urzędu Miasta Bogdan Wachowiak oraz inne osoby współpracujące z Klubem TMLiKPW w Świdwinie.

Uroczyste spotkanie otworzyli **prezes Klubu – Mieczysław Kostur** i **sekretarz Klubu – Marian Wiszniewski**, witając serdecznie naszych gości, kapelę z ŚOK i zespół „Leszczyna” z Pęczeryna. Następnie sekretarz Klubu przedstawił ogólną jego działalność i osiągnięcia w XV-leciu (1990-2005).

Spotkanie założycielskie Klubu odbyło się 15 września 1990 roku z inspiracji świdwińskich lwowiaków na czele z Adamem Malinką i z tymi, którzy wcześniej od 1989 roku należeli do TML Oddziału w Koszalinie – Walerią Marko, Krystyną Dereń, Zofią i Tadeuszem Kurkowskimi, Józefem Szydłowskim i Antoniną Sochą. W spotkaniu tym uczestniczył Ryszard Adel – prezes TML Oddziału w Koszalinie, wyjaśniając sprawy statutowe i organizacyjne. Spośród 18 członków wybrano pierwszy Zarząd Klubu z prezesem Mieczysławem Kosturem i wiceprezesem Adamem Malinką. Świdwiński Klub powołany został uchwałą numer 2/90 z dnia 8.10.1990 r. Zarządu Oddziału TML w Koszalinie, który wszedł w jego strukturę. Zebrania Klubu odbywały się w co trzeci poniedziałek miesiąca, a tematami tych spotkań były prelekcje naszych członków i zaproszonych gości, wieczory wspomnień i poezji lwowskiej, konkursy, wystawy, filmy wideo i programy artystyczne. Szczególnie uroczyste organizowano spotkania świąteczne nawiązując do tradycji lwowskich. Szczegółowy wachlarz i poziom wszechstronnych naszych działań odzwierciedlają przedstawione trzy kroniki prowadzone przez prezesa, Kalendarium XV-lecia Klubu i wystawa fotograficzna z działalności. Należy jednak wspomnieć, że zorganizowano: trzy wycieczki do Lwowa, udział prezesa w uroczystości w rodzinnym grodzie Szczercu k. Lwowa, gdzie członkowie Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej z prezesem Marianem Wojciechowskim w kościele św. Stanisława wmurowali i odsłanili tablicę pamiątkową ku czci generała Stanisława Maczka. Gościliśmy zespoły chóralskie „Echo” ze Lwowa, „Czerwone maki” z Mińska i „Lutnię” z Czerniowiec, które uczestniczyły w Festiwalu Chórów Polonijnych w Koszalinie, a także dwa razy zespół muzyczny „Polskie korzenie” ze Lwowa. Od 1993 roku w czytelni Miejskiej Biblioteki Publicznej w Świdwinie prezes ze swoich zbiorów zorganizował stałą wystawę wydawnictw „Lwów i kresy”, z której korzystają czytelnicy, a w przyszłości stanie się ona własnością biblioteki. Od 1997 roku corocznie organizowany jest Świdwiński Dzień Kultury Kresowej, a od 2000 roku corocznie Powiatowy Konkurs Poezji i Piosenki Lwowskiej. Mamy też świdwińskie symbole Lwowa: ulicę Orłąt Lwowskich od 1995 r., w kościele pw. MBNP tablicę pamiątkową „W hołdzie obrońcom Lwowa i Kresów Wschodnich” od 1998 r. i kopię cudownego obrazu Matki Bożej Łaskawej – Madonny Lwowskiej, którą ofiarowali członkowie Klubu w 2000 r. Organizowaliśmy dwa razy kwestę cmentarną na odbudowę cmentarza Łyczakowskiego i Orłąt Lwow-

skich. Prezes Klubu w okresie lat 1994-2005 uczestniczył w 83 spotkaniach z młodzieżą szkolną nt. „Orłęta w obronie Lwowa i niepodległości Polski 1918-1920” z udziałem ponad 2400 uczniów.

Dwaj członkowie Klubu zaangażowani są w działalność samorządową: Mieczysław Kostur – był wiceprzewodniczącym Rady Miasta Świdwin kadencji 1998-2002, a Jan Szoldra – wiceprzewodniczącym Rady Powiatu Świdwin kadencji 1998-2002 i obecnej. Laureatem w konkursie „Osobowość Roku 2001 Powiatu Świdwińskiego” w kategorii kultura został Mieczysław Kostur, a także Rada Miasta Świdwin w uznaniu zasług nadała M. Kosturowi tytuł „Zasłużony dla Miasta Świdwina”. Wyróżnieni Złotą Odznaką TML zostali następujący członkowie Klubu: M. Kostur, M. Gajewski, M. Wiszniewski, P. Brycka, K. Szutra, A. Malinka, a także M. Drelak-Sitniak – nauczycielka z SP3 w Świdwinie.

Klub zgodnie z uchwałą ZG TMLiKPW nr 12/96 z dnia 19.10.1996 r. został przyporządkowany Zarządowi Głównemu we Wrocławiu. Prezesem Klubu w okresie jubileuszu i aktualnie zawsze wybierany był **Mieczysław Kostur**, a funkcję skarbnika od 1993 r. pełni **Kazimierz Szutra**, a sekretarza od 1997 r. **Marian Wiszniewski** – dyrektor ŚOK. Klub współpracuje z władzami samorządowymi, stowarzyszeniami kresowymi i Wspólnotą Polską, szkołami, ośrodkami kultury i zespołami ludowymi oraz uczestniczy na bieżąco w oficjalnych miejskich i państwowych obchodach rocznicowych.

Senator RP Grzegorz Andrzej Niski z upoważnienia Prezydenta RP odznaczył prezesa Klubu **Mieczysława Kostura** – **Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia**



Odznaczenie Mieczysława Kostura Krzyżem Oficerskim OOP przez Senatora RP G. A. Niskiego i gratulacje od burmistrza Józefa Pietraszki

Polski, za całokształt działalności, a także za krzewienie tradycji i kultury lwowskiej na ziemi świdwińskiej.

Na ręce prezesa przekazali listy gratulacyjne i kwiaty Senator RP, Wicestarosta, Burmistrz, Wójtowie, Dyrektor ŚOK, Dyrektorzy szkół i Prezesi towarzystw kresowych.

Wicestarosta Lesław Ryżlak uhonorował 15 członków klubu pamiątkowym medalem „60-lecia Powrotu Ziem Zachodnich do Macierzy”, które otrzymali: M. Kostur, P. Brycka, W. Marko, J. Szymbra, K. Krukowska, Z. Krukowska, K. Krupa, Z. Budzińska,



Zdjęcie wyróżnionych członków Klubu z wicestarostą

J. Chmielewska, J. Mądrowski, K. Szutra, K. Marko, J. Szoldra, M. Gajewski, M. Wiszniewski.

Następnie prezes Klubu w imieniu prezesa Zarządu Głównego TMLiKPW Wrocław uhonorował Złotą Odznakę TMLiKPW, zasłużonych dla Towarzystwa: **Józefa Pietraszkę** – burmistrza Miasta Świdwin i **Jana Szoldrę**

– członka Klubu i wiceprzewodniczącego Rady Powiatu Świdwin. Z okazji jubileuszu prezes wręczył pamiątkowe talerze „Obrońców Lwowa 1918-1920” Senatorowi RP G. A. Niskiemu i wicestarosie L. Ryżłakowi, a także okazjonalne podziękowania piętnastu członkom Klubu za XV-letnią działalność w Towarzystwie oraz władzom samorządowym, dyrektorom szkół, pracownikom kultury, występującym zespołom i naszym darczyńcom za wspieranie działalności kresowej – by ocalić od zapomnienia.

To jubileuszowe spotkanie swoim śpiewaniem uświetnił też współpracujący z Klubem od 1990 r. zespół „Leszczyna” z Pęczeryna, śpiewając piosenki lwowskie w naszym regionie pod kierunkiem **M. Gajewskiego** – członka Klubu, a od dwóch lat **M. Szeredy i M. Michalaka**.

Prezes w imieniu Zarządu i członków świdwińskiego Klubu składa serdeczne podziękowanie dyrektorowi ZSR CKP A. Muchorowskiemu za wspieranie i pomoc, a nauczycielom L. Zychowicz i A. Strumińskiej oraz uczniom za przygotowanie i obsługę naszego spotkania. □

Wanda Butowska

Muzyka we Lwowie

Pod takim hasłem przebiegały tegoroczne – VIII Dni Lwowa w Poznaniu.

Temat rozwijany był na spotkaniu piątkowym, w którym wziął udział profesor Leszek Mazepa ze Lwowa oraz znany sprzed lat pierwszy tenor Opery Poznańskiej Marian Kouba. Profesor odniósł się do bardzo odległych czasów, kiedy to dominowała muzyka kościelna, następnie pojawiły się pierwsze instytucje muzyczne jak Akademia Muzyczna Józefa Elsnera, Towarzystwo św. Cecylii Franciszka Mozarta, Galicyjskie Towarzystwo Muzyczne po operę i filharmonię. Przypominano muzykującego we Lwowie (a ściślej w Moszkowie) młodego Karola Kurpińskiego rodem z Włoszakowic k. Leszna, a także profesora Adolfa Chybińskiego, który organizował muzykologię na Uniwersytecie Jana Kazimierza, wykładał w Konserwatorium Lwowskim, a po wojnie objął kierownictwo Zakładu Muzykologii na Uniwersytecie w Poznaniu.

W drugiej części spotkania mogliśmy posłuchać wspomnień Mariana Kouby urodzonego we Lwowie. We Lwowie poznał operę. Najpierw śpiewał w chórze operowym, a później w roku 1939 podjął pierwszą „pracę” w teatrze – klakiera. Na scenę jako solista trafił więc trochę później... najpierw w Krakowie, Wrocławiu i najdłużej, bo pięćdziesiąt lat – w Poznaniu.

Były wspomnienia, anegdoty i krótki koncert w wykonaniu studentów Akademii Muzycznej w Poznaniu. Młodzi artyści wykonali wiązankę piosenek lwowskich na skrzypce i fortepian.

Sobota: przed południem w Domu Polonii na Starym Rynku kolejne spotkania. Profesor Mazepa mówił o kształtowaniu relacji dwóch narodowości: Polaków i Ukraińców (Rusinów) na przestrzeni wieków.

Drugi prelegent – profesor Szczepan Siekierka – skoncentrował się na zjawiskach współczesnych związanych z ostatnimi wydarzeniami na Ukrainie, związaną z Ukrainą polityką, a także przedstawiając zakres działania kierowanego przez siebie Stowarzyszenia Upamiętnienia Ofiar Zbrodni Ukraińskich Nacjonalistów. Spotkanie było bardzo interesujące, sprowokowało wiele pytań. W przerwie między prelekcjami towarzyszyła nam znów grupa Marcina Tomkiewicza dając bardzo przyjemny „koncertik”.

Po południu koncert inaugurujący „Dni” w Sali Lubrańskiego w Collegium Minus. Jako nasz gość wystąpił zespół studentów Konserwatorium ze Lwowa prowadzony przez Zofię Iwanow. Muzycy przedstawili układ utworów „przez wieki”, przez które przeprowadziła nas, opatrząc komentarzem, pani Iwanow. Koncert rozpoczął Karol Kurpiński grany i lubiany we Lwowie, potem Jan Gall kompozytor pracujący we Lwowie na przełomie wieków XIX i XX, którego kantata uświetniła otwarcie Teatru Miejskiego w 1900 r., Karol Mikuli – twórca Konserwatorium. Dalej były utwory bardziej współczesne Stanisława Ludkiewicza, Andrzeja Nikodymowicza, Mirosława Skoryka.

Koncert był przepiękny. Nie dziw, gdyż studenci Konserwatorium to laureaci wielu konkursów międzynarodowych. Muzyce towarzyszyły recytacje polskich wierszy.

Niedziela – Msza św. w Farze w intencji Kresowian żywych i umarłych.

„Po kościele” spacerkiem udaliśmy się do Muzeum Instrumentów Muzycznych. Tu powitał gości dyrektor Muzeum p. Jaskulski i na wstępie zaprezentował nam utwór z mechanicznej „szafy grającej” z XIX w. Dalsza część prezentacji eksponatów odbyła się w sali koncertowej im. Groblicza, „po drodze” mogliśmy obejrzeć gablotę ze skrzypcami wykonanymi w warsztacie lutniczym Niewczyków, których pradziad został wygnany z Wielkopolski przez pruskiego zaborcę, osiadł we Lwowie kontynuując pracę i przekształcając warsztat w fabrykę instrumentów muzycznych. Po wojnie rodzina Niewczyków powróciła do Poznania, gdzie do dnia dzisiejszego prowadzi zakład lutniczy. W sali Groblicza zaprezentowano nam kilka instrumentów: fortepian salonowy z kolekcji Jerzego Waldorffa, harmonię z warsztatu Michała Szkielskiego ze Lwowa i fortepian, także wykonany we Lwowie. Pani Bogna Jaskulska śpiewała pieśni Chopina, arię z „Wesołej wdówki” i piosenki lwowskie, dając też próbkę możliwości instrumentów. To był bardzo piękny ranek.

Ale już następny punkt programu: idziemy na drugą stronę Rynku. Tu w Muzeum Henryka Sienkiewicza jest kolejna wystawa: „Muzyka dawnego Lwowa” (z kolekcji Janusza Wasylkowskiego). Gości w progach Muzeum powitała pani dyrektor Anna Błaszak oraz pan Marian Kouba w imieniu swoich słynnych poprzedników, których nazwiska odczytać można było z dawnych afiszy. Wszyscy tłumnie udali się do sali wystawowej. Wystawa zgromadziła afisze operowe z przedstawień z przełomu wieków, programy biur koncertowych, świadectwa i programy uczniowskie Konserwatorium, programy z różnych koncertów patriotycznych, charytatywnych np. z 1811 r., wreszcie pamiątki po słynnej Lwowskiej Fali jak nuty oraz kasety, płyty CD, książki-śpiwniki utrwalające i zachowujące niezapomniane piosenki i pieśni. Wystawę ubarwiała fotogramy wykonane przez pana Feliksa Sikorskiego przedstawiające m.in. teatr, słynną kurtynę Siemiradzkiego. Osobną gablotę poświęciliśmy profesorowi Tadeuszowi Szeligowskiemu urodzonemu i studiującemu we Lwowie. Profesor Szeligowski jest patronem szkoły muzycznej w Poznaniu. Jedną z gablot zajmowały książki autorstwa Janusza Wasyl-



Fot. Feliks Sikorski

VIII Dni Lwowa w Poznaniu

kowskiego poświęcone lwowskiej piosence, „Lwowskim misztygalkom”, jak też brzmi tytuł jednej z ostatnich książek autora.

Z przyjemnie chłodnego Muzeum przeszliśmy na piknik. Był prawdziwie upalny dzień, jak w pełni lata i gwar, i muzyka: „Paka Rycha” i żywioł „Biedronek”. Koncert piknikowy prowadził pan Jacek Hałasik z Radia Merkury, zaadoptowany niemal przez Towarzystwo Miłośników Lwowa (pozwolił się zająć chociaż ciągle lepiej mówi po poznańsku). Występował też nasz nowopozyskany zespół młodych muzyków. Jak w latach poprzednich odbywał się także konkurs lepienia pierogów, do którego zachęcaliśmy przede wszystkim panów. Zebrany piknik bardzo się podobał i chcieli, by w przyszłym roku także się odbył.

By to wszystko mogło się zdarzyć wspierali nas: Centrum Kultury ZAMEK, Wielkopolski Oddział Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, restauracja „Kresowa”, Biblioteka Raczyńskich, Środowisko Drużyn Harcerskich Związku Harcerstwa Rzeczypospolitej „ORLETA”, Związek Harcerstwa Rzeczypospolitej, 6 Poznańska Drużyna Harcererek „Koliba” im. Heleny Marusarzówny oraz jako mecenas: Urząd Miasta Poznania, a także sponsorzy PKO BP i PLUS. □



Fot. Feliks Sikorski

VIII Dni Lwowa w Poznaniu

Piotr Jackowski

„Ni ma jak Lwów...” Kresowa solidarność

Piętnastolecie istnienia obchodził stalowowski oddział Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich. Jego członkowie wspominają swoje małe ojczyzny, integrują się. Organizując spotkania pomagają rodakom na Wschodzie. – Darzę tych ludzi wielką sympatią i szacunkiem – mówi ks. Jan Koziół, proboszcz parafii św. Floriana w Stalowej Woli, oddany przyjaciel kresowiaków.

Oddział powstał wiosną 1989 r. Kilkadziesiąt osób postanowiło zrzeszyć się korzystając z odwilży politycznej zaistniałej w tamtym czasie. Każda z nich chciała zamanifestować swój związek z Kresami i – w miarę możliwości – włączyć się w podejmowane działania. Jednym z najaktywniejszych animatorów wszelkich przedsięwzięć stowarzyszenia był i jest prezes Bogusław Maziak, wspierany przez Annę Olek, Krystynę Podsiadło, Mieczysława Moskała, Ryszarda Wojtowicza.

Na podkreślenie zasługują cykliczne spotkania członków oddziału, odbywające się w klubie „Emka”. Jak zauważa Ryszard Wojtowicz, służą one kultywowaniu pamięci o rodzinnych stronach kresowiaków, ich historii i teraźniejszości. Ciekawymi przedsięwzięciami są prelekcje, przybliżające konkretne wydarzenia z przeszłości. Niekiedy dotyczą one wielkich postaci, które odegrały znaczącą rolę w dziejach Polski. Warto też wspomnieć o programach artystycznych, prezentowanych seniorom przez uczniów stalowowskiego Gimnazjum nr 3 im. Józefa Piłsudskiego. Podczas wspólnie spędzanych chwil nie brakuje lwowskich śpiewów, nadarza się też okazja do dyskusji.



Stalowa Wola, listopad 2004 r.

Niektórzy członkowie Towarzystwa uczestniczyli w wycieczkach na Wschód, organizowanych przez bratnie Stowarzyszenie Łączności i Pomocy Rodakom we Lwowie i na Kresach. Spotykali się wówczas z rodakami trwającymi przy polskości, będącymi ludźmi w podeszłym wieku, często bardzo biednymi. Jadąc do nich starali się przychodzić im z pomocą materialną.

Niestety, wraz z upływem czasu wielu ludziom zaczyna brakować sił i zdrowia. Ci, którzy nie są w stanie przybywać na spotkania, mogą liczyć na przyjacielskie odwiedziny w domach. Pamięta się także o tych, których Bóg powołał do Siebie. Wyrazem pamięci jest modlitewna zaduma i zapalanie zniczy na grobach zmarłych.

– Przykro mi, że wielu członków Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich już nie żyje – akcentuje ks. Jan Koziół. – Modlimy się za zmarłych, jak również za żywych. Niech kresowiaci trzymają się jak najdłużej i czują się dobrze w Stalowej Woli. Trzeba im nieść pomoc, dobre serce i wspierać na duchu.



Stalowa Wola, listopad 2004 r.

Piotr Franków

Spotkanie w Rogach

Zgodnie z tradycją Gorzowskiego Oddziału TMLiKPW organizowane są coroczne spotkania związane ze staropolskimi obchodami sobótki.

Tegoroczne spotkanie ponad 50-osobowej grupy naszych członków miało miejsce 29 czerwca. Udział w spotkaniu wzięli także przedstawiciele Koła Miejskiego Związku Sybiraków oraz Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej.

Było ognisko, grill, śpiewy i tańce. Śpiewano pieśni kresowe, patriotyczne i te wesołe, związane z folklorem lwowskiej ulicy.

Do tańca przygrywali:

– Stanisław Dżumaga – znany gorzowski adwokat, korzeniami rodzinnymi związany z Trembowlą (akordeon);

– Marek Pudielko – aktor gorzowskiego Teatru im. J. Osterwy, znany wokalista, także członek zespołów muzyczno-wokalnych (m.in. kapeli „U Zbycha”) o repertuarze kresowym (gitara i bęben).

Zabawa była udana. Zakończyła się puszczaniem na taflę jeziora wianków kupałowych.



29.06.2005 r. Członkowie TMLiKPW na pomoście jeziora, w tle pałac w Rogach

O stół zadbali uczestnicy spotkania i niezawodny przy organizacji tego typu imprez Władysław Olszowy.

Spotkania na łonie natury członków naszego Oddziału Towarzystwa służą wymianie różnych poglądów i spojrzenia na Kresy i ich kulturę, obyczaje i tradycje narodowe z nutką nostalgii, która nam wszystkim w obecnych czasach jest niezwykle potrzebna.

Służą one także integracji naszego kresowego środowiska. □

Janina Baj

Kresowe spotkania

Muzeum im. Jana Dzierżona w Kluczborku zaprasza do zwiedzania, czynnej do 27 listopada br., wystawy *Kresy – ziemia wielu wyznań* przygotowanej przez Stowarzyszenie Wspólnota Polska Oddział Opole. Prezentowane są charakterystyczne elementy krajobrazu Kresów utrwalone na fotografiach Stanisława Wierzgonia w opracowaniu Krystyny Rostockiej.

Są to kościoły i zabudowania klasztorne, unickie i prawosławne cerkwie i monastery oraz synagogi i kine-sy świadczące o bogactwie różnych tradycji, wartości kulturowych i duchowych tych ziem.

Mottem tej wystawy są słowa Jana Pawła II ... *Lu-dzie oczekują od różnych religii odpowiedzi na głębokie tajemnice ludzkiej egzystencji, które jak niegdyś tak i teraz do głębi poruszają ludzkie serca...*

Uzupełnienie ekspozycji stanowią pamiątki rodzinne dawnych mieszkańców Kresów, którzy zamieszkali w Kluczborku. Możemy zobaczyć fotografie z różnych



Występ zespołu „Echo” Polskiego Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów

uroczystości religijnych, m.in. I Komunii Świętej, procesji Bożego Ciała oraz pamiątkowe obrazki i medaliki, okolicznościowe wydawnictwa i dawne pocztówki ukazujące widoki miast kresowych z wieżami i kopułami świątyń.

W uroczystym otwarciu wystawy, które miało miejsce 9 października br. uczestniczyli członkowie Zarządu opolskiego Oddziału Wspólnoty Polskiej z Prezes Krystyną Rostocką, Sekretarz Gminy Kluczbork – Andrzej Kalandyk, licznie przybyli (jako współorganizatorzy) członkowie kluczborskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich z Prezesem Henrykiem Jarowickim oraz zaproszeni goście.

Otwarcie uświetnił występ zespołu *Echo*, Polskiego Związku Emerytów, Rencistów i Inwalidów Oddział Kluczbork, wiązanką kresowych piosenek.

Dzięki uprzejmości i zaangażowaniu Pana Stanisława Czerkasa, Lwowianina, wieloletniego Prezesa Towarzystwa Kultury Polskiej we Lwowie, mieszkającego w Kluczborku od kilku lat, na wystawie przeprowadzane są lekcje muzealne. Uczestnikami tych spotkań jest mło-



Stanisław Czerkas z młodzieżą z LO w Kluczborku, 18 X 2005 r.

dzień szkół średnich, dla której opowieść o dawnym Lwowie i życiu kulturalnym Polaków, przeplatana anegdotami i ilustrowana zdjęciami staje się uzupełnieniem lekcji historii. □

Jerzy Duda

„Piękny Lwów”

*„...Pozostała tęsknota jedyna,
Wszystkie inne tęsknoty zagłusza;
Gdy ostatnia wybije godzina,
By z lwowskiego wybiła ratusza...”*
(Marian Hemar)

Związany z Opolem i tu pochowany wybitny pisarz Stanisław Wasylewski (1885-1953), rodem ze Stanisławowa, wspominając Lwów napisał: „...Rozkaż założyć czwórkę rysaków do landary srebrnokutej, niech furier ze strusiem piórem siądzie na koźle od parady, pojedziemy do bardzo przyjemnego miasta...czeka nas wiele siurpryz w tym mieście, w którym nawet ksiądz kanonik Piotr Skarga był czasem lekkomyślny...”. Takim wzruszającym przesłaniem dyrektorka Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu Krystyna Lenart-Juszczewska powitała tłumnie zebranych Opolan, dawnych mieszkańców Lwowa i Kresów Wschodnich, przybyłych na wernisaż wystawy „Piękny Lwów” w dniu 30 września 2005 roku. Wystawy prezentującej malarstwo, grafikę, fotografię, rzemiosło artystyczne i militaria pochodzące ze zbiorów Lwowskiego Muzeum Historycznego, Naukowej Biblioteki im. Wasyla Stefanyka i Lwowskiej Galerii Sztuki. A współorganizatorka wystawy Elżbieta Dworzak dodała: „...Na tej wystawie nie obejdzie się bez łez, i dlatego też ze względu na wielkie zainteresowanie ekspozycją wernisaż przenieśliśmy do naszej największej sali...”.

Wystawę otwiera zestaw fotografii i dokumentów poświęconych Obronie Lwowa w 1918 roku, kiedy to pod wodzą brygadiera Czesława Mączyńskiego, kapitana Zdzisława Tatara-Trzeźniowskiego, porucznika Mieczysława Boruty-Spiechowicza, rotmistrza dr. Romana Abrahama – w przyszłości wybitnych dowódców Wojska

Polskiego – stanęli do walki o polski Lwów ochotnicy, w zdecydowanej większości uczniowie szkół i studenci. To była odpowiedź na proklamowanie we Lwowie przez Ukraińców Zachodnio-Ukraińskiej Republiki Ludowej. Walki o miasto rozgrywały się we wszystkich częściach miasta. W ciągu trzech tygodni, toczonych ze zmiennym powodzeniem bojów – do czasu przybycia odsiępczy z pułkownikiem Michałem Karaszewiczem-Tokarskim – zginęło 210 żołnierzy Polaków (niektóre źródła podają liczbę 439 zabitych). Wśród poległych i rannych było dużo dzieci, do legendy przeszły postacie bohaterów, wśród nich m. in. najmłodszego – obrońcy z Góry Straceń – trzynastoletniego Antosia Petrykiewicza, a także Jerzego Bitschana, Tadeusza Jabłońskiego, Heleny, Jana, Tadeusza Grabskich. Można zobaczyć ich zdjęcia. Pamięć o nich przetrwała w wzniesionym przez społeczeństwo Lwowa i naród Polski monumentalnym Cmentarzu Orłąt Lwowskich. Zaprojektował go w 1921 roku student Wydziału Architektury Politechniki Lwowskiej Rudolf Indruch, przedwcześnie zmarły w wieku zaledwie 35 lat. Makieta przedstawiająca przedwojenny Cmentarz Orłąt Lwowskich – przed sowiecką świętokradczą dewastacją – zamyka tę część wystawy, jest to dzieło inż. Tadeusza Puchalskiego, budzi ona wielkie zainteresowanie.

O mieszkańcach Lwowa w przedwojennej Polsce mówiono: „u was nawet kilogram jest cięższy, a metr dłuższy”. I sekunda chociaż na całym świecie ponoć taka sama, to jednak we Lwowie była także „inna”, czas płynął jakby wolniej, inaczej był odmierzany, tu ludzie zawsze mieli dla siebie czas, spotkawszy się potrafili godzinami rozmawiać, często przepięknym „bałakiem”, ale nigdy nie spóźniali się na umówione spotkania. Na dowód tego można na wystawie obejrzeć pochodzący z miejskiego Ratusza dziewiętnastowieczny zegar, wykonał go i otoczył secesyjnym obramowaniem mistrz Józef Weiss. Zegar pokazywał godziny i daty, co w tamtym czasie było rzadkością. Zatrzymał się na trzynastej minucie nieznanej godziny – wskazówka godziny wska-

zująca zaginęła – szesnastego dnia któregoś z miesięcy, zapewne 1940 roku, bo wtedy trafił do lwowskiego Muzeum Historycznego.

Zachwyty budzi panorama przedstawiająca Lwów w XVIII wieku, zajmuje ona całą ścianę jednej z sal, bo też i jej rozmiary są imponujące (530 cm x 835 cm). Namalowali ją na poznańską Powszechną Wystawę Krajową Zygmunt Rozwadowski i Stanisław Jankowski, Lwów był wtedy otoczony jeszcze murami obronnymi, zburzonymi pod koniec XVIII wieku przez Austriaków.

W klimat Lwowa wprowadzają nas obrazy pochodzące z różnych okresów, są na nich budowle, pejzaże miejskie, sceny rodzajowe. Najstarszym jest obraz Abrahama Hogenberga „Widok Lwowa od strony zachodniej”, powstał w roku 1618. Osiemnasto- i dziewiętnastowieczne miasto można obejrzeć na obrazach m.in. Bogusława Stęczyńskiego, Franciszka Perneuera, Janusza Wesołowskiego, Ignacego Gołębiowskiego. Wszyscy zatrzymują się przy obrazie Stanisława Rejchana: „Lwowska arystokracja na spacerze”, piękne panie, eleganccy panowie, oficerowie w paradnych mundurach, a w tle tak dobrze w pamięci lwowian zachowane sylwetki sercu drogich miejsc.

Wiosną 1848 roku przypomina obraz Ludwika Jabłonowskiego „Lwów płonie”. 25 kwietnia 1848 roku cesarz austriacki zatwierdził nową konstytucję zapewniającą większą swobodę krajom wchodzącym w skład cesarstwa austro-węgierskiego, ale szybko się z tego wycofał, wywołało to oczywiście niezadowolenie mieszkańców Galicji. Nasiliły się przy tym konflikty o charakterze narodowościowym, które w samym Lwowie rozgorzały na linii Polacy-Ukraińcy. Już 2 listopada 1848 roku wojska austriackie rozpoczęły oblężenie Lwowa, i w listopadową noc zapłonęły: lwowski uniwersytet z bogatą biblioteką, budynek ratusza, Akademia Techniczna i wiele innych budowli. Lwów poddał się. Rozpoczęły się represje stanu wojennego, ale także odbudowywanie zniszczeń, w jakiś czas później miasto odzyskało dawny blask.

Dumą Lwowa Uniwersytet im. Jana Kazimierza, którego tradycje sięgają XVI wieku przedstawia drzeworyt Marharyty Starowojt z 1958 roku zatytułowany „Uniwersytet im. Iwana Franki”, taką bowiem nazwę lwowska Alma Mater otrzymała po przejściu pod władztwo sowieckie. Mieszkańcy Opola i Śląska Opolskiego doskonale jednak wiedzą i pamiętają o tym, że to absolwenci tej znakomitej uczelni w 1945 roku przystąpili do budowania systemu polskiej oświaty, do zakładania polskich

szkół właśnie na Opolszczyźnie. Pierwszy rektor Uniwersytetu Opolskiego prof. dr hab. Franciszek Marek na sesji naukowej w 1995 roku powiedział: „...Od prawie dwustu już lat Zachód góruje pod względem ekonomicznym nad Wschodem, ale awans kulturowy dla Górnego Śląska i jego ludu przyszedł nie z bogatego Zachodu, lecz z biednego Wschodu. To nie zamożni Niemcy przynieśli ludowi górnośląskiemu światło nauki i wiedzy, lecz biedni Polacy, ograbieni i wypędzeni przez Rosjan. To zdziśiatkowani przez hitlerowskiego najeźdźcę i okupanta profesorowie lwowscy nie tylko przejęli Uniwersytet i Politechnikę we Wrocławiu, ale założyli Śląską Akademię Medyczną w Rokitnicy, Śląską Politechnikę w Gliwicach i Akademię Sztuk Pięknych w Katowicach. Dziełem kresowych teologów były w dużej mierze wyższe seminaria duchowne w Opolu i w Nysie. Profesorowie wrocławscy, przeważnie lwowskiego pochodzenia, założyli także Wyższą Szkołę Pedagogiczną, która w 1954 roku została przeniesiona z Wrocławia do Opola, a po czterdziestu latach awansowała do rangi Uniwersytetu Opolskiego...”.

Wielkie emocje przywołuje również srebrny wieniec laurowy wykonany z okazji odsłonięcia we Lwowie – w dniu 30 października 1904 roku – pomnika Adama Mickiewicza. To był dar społeczności miasta Złoczowa, a tak wiele złoczowian mieszka na terenie naszego opolskiego województwa.

Każdy z obrazów, każda pamiątka wzruszają, przywołują w pamięci zapomniane obrazy z lat dzieciństwa, młodości, przywracają świętą aurę ziemi ojczystej. Lwowiaczy i ich miasto! O mieszkańcach Lwowa tak napisał Jerzy Janicki: „...Zwrócił mi uwagę profesor Nicieja, że w aktualnym wydaniu »Kto jest kim w Polsce« co trzecie nazwisko jest rodem ze Lwowa. Kiedym to powtórzył Hanuszkiewiczowi, odparł, że jeszcze w encyklopedii Olgeblanda występowała dokładnie taka sama proporcja...”.

Można z całą odpowiedzialnością napisać, że nastrój i uczucia tych, którzy wystawę „Piękny Lwów” w Muzeum Śląska Opolskiego w Opolu odwiedzili najpiękniej oddaje fragment „Lwowskich Madonn” pióra niezrównanego barda urody Lwowa Witolda Szolginiego:

*„... Przybądź Madonno Łyczakowska
(Choć rodem jesteś z Ostrej Bramy -
Nie tylkoś z Wilna, takżeś lwowska...),
I usłysz Pani, jak wołamy:
Matko bezdomnych Twych lwowiaków -
Powróć nas znowu na Łyczaków...”*

Aleksander Smoliński

Bez „ognia i miecza”

Migawki z sentymentalnych podróży po niepodległej Ukrainie w poszukiwaniu śladów byłej Rzeczypospolitej Obojga Narodów

Część 5 (I)

Zbaraż

Jadąc z Krzemieńca na południe z lekkim odchyleniem na wschód dotrzemy do znajdującego się na Tarnopolszczyźnie i rozstawionego przez powstanie

Chmielnickiego oraz przez powieść Henryka Sienkiewicza „Ogniem i mieczem” niewielkiego Zbaraża. Jest to miasto odległe zaledwie 29 km od Tarnopola i pięknie położone nad rzeką Gniezną, na zboczu jaru, w którym ona płynie. W okresie odzyskiwania niepodległości

przez Polskę, a mianowicie w 1919 r. zamieszkiwało je 4100 Polaków, 2600 „Rusinów”, czyli Ukraińców oraz 3300 Żydów. Było więc to miasto, jak to zwykle dawniej na kresach bywało, wielokulturowe oraz wieloreligijne.

Zbaraż posiada bardzo bogatą przeszłość, a leżąc na niegdyś szlaku „Czarnym Szlaku” najazdów Tatarów na ziemie „ruskie i ukraińskie” Rzeczypospolitej Obojga Narodów był częstym obiektem ich ataków. W XVII w. dołączyli do nich Kozacy. Stąd też od wieków miasto i jego umocnienia oraz wybudowany tam zamek odgrywały ważną rolę obronną, dając schronienie zarówno swym własnym mieszkańcom, jak i okolicznej ludności. Pierwszy gród ruski na tym terenie wzmiankowany już w 1211 r., jako stolica księstwa zależnego od Halicza znajdował się w miejscu zwanym obecnie Starym Zbarażem, czyli na przeciwnym w stosunku do dzisiejszego miasta brzegu rzeki Gniezny, a mianowicie w pobliżu Załuża. Tam też w 1393 r. powstał pierwszy zamek. W granicach Korony Polskiej Zbaraż znalazł się w XV w., a od 1434 był siedzibą możnego rodu kniaziów Zbaraskich, który wywodził się z linii ruskich Korybutowiczów i szybko awansował do rangi jednej z pierwszych rodzin na Wołyniu.

Rozwojowi kontaktów handlowych miasta z obszarami leżącymi nad Morzem Czarnym oraz ze Wschodem sprzyjało położenie na wspomnianym powyżej „Czarnym Szlaku”. Po zniszczeniu miasta w 1589 r. założono Nowy Zbaraż, do którego przeniesiono także książęcą siedzibę. Następnie w 1631 r. miasto znalazło się w ręku książąt Wiśniowieckich również pochodzących od ruskich Korybutowiczów. Z historią Rzeczypospolitej Obojga Narodów w sposób szczególny miasto wiązały wydarzenia, jakie miały miejsce podczas powstania Chmielnickiego. Otóż w 1648 r. zamek został zajęty przez Kozaków bez walki, o czym zwiedzających informuje zamieszczona tam, najprawdopodobniej jeszcze w czasach sowieckich, stosowna tablica pamiątkowa. Natomiast w rok później, a mianowicie w dniach od 10 lipca do 22 sierpnia 1649 r. Zbaraż był obleżony przez wojska kozackie oraz ich sprzymierzeńców, a mianowicie Tatarów pod wodzą chana krymskiego Islam Gireja III. Wojska koronne zamknęły się w obozie warownym położonym w sąsiedztwie zamku. Skuteczna obrona, którą dowodził Jeremi książę Wiśniowiecki pozwoliła obleżonym doczekać zawarcia ugody zborowskiej i odstąpienia nieprzyjaciela od jego murów. Po raz kolejny miasto znalazło się w bardzo poważnym zagrożeniu w 1675 r., kiedy to stanęły pod nim wojska tureckie pod wodzą Ibrahima Szejtana. Zdobyły one i zniszczyły zamek oraz miasto. Został on jednak odbudowany przez ówczesnego hetmana polnego koronnego, a późniejszego hetmana wielkiego koronnego Dymitra Wiśniowieckiego. Po jego śmierci w 1682 r. zamek wraz z miastem przeszedł w ręce Potockich. Po raz kolejny został ogrobiany i zniszczony w 1707 r., w trakcie wojny północnej, przez wojska rosyjskie. Podobnie stało się także w 1734 r., a przyczyną zniszczeń byli znowu Rosjanie. Odnowiono go na przełomie XVIII i XIX w., ale nadal nie był zamieszkały i szybko niszczał. Spowodowało to, iż w pierwszej połowie XIX w. Potoccy sprzedali go Lubomirskim. Natomiast jego ostatnim właścicielem przed 1914 r. był Tadeusz Niementowski, który dokonał częściowego remontu. W czasie I wojny światowej wojska rosyjskie rozebrały część murów na budulec oraz wysadziły w powietrze zamkowe kazamaty. Po raz kolejny

widać więc, iż warownia ta nie miała szczęścia do Rosjan, którzy przyczynili jej najwięcej zniszczeń.

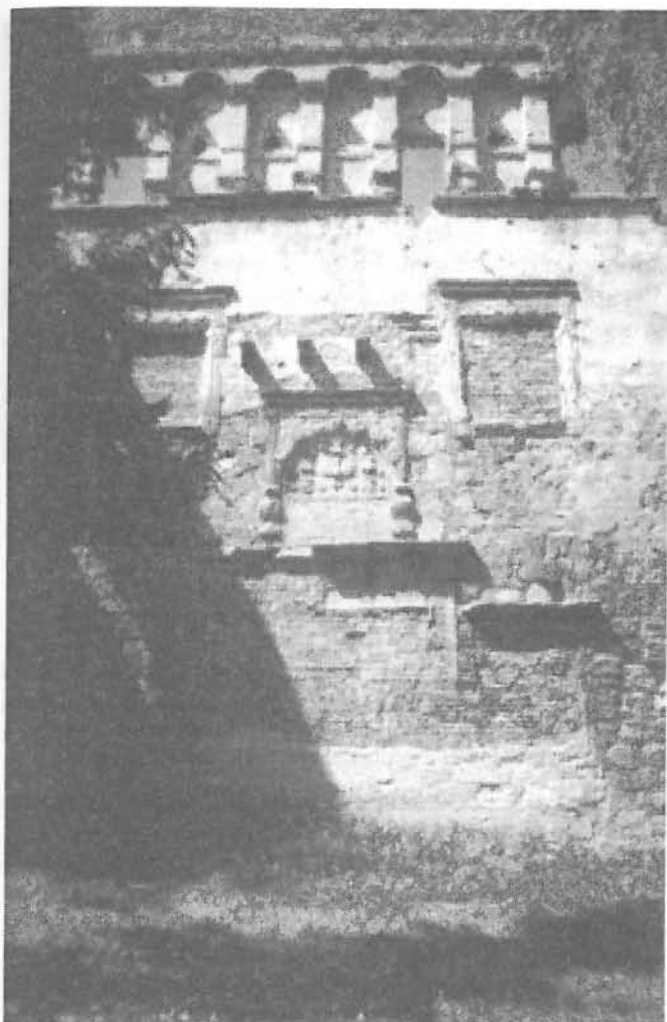
Natomiast miasto Zbaraż, oczywiście wraz z zamkiem, już w 1772 r. znalazło się pod panowaniem Austrii, w granicach której pozostawało do 1810 r., kiedy to na mocy umowy cara Aleksandra I z cesarzem Napoleonem I przekazano je Rosji. Jednak w 1815 r. na zasadzie uchwały Kongresu Wiedeńskiego wróciło znowu w granice Austrii. Nigdy już jednakże nie powróciło do dawnej świetności, mimo iż w drugiej połowie XIX w. zanotowano pewien rozwój, a w 1906 r. otrzymało ono połączenie kolejowe z Tarnopolem. Na powrót w granicach państwa polskiego Zbaraż znalazł się na mocy postanowień pokoju ryskiego z marca 1921 r., który kończył wojnę polsko-sowiecką. Nie wolno też zapominać, iż wcześniej, gdyż w 1919 r., na terenach tych toczyły się walki z wojskami ukraińskimi.

W okresie władzy Rzeczypospolitej Polskiej na tych terenach w 1935 r. ówczesny właściciel zamku zbaraskiego z pomocą Związku Oficerów Rezerwy przeprowadził renowację bramy oraz pałacu. W 1939 r. miasto zajęła Armia Czerwona. Za czasów sowieckich zamek jako pamiątka obcej narodowo i „nieodpowiedniej klasowo” historii był mocno zaniedbany. Dopiero w ostatnich latach, już w czasach niepodległej Ukrainy, przystąpiono do częściowej renowacji zamku, głównie zaś bramy oraz pałacu. W tym ostatnim obecnie mieści się muzeum regionalne, w którym znajduje się ekspozycja dotycząca archeologicznej przeszłości tych ziem oraz etnograficzna. Ponadto w pałacu wystawiane są także dość tandetne zbiory „sztuki” współczesnej oraz miernej wartości współczesne portrety kozackie itd. Tandetny, choć pozowany na „ludowy” i „kozacki” jest również wystrój klatki schodowej i wnętrz. Wszystko to powoduje, iż obiekt ten całkowicie zmienił swój historyczny kontekst i w żaden sposób nie świadczy o rzeczywistej przeszłości politycznej i etnicznej tych ziem. W taki oto sposób celowo, lub też nie, dokonuje się „zmian” w historycznej świadomości całych pokoleń.

Ze względu na swą przeszłość i konotacje historyczne zamek zbaraski dla Polaka jest niewątpliwie najważniejszym obiektem zabytkowym w mieście. Jego budowę na początku XVII w. rozpoczął Krzysztof Zbaraski, który projekt zamku zamówił u znanego weneckiego architekta Vincenzo Scamozziego. W 1612 r. plan był już gotowy, ale jego ostateczna wersja powstała najprawdopodobniej poprzez połączenie projektu Scamozziego oraz flandryjskiego architekta wojskowego i fortyfikatora Henryka van Poene. Spowodowało to, iż budo-



Zbaraż – zamek



Zbaraz – zamek Sieniawskich

wę rozpoczęto dopiero około 1620 r.¹⁾, a zasadnicze prace budowlane przeprowadził brat fundatora, a mianowicie Jerzy Zbaraski. Ukończono je w 1631 r. Powstała w ten sposób obronna rezydencja zwana z włoska *palazzo in fortezza*. Wewnątrz fortyfikacji, na które składały się niegdyś fosa, oskarpowane wały ziemne z kazamatami od strony zamkowego dziedzińca oraz cztery potężne bastiony zbudowano dwukondygnacyjny pałac. Jego fasadę zdobią boniowane pilastry w wielkim porządku. Natomiast nad wejściem znajduje się niewielki balkon. Skrzydła boczne pałacu przylegają do umocnień. Pamiętać jednak należy, iż swój obecny wygląd zawdzięcza on powojennej odbudowie. Dodać należy, iż można także zwiedzać część podziemi zamkowych, które, co jest mało prawdopodobne, ciągnęły się niegdyś ponoć aż do klasztoru bernardynów. Po przeciwnej stronie pałacu stoi dwukondygnacyjny budynek bramny także ozdobiony pilastrami. Spora jego część, podobnie jak innych elementów zamku, które widoczne są z jego dziedzińca, jest również efektem działań rekonstrukcyjnych.

Z dawnych fortyfikacji najlepiej do naszych dni zachował się bastion południowy ze skarpą olicowaną kamieniem. Obecnie wzdłuż niego biegnie droga, którą można podjechać na parking położony niedaleko zamku będący jednocześnie platformą widokową, z której rozciąga się bardzo ładny widok na miasto Zbaraz. Podobnie jak reszta fortyfikacji, jest on porośnięty roślinnością tworzącą park. Ważniejsze jest jednak to, iż przed samym bastionem, będąc oddzielnym od niego jedynie

szerokością drogi, zachował się staw wraz przepustem biegnącym pod drogą. Jest to najprawdopodobniej ten sam staw, przez który przedzierał się pod Zborów do króla Jana Kazimierza sienkiewiczowski Jan Skrzetuski podczas oblężenia Zbaraża w 1649 r. Gdy się o tym pamięta, widok ten oraz tworzące go obiekty nabierają zupełnie innego wymiaru.

Oglądając jednak zamek oraz wspomniany powyżej bastion i staw warto zdawać sobie sprawę z faktu, iż opisane tak sugestywnie przez Sienkiewicza przygody i przejścia Skrzetuskiego w rzeczywistości były jednak udziałem kogo innego, a mianowicie Krzysztofa Stapkowskiego, rotmistrza chorągwi tatarskiej Jeremiego Wiśniowieckiego, który w nocy z 11 na 12 sierpnia 1649 r. dotarł do Toporowa, gdzie wtenczas znajdował się król i jego dwór oraz idąca na odsiecz oblężonym armia. Był on bowiem jednym z dwóch wysłanników, jacy pomimo „tysiącznych przeszkód” dotarli do króla. Tym drugim był natomiast pochodzący z Wielkopolski Mikołaj Skrzetuski herbu Jastrzębiec, namiestnik chorągwi pancernej także wystawionej przez wojewodę ruskiego Jeremiego Wiśniowieckiego. Jej rotmistrzem był wówczas Marek Gdeszyński. Do króla dotarł on nieco wcześniej, gdyż już późną nocą 6 sierpnia.

Dodać tutaj również należy, iż niedaleko od tego bastionu oraz niedaleko od samego zamku na terenie wspomnianego powyżej parku stoi pomnik poświęcony Adamowi Mickiewiczowi odsłonięty w 1898 r. z okazji 100-ej rocznicy urodzin wielkiego poety. Obecnie po kilku renowacjach ma on formę obelisku wykonanego z piaskowca, na którym znajduje się podobizna wieszca. Ponadto na jego ścianach wykuto tytuły dzieł poety.



Zbaraz – obelisk pamiątkowy poświęcony Mickiewiczowi

Odwiedzając Zbaraż należy jednak pamiętać, iż zamek nie jest jedynym obiektem pamiętającym czasy Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Wspomnieć tutaj bowiem trzeba również o **Kościele pod Wezwaniem Świętych Antoniego i Jerzego i klasztorze ojców bernardynów**. Obecna bryła tej trójnawowej bazyliki pochodzi z pierwszej połowy XVIII w., a projektował ją znany architekt śląski Jan Antoni Gans, nadając jej ciekawą kształt architektoniczny. Warto też pamiętać, iż konwent zbaraski należał do największych klasztorów prowincji i przez długie lata, bo praktycznie aż do wybuchu I wojny światowej, spełniał ważną rolę jako instytucja prowadząca szkoły średnie oraz inną działalność oświatową. Po licznych pożarach i zawieruchach wojennych oraz po okresie dewastacji spowodowanej umieszczeniem w nim po 1945 r. przez władze sowieckie fabryki od 1990 r. kościół znowu objęli przybyli z Polski zakonnicy, którzy z wielkim wysiłkiem i sercem przystąpili do jego restauracji.

Chrześcijańskich obiektów sakralnych mających wartość zabytkową jest zresztą więcej. Jeden z nich, a mianowicie pochodząca z początku XVII w. **Cerkiew Przemienienia Pańskiego**, choć formalnie leży już poza granicami administracyjnymi Zbaraża, a mianowicie na wzgórzu Monastyrak, to jednak ze względu na

swój obronny charakter, również warta jest choćby wspomnienia. Uwagę zwracają bowiem piękne kopuły tej świątyni, baszta stojąca nad przedsionkiem oraz zamurowane otwory strzelnicze znajdujące się w masywnych ścianach. Jej fundatorem był Janusz Zbaraski.

Ponadto w Zbarażu znajduje się też tzw. **Wielka Synagoga**, która w końcu XVII w. otrzymała barokowy styl i mansardowy dach. Fakt jej poważnego uszkodzenia podczas II wojny światowej oraz umieszczenie w niej po 1945 r. zakładu spożywczego spowodowały, że wnętrze synagogi zostało całkowicie zmienione. Spore zmiany nastąpiły także w jej wyglądzie zewnętrznym. Jednocześnie nie zachowało się też nic z jej pierwotnego wyposażenia. Na północny zachód od synagogi leży kirkut²⁾, na którym najstarsze macewy³⁾ datowane są na 1510 r. (c.d.n.)

Przypisy:

- 1) Część autorów twierdzi, że prace budowlane rozpoczęto dopiero w 1627 r.
- 2) Cmentarz.
- 3) Nagrobki.

Źródła ilustracji:

Fotografie autorstwa Aleksandra Smolińskiego oraz Jerzego Ekerta; materiał ilustracyjny do druku przygotował Jerzy Ekert. Wszystkie fotografie pochodzą ze zbiorów autora.

Anna Walisch-Machalica, Zofia Walisch, Stanisław Walisch

Tragiczne losy naszego Ojca śp. Hugona Walischa

(w 65. rocznicę śmierci – 18 X 1940 r.)



*Dr Hugo Walisch,
sędzia Sądu Okręgowego
w Stanisławowie
(zdjęcie z 1938 r.)*

Nasz Ojciec urodził się 28 maja 1891 roku w Demni Wyżnej, parafii Skole z rodziców Emila i Anny z domu Podowskiej. Do gimnazjum uczęszczał w Stryju, gdzie w tamtym czasie mieszkał wraz z matką. Po ukończeniu w 1911 roku szkoły średniej, podjął studia na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie na Wydziale Prawa. Jego studia zakłóciła I wojna światowa, został powołany do armii austriackiej i brał udział m.in. w walkach na froncie włoskim. Po zakoń-

czeniu wojny podjął dalsze studia na Wydziale Prawa i Umiejętności Politycznych i w 1923 roku uzyskał stopień doktora praw na tymże Uniwersytecie. Po ukończeniu studiów podjął pracę w sądownictwie. 4 marca 1924 roku poślubił naszą Mamę – Marię z Szostakiewiczów; ślub odbył się w kościele pod wezwaniem św. Elżbiety we Lwowie. W okresie wolnej Rzeczypospolitej Polskiej nasz Ojciec pracując odbył aplikanturę adwokacką, jak również sędziowską i po przeniesieniu się do Stanisławowa pracował w Okręgowym Sądzie w charakterze sędziego okręgowego do czasu wybuchu wojny. W tym czasie mieszkaliśmy w Stanisławowie na tzw. „kolonii niemieckiej”, przy ul. Czarnieckiego 17.

A oto garść wspomnień starszej córki Anny:

Niezapomnianej pamięci mój Ojciec zapisał się w moich wspomnieniach nie tylko jako kochany i opiekuńczy nad rodziną, ale również bezpośrednio nad mną. Pamiętam Jego wielką pomoc w mojej nauce, w której nie zawsze byłam najlepiej oceniana, a przecież trud Jego przyczynił się do mojej znajomości historii i literatury polskiej, a także kultury łacińskiej i chrześcijańskiej, również przyczynił się do znajomości języków współczesnych oraz łaciny. Jemu zawdzięczam nie tylko dużą wiedzę, ale trwałą i mocną miłość Ojczyzny. Szczególnie umiłowanie ojczystej ziemi i gór rozbudziło we mnie zabierając mnie na niezapomniane długie i wspaniałe wycieczki w Karpaty Wschodnie, Gorgany i Czarnohorę. Nie będąc jeszcze w pełni dorosłą, nie zawsze – muszę przyznać, chętnie brałam w tych wyprawach udział, przecież zaowocowały one w całym późniejszym moim życiu umiłowaniem wędrowek i poznania świata, co szczęśliwie znalazło swoją kontynuację w moim życiu małżeńskim z mężem Zbigniewem Machalicą. Obserwując mojego Ojca zachowałam w pamięci Jego głęboką religijność, wiarę w Boga oraz szerokie kontakty z duchowieństwem Stanisławowa, zarówno rzymskokatolickim jak i ormiańskim. Jego cechą charakteru był bardzo pozytywny stosunek do ludzi, którym często udzielał pomocy, o czym dowiedzieliśmy się w wielu przypadkach po Jego aresztowaniu, ze skrzętnie ukrywanych przez Niego listów dziękczynnych, odnalezionych przez nas po ostatecznym rozstaniu. Wspominam w tym miejscu działalność społeczni-



W górnym rzędzie siedzą od lewej: Hugo Walisch, żona Maria, Matka Huga Anna, bratowa Marii Stefania Szostakiewicz; w dolnym rzędzie siedzą od lewej córki Huga i Marii Walisch: Zosieńka i Haneczka (Stanisławów w 1930 r.)

kowską mego Ojca w organizacjach politycznych, rolniczych czy spółdzielczych¹⁾. Ten wspaniały okres mego życia przerwany został tragedią narodową klęski wrześniowej, a następnie strasznym ciosem dla mnie i całej mojej rodziny, gdy w nocy 16/17 października 1939 r. obudziło nas wtargnięcie trzech funkcjonariuszy NKWD przyprowadzonych przez miejscowego konfidenta. Dokonali oni brutalnej rewizji w naszym domu aresztując mego ukochanego Ojca. W domu pozostała nasza osamotniona Matka, ja – wówczas 15-letnia, moja siostra Zofia – 12 lat i brat Stanisław – 6,5 roku.

Wspomina córka Zofia:

Po aresztowaniu Ojca nasza Mama przez pewien czas nie mogła otrzymać od władz sowieckich odpowiedzi na pytania, gdzie jest jej mąż Hugo Walisch? Odpowiadano – u nas nie ma takiego człowieka! W rzeczywistości znajdował się w więzieniu przy ul. Bilińskiego, w odległości kilkuset metrów od naszego domu. Dopiero 29 listopada 1939 r. udało się Mamie uzyskać widzenie z Ojcem, było to jedyne widzenie w więzieniu i równocześnie ostatnie spotkanie w życiu naszych Rodziców. W czasie tego widzenia Mama dowiedziała się, że nasz Ojciec został skazany na 10 lat ciężkich robót i niebawem będzie wywieziony w głąb Rosji. Pewien incydent z tamtych czasów utknął mi głęboko w pamięci. Gdy w dniu 1 grudnia 1939 roku rano około godziny 7 udawałam się do szkoły ulicą 3 Maja, która prowadziła do dworca kolejowego, widziałam ciężarowy samochód załadowany ludźmi. Tylne planckie drzwi samochodu były odsłonięte, wewnątrz byli zarośnięci mężczyźni. Po powrocie ze szkoły do domu opowiedziałam Mamie o tym zdarzeniu. Prawdopodobnie był to transport więźniów, już po wyrokach, na stację kolejową i dalej w nieznaną... Czas pokazał, że rzeczywiście był to pierwszy transport więźniów politycznych z więzienia przy ul. Bilińskiego na Sybir.

Po aresztowaniu i wywiezieniu naszego Ojca, nasza Mama wraz z trójką nieletnich dzieci znalazła się w dramatycznej sytuacji, bez środków do życia oraz przede wszystkim zagrożona aresztowaniem i wywózką w głąb ZSRR, co było powszechną praktyką sowieckiego okupanta. W tej sytuacji nasza Matka podjęła ścisłe i szybko decyzję, by uciekać wraz z dziećmi ze

Stanisławowa. Pozostawiając całe mienie na łaskę losu, wyjechała wraz z dziećmi potajemnie do Lwowa, gdzie w celu zatarcia śladów przed NKWD zmieniła swoją i dzieci tożsamość przyjmując obce nazwisko Krzecki. W koniecznej ucieczce, zmianie nazwiska oraz urządzeniu jakiegoś życia we Lwowie pomocna była nasza lwowska rodzina Matki, a także ksiądz Michał Rękas. W czasie pobytu we Lwowie nasza Matka zarabiała na życie pracując dorywczo fizycznie w bardzo ciężkich warunkach. Trudna sytuacja materialna, jak również ciągłe zagrożenie spowodowały, że w czasie okupacji niemieckiej Lwowa Matka wraz z nami przeniosła się w marcu 1942 r. – na zaproszenie swojej siostry Zofii Gyurkovich, do Sandomierza. W Sandomierzu, gdzie doczekaliśmy końca wojny, mieszkaliśmy do 1950 roku.

Już w pierwszych latach po wojnie nasza Mama czyniła usilne starania przez Polski Czerwony Krzyż uzyskania jakiegokolwiek informacji o losach Ojca. Starania te nie dały rezultatu. Dopiero na ogłoszenie w prasie, również lokalnej z terenu tzw. ziem odzyskanych, uzyskała pierwszą wiadomość. W kwietniu 1948 roku otrzymała list od kolegi Taty, pana Emiliana Paclawskiego, który również pracował w Sądzie Okręgowym w Stanisławowie i został aresztowany we wrześniu 1939 roku, a następnie z wyrokiem 10 lat ciężkich robót wywieziony na Sybir. Pan sędzia E. Paclawski jako jedyny z grupy pięciu sędziów stanisławowskich, po 6 latach i 8 miesiącach rosyjskiej katorgii, przeżył i powrócił do kraju. Po osiedleniu się w Jeleniej Górze podjął pracę w Sądzie Okręgowym. To jemu zawdzięczamy wiedzę o losach naszego Ojca od momentu wywiezienia ze Stanisławowa, gdyż los złączył ich w niedoli i gehennie życia na nieludzkiej ziemi. Pan sędzia E. Paclawski i nasz Ojciec przebywali razem w czasie transportu na wschód, a i później – już po „przydziale” do pracy. Spotkali się również w ostatnich dniach życia naszego Ojca. Tę tragiczną historię pan E. Paclawski opisał szczegółowo dając jej tytuł „Opowieść – jakich wiele”. Tę opowieść pragniemy przytoczyć w całości, dokonując jedynie niewielkich skrótów.

Opowieść – jakich wiele

Przyszło pięciu do mego domu w południe 30 września 1939 r. Po prowizorycznej rewizji za bronią, uspokojono żonę, że gdy byłem cywilistą, to za 2 godziny powrócę do domu. Prześladowało mnie wystraszone spojrzenie żony i dzieci, gdy się żegnałem. Przeczuliśmy, że żegnamy się na długo. Przez 2 miesiące siedziałem w oddaleniu jakieś 200 metrów – linii przedłużonej od swego domu i cały ten czas nie było z nimi kontaktu. 30 listopada 1939 r. przygotowano nas do etapu. Wychodzimy na korytarz i spotykamy się z Walischem i Görtzem²⁾. Są również zasądzeni po 10 lat. Lżej nam, że jesteśmy razem i że tak nas wpakują do towarowego wagonu na stacji. Wyjazd nastąpił 1 grudnia nad ranem. Jak cię krąży nad nami pytanie: dokąd? Umieszczamy się z Hugonem koło siebie na średniej pryczy i od tego czasu los nas łączy na tej drodze. Koło nas nerwowo Görtz kaprysi i ciągle narzeka. Nie przerywają się nasze rozmowy z Hugiem. Mówimy o wszystkim, co nas interesuje. O ostatnich przeżyciach, śledztwie, rozprawie, o swoich najbliższych. Hugo często wspomina o synku (zdaje się) Stasiu. Jak



Na ulicy Stanisławowa
(lata trzydzieste)

cienie snują się nam we wspomnieniach postaci żon i dzieci. Co oni porabiają, czy zostawia ich w spokoju, jak utrzymają się? Zazdroszczę Hugowi, że miał widzenie z żoną, że jeszcze kilka słów zamienili ze sobą. Dziś mnie ta zazdrość wstydzi, gdyż nie przeczuwałem wówczas, że to była ich ostatnia rozmowa. Hugo uracza mnie piernikiem i jabłkiem. Dwa miesiące tego w ustach nie miałem, a nie wiedziałem, że to tak będzie prawie 7 lat następnych. Hugo jest optymistą, wojna skończy się za kilka tygodni i nastąpi nasz powrót. Nie wierzę,

ale nie okazuję tej niewiary, by go nie peszyć. Przyjeżdżamy do Lwowa w nocy i stoimy pod wartą w zamkniętych wagonach na bocznych torach. Księdzu katechecie S. udaje się rzucić przez okno kartkę, adresowaną do swej bratanicy i kartkę tę chwyta niepostrzeżenie nasz kolejarz. Po kilku godzinach przyprowadza ten kolejarz bratanicę i ukradkiem rzucają sobie słowa pocieszenia. W wagonie radość i nadzieja, że może tą drogą rodziny dowiedzą się o kierunku naszej tułaczki. Po 2 dniach postoju pociąg rusza. Mijamy Złoczów, Tarnopol, Wołoczyska. Domyślamy się, że jedziemy na Kijów. Ktoś w nocy z sąsiedniego wagonu pod Tarnopolem zwał. Wstrzymany pociąg, strzelanina. Konwój mówi, że „wasz zabity”. Czy to prawda i kto nie wiadomo. Jazda trwa 10 dni. Dwa razy dostaliśmy po kawaleczku kielbasy i porcji chleba. Później tylko chleb. W Kijowie umieszczają nas w przechodniej „turmie”. Ogromna sala. Żelazne łóżka. Na jednym nas 5: Hugo, Görtz, Bronikowski³⁾, ja, Jurkiewicz³⁾. Mnie i Jurkiewiczowi kradną nasze kapelusze. Zażalenie bez skutku. 14 grudnia znowu jesteśmy w wagonie i 17 dobijamy do Chersonia nad Czarnym Morzem. Transportują nas do „turm” i w wielkiej celi znajdujemy się razem z Hugiem i Görtzem. Jurkiewicz osobno. Wśród nas dużo byłych policjantów z zachodu, którzy uciekając przed Niemcami zabrnęli do Stanisławowa. Mamy każdy łóżko żelazne z siennikiem i kocem. Jest centralne ogrzewanie. Dość znośnie, bo wszyscy swoi. Hugo, jak dobry narrator, na naszą prośbę, strzeszcza nam wieczorami Sienkiewicza „Quo vadis”, „Rodzinę Połanieckich”, „Bartka Zwyńczę”, Prusa „Faraona”, „Lalkę” i in. Wdzięczni mu jesteśmy, że czas nam skraca, bo wieczory długie i ponure. Hugo często odmawia modlitwy. Jeszcze dziś widzę tę postać ze spiczastą bródką, ze złożonymi rękoma. Usta poruszają się, pogłębia się w modlitwie. Jednego razu pokazuje mi cień krzyża na ścianie okiennej. To odbicie części krat, rzeczywiście jakby krzyż. Zapatrzone w ten punkt, jest nieobecny myślami. Łóżka nasze w sąsiedztwie, godzina snu, ale szeptem długo jeszcze rozmawiamy, wspominamy rodziny. I znowu uparte pytanie: co z nimi? Hugo opowiada epizody

z życia rodzinnego, coś o żonie, córeczkach, synku. Pamiętam jak raz we śnie wymienił imię, zdaje się synka. Przebudził się i ja powtarzam to słowo, a on potwierdził, że miał sen, że był z rodziną. Wyczerpały się własne zapasy i pozostał tylko wikt więzienny: 700 g chleba, rano herbata z cukrem, w południe zupa i na drugie kartofle lub buraki, rzadziej kasza, a na kolację zupa. Tak bez zmiany. Prawie codziennie wyprowadzają nas z celi na podwórze dla 10 min. spaceru. Stęsknieni palacze wyszukują „smoczki”⁴⁾, by choć mieć zapach nikotyny. Hugo bardzo odczuwa brak tytoniu. Nadeszły pierwsze święta Bożego Narodzenia w zamknięciu. Łudzi się ktoś, że może coś będzie lepszego na wigilię. Tymczasem ta sama zupka. Łamiemy się skórką chlebową, ściskamy się, ze łzami składamy sobie życzenia, wspominamy rodziny i im w duchu życzymy. W kącie, z dala od judasza, przysiadło się nas kilku i ćwierógłosem nucimy kolędy. Hugo nuci z uczuciem, choć zdrowo fałszuje. Myśli nasze biegną do swoich. Czy są w domu i wspominają nas? I tak codziennie wieczorem nucimy kolędy, a na ruskie święta również, już mieszane. W lutym przeprowadzają nas do czerwonego budynku. Sala ciemna, na oknach koce. Jedyna pociecha, że jesteśmy z Hugiem razem. Görtz zachorował na grypę i poszedł do więziennego szpitala. Po powrocie oznajmia, że zmarł w szpitalu prezes Zborowski – na nerki. Ponura wieść, pierwsza ofiara. Görtz wciąż labidzi, że serce ma słabe i nie przetrzyma. Pocieszam go jak mogę. Hugo trzyma się na duchu. 30 marca 1940 r. przygotowują nas do etapu. Gdzie nas powiozą? Wywożą Görtza. Smutny, ze łzami, całuje się z nami. 31 marca wyprowadzają nas na stację chersońską i załadowują. Szczęśliwie z Hugiem jesteśmy w jednym wagonie. Jurkiewicza gdzieś przedtem wywieźli. Znowu towarowe wagony. Południową częścią Ukrainy powiożą nas do Charkowa. Stajemy niby przed komisją. Jakaś Żydówka lekarka uśmiecha się, nie bada i coś zapisuje. Ktoś podglądał „siewiornyje łagiera” (północne obozy). W korytarzu widzimy kupca Samuelego i jeszcze jednego starszego Żyda ze Stanisławowa. Ucieszeni, że zostają, chorzy na serce. Załadowują nas powtórnie i wywożą, nie wiadomo dokąd. Karmią chlebem i zupami. Przejeżdżamy Wołgę i jedziemy torem Moskwa-Taszkent. Cieszymy się, że na południe. Widzimy świeże listki na brzozech i trawę. Niestety, w dalszym ciągu orientujemy się, że jedziemy na północ przez Tomsk, a następnie na Krasnojarsk, gdzie zastajemy śnieg w lasach. Przez Irkuck i nad Bajkałem zdążamy dnia 6 maja do Władywostoku. Znowu zaczynają się szczeni, przeglądy. Zastajemy Jurkiewicza i in., których przywieziono przed 2 tygodniami. Przesuwają nas z baraku do baraku i wreszcie przydzielają nas do baraków przeznaczonych dla wysiedleńców na Kołymę, skąd, jak powiadają tamtejsi więźniowie, nikt już żywy nie wraca (motto do „Boskiej Komedii” Dantego). Pozwalają pierwszy raz pisać do domu. Zaczyna się poszukiwanie kawałka czystego papieru. Uczą nas składać papier tak, by wypadł trójkąt dla koperty. Za kawaleczek zmiętego papieru żądają tamtejsi chleba. W ogóle „pajka” chleba staje się miernikiem wartości za tytoń, cukier, papier, porcję zupy itd. 9 maja zwołanie na etap na Kołymę (na okręt). Wywołują Jurkiewicza, żegnamy się z nim z myślą, czy i kiedy się zobaczymy. Nie wywołali



*Jaremcze-Bachrowiec: H. Walisch (z lewej)
z huculską rodziną Łesiaków*

nas, aż dopiero 19 maja znaleźliśmy się wśród około siedmiotysięcznej masy ludzi wszystkich ras i narodów świata. Dużo Mongołów. Przyprowadzają nas do portu. Trzymamy się razem z Hugiem, tak jak dotychczas. Okręt stoi w oddaleniu kilku kilometrów od brzegu, w środku zatoki, obawia się mielizny. Holownik ciągnie dużą barkę, na której siedzimy. Po przybyciu do okrętu, wyciągają nas pojedynczo po linowej drabinie na pokład. Okręt towarowy, w środku prycze na dwa piętra. Mieścimy się razem na pryczach. Morze dość spokojne, unikamy morskiej choroby. Płyniemy Morzem Japońskim, poza Sachalin, dalej przez Morze Ochockie i 27 maja 1940 r. przybijamy do portu Magadan (siedziba głównych władz Kołymy). Po kąpieli w „bani” dostajemy bieliznę i ubranie watowane. Po kilku dniach wywożą nas partiami w głąb Kołymy ciężarówkami autami. Kolosalne przestrzenie. Jedziemy z Hugiem razem. Zaczynają po drodze okradać nas z własnych rzeczy współtowarzysze. Podziwiać trzeba, jak sprytnie i bezczelnie kradną. Zaczyna się dopiero zielenić, ale trawa na oczach bujnie wyrasta. Ciągną się rzadko zalesione szpilkowymi drzewami góry, a między nimi rzeki i bagniste łąki. Dotychczas żyły tam koczownicze plemiona Tunguzów (Mongołów), żywiących się mięsem reniferów i rybami. Z owoców i jarzyn nic się nie rodzi. Wiosna, lato i jesień trwają około 3 miesiące, reszta zima. Przydzielają nas do pracy na drodze. Pracujemy w grupie m.in. z redaktorem I.K.C. Anatolem Krakowieckim i inż. Lutosławskim, który wkrótce zmarł na udar serca. Praca ponad siły. Wożąc taczkami kamienie dwukrotnie przewróciłem się i potłukłem. Przydzielają mi lżejszą służbę i każą przenosić się na starą szosę. Żegnamy się z Hugiem i życzymy sobie choćby ponownego zetknięcia. Po kilku dniach pieszej drogi znalazłem się daleko na zachodzie, tracąc kontakt ze swoimi. Wszyscy obcy, dużo Mongołów. We wrześniu 1940 r. przydzielają mnie do Bielickzanu, gdzie był szpital elektrowni. Praca ponad siły, już mrozy, 24 sierpnia pierwszy śnieg. Wyschnięty, ledwie powłóczę nogami. Prawie codziennie wieczorem po pracy wstępuję do szpitala po pomoc lekarską. Marzeniem jest dostać zwolnienie od pracy. Na szosach jeżdżą samochody i wożą prowianty

dla „pripiesków” tj. przepłukiwalni złota. Kołyma jako przedłużenie Alaski na azjatyckim lądzie posiada złoża złotodajnego piasku. Stąd te poszukiwania przy pomocy uwięzionych. Mrozy czasem poniżej 60°, zapierają oddech. Jednego dnia z początkiem października szofer Rosjanin mówi mi, że rozmawiał z Walischem na góskim grzbiecie tzw. „Perewale”. Słyszałem, że to najcięższa „komandirówka”, bo tam wiatry z mrozem. Cieszę się choć, że Hugo niedaleko, ale zatrwożyło mnie, że jest tam, gdzie nawet tamtejsi nie wytrzymują.

15 października w miesiąc równo po moich imieninach włóczę nogami po pracy i wstępuję w Bielickzanie do szpitala. W ambulatorium słabe światło naftowe. Lekarz woła do mnie: jest tu wasz „zemlak”, sędzia Walisch ze Stanisławowa. Widzę zarośniętego mężczyznę, w kozuchu i pytam: Walisch? Otrzymuję zapytanie: „kak wasza familia”? Widocznie nie poznał. Bo też obaj jesteśmy chyba już nie ludźmi, a jakimiś stworzeniami. Podaję swoje nazwisko. Hugo ze słowami: mój kochany, rzuca mi się na szyję i całujemy się. Czuję ogromną gorączkę u niego. Na rękach wszystkie palce owinięte. Opowiadamy sobie w krótkości ostatnie przeżycia. Huga nie przyjmuje do szpitala, bo dla dróżników nie ma miejsca. Zabieram go do swego baraku i przy herbatce rozmawiamy do późnej godziny. Widzę, że Hugo nie zdaje sobie sprawy ze stanu swego zdrowia. Podtrzymuję jego dobry nastrój. Nazajutrz Huga zabiera jego felczer i mają oczekiwać przygodnego auta, by pojechać do sekcji drogowej oddalonej około 40 km. Na dworze ponad 30° mrozu. Ściskamy się, nie wiedząc o tym, że to nasz ostatni przyjacielski uścisk. Nie spełnił felczer danej mi obietnicy, że zawiadomi mnie, jak przywiezie Huga ponownie do szpitala w Bielickzanie, z przeznaczonym dlań prowiantem. Powlokłem się na miejsce pracy, a Hugo z felczerem pozostali na szosie w oczekiwaniu auta. Tegoż i następnego dnia nie wstępowałem do szpitala, a tylko spytałem sanitariusza, czy powrócił felczer z Hugiem. Oświadczył, że nie. Wieczorem 18 października 1940 r. wstąpiłem do ambulatorium. Zobaczył mnie lekarz i mówi: „O, wasz Walisch pierszoł użę na łono Abrahama”. Kiedyż wrócił – pytam się. Wczoraj wieczorem przywieźli go z prowiantem, położyli w stanie gorączkowym, ponad 40° i dziś rano zmarł – taka była odpowiedź. Sytuacja już poprzednio była beznadziejna, zapalenie płuc, a i widocznie serce nie wytrzymało – dodaje. Idę na przeciwległe wejście szpitala i przywołuję Wasylia Wasyliewicza, sanitariusza spod Kamieńca Podolskiego, o niepamiętnym mi już nazwisku w polskim brzmieniu i ten oświadcza mi, że do północy z Hugiem rozmawiał o Galicji, którą znał z czasów pierwszej wojny, a i sam przechodził często do krewnych koło Husiatyna. Hugo – mówił – przytomnie opowiadał, nawet silił się na humor, palił papierosa, ale silnie gorączkował i był bardzo osłabiony. Wyniesiono Huga do trupiarni, gdzie składano zamrożone ciała i gdy nabierało się więcej, odwożono na cmentarz szpitalny, oddalony około 1/2 km. Chodząc ścieżką do swego baraku spoglądałem zawsze w kierunku tego cmentarza, wspominając swego kochanego przyjaciela, z którym związał mnie los w najtragiczniejszych chwilach. Byłem chodzącym szkieletem, snułem się jak widmo, które wlokąc nogami było wiecznie zmęczone i głodne. A tak patrząc w stronę miejsca spoczynku

Huga, byłem przekonany, że za dzień-dwa mnie tam również odniosą. W chwilach strasznego wycieńczenia zazdrościłem Hugowi, że się już nie męczy. Dnia 22 grudnia 1940 r. zanieśli mnie do tegoż szpitala. Sądziłem, że już stamtąd nie wyjdę. Z bezmierną tęsknotą łączyłem się myślą z daleką rodziną, witając tak drugie święto Bożego Narodzenia. Przywieziono tam Anatola Krakowieckiego byłego redaktora I.K.C. „Na szerokim świecie”. Odcięli mu odmrożone 3 palce ręki. Słyszałem, że w roku 1946 był w Palestynie, żona ma być w Krakowie, u „Czytelnika”. Tenże sanitariusz Wasyl Wasyliwicz pokazał nam łóżko, na którym zmarł Hugo i jeszcze opowiadał nam wrażenia z ostatniej z nim rozmowy.

Zaczęła się z przerwami moja wędrówka po szpitalach, która jedynie, uważam, mogła uratować mi życie. Na wiosnę 1941 r. wywieziono mnie z Bielickczanu w głąb na zachód. Pracować już nie mogłem. Ważąc ongiś 94 kg spadłem do 46. Przestraszył mój widok w „bani”. Odjeżdżając z Bielickczanu skierowałem pożegnalne spojrzenie na ten cmentarz. Pożegnałem na zawsze przyjaciela. W listopadzie i grudniu 1941 r. etapem wśród mrozu przewieziono mnie do portu Magadanu, gdzie koncentrowano Polaków w związku z amnestią. Zajechałem, ale niestety do szpitala i straciłem możliwość wyjazdu ostatnim okrętem. W Magadanie zastałem Jurkiewicza. Był w dość dobrym stanie zdrowia, w humorze, bo czekał na wyswobodzenie. Rozmawialiśmy o Hugonie, opowiadałem wszystko. Przekonywałem Jurkiewicza, by zgłosił się chory i nie chodził do portu dźwigać worki z amerykańską mąką i cukrem, gdyż tam są dokuczliwe wiatry. Nie będę prosił Moskali o łaskę, a zresztą zdrów jestem – odpowiedział. Nie przestrzegł go instynkt samozachowawczy. Zmarł 21 grudnia 1941 r. w Magadanie na paraliż organów oddechowych, wykańczając się w przeciągu 5 dni. Jako inwalidę niezdolnego do pracy wywieźli mnie w jesieni 1942 r. do szpitala koło Chabarowska i tam przebywałem do jesieni 1945 r., kiedy to zwolniono mnie i zezwolono na wyjazd do Lipiecka koło Woroneża. W czerwcu 1946 r. dopiero wydano mi dokument na wyjazd do kraju.

Epilog dramatu naszej rodziny, męki i śmierci naszego Ojca, jest bardzo charakterystyczny. Po wieloletnich, od 1973 r. bezowocnych staraniach, dopiero w 1993 r. (po ponownym wniesieniu sprawy) uzyskaliśmy od władz rosyjskich urzędowe potwierdzenie, iż nasz



Jaremcze: na wycieczce z siostrzeńcem Adasiem Gyurkovichem i panią Z. Czernową

Ojciec został skazany przez sąd wojskowy 12 armii okręgu kijowskiego na podstawie artykułu „za aktywne działania przeciw klasie robotniczej”, na 10 lat ciężkich robót z wywiezieniem, utratę praw na 3 lata i konfiskatę mienia. Równocześnie poinformowano nas, że Ojciec wywieziony został do magadańskiego obwodu i że zmarł w szpitalu w Bielickczanie wskutek osłabienia organizmu, na zawał serca w dniu 18 października 1940 roku. Otrzymaliśmy również dokument⁵⁾, że nasz Ojciec na mocy ukraińskiej ustawy z 17 IV 1991 r. „O rehabilitacji politycznych ofiar represji na Ukrainie”, został 6 kwietnia 1993 r. **zrehabilitowany**⁶⁾.

W taki oto formalno-prawny sposób skwitowane zostało życie i śmierć naszego Ojca.

Przypisy:

- 1) Stronnictwo Narodowe, Towarzystwo Szkoły Ludowej, Kółka Rolnicze, Liga Morska i Kolonialna
- 2) Jan Tadeusz Görtz – przed wojną 1939 r. prokurator w Stanisławowie
- 3) Dr Emil Bronikowski, dr Tadeusz Jan Jurkiewicz – przed wojną 1939 r. sędziowie Sądu Okręgowego w Stanisławowie
- 4) „Smoczki” – resztki niedopalonych papierosów, tzw. „pety”
- 5) Informacja archiwalna (tłumaczenie) Państwowego Archiwum obw. Iwano-Frankowskiego (w załączeniu)
- 6) „Rieabilitowani istorieju Iwano-Frankiwska oblast”, t. 2. Naczelny red. Bogdan Tomieniczuk, Lilieja-NW, Iwano-Frankiwszk 2001, s. 98. □

Piotr Marek Stański

20 listopada 1898 roku we Lwowie i Stanisławowie

Moim Rodzicom

Tego samego dnia, w niedzielę 20 listopada 1898 r. odbyły się równocześnie ceremonie odsłonięcia dwóch pomników: Jana III Sobieskiego we Lwowie oraz Adama Mickiewicza w Stanisławowie.

Jak na późną jesień – zgodnie donoszono w prasie – „przy prześlicznej pogodzie. Zdawało się, że samo

niebo sprzyja i zdaje się brać udział w tej uroczystości” („Dziennik Polski”, dodatek do nr 322 z 21 listopada). O godzinie dziesiątej rano uczestnicy obchodów zgromadzili się pod ratuszem, skąd wyruszone na nabożeństwo do katedry łacińskiej. Po jego zakończeniu nastąpiło przejście na Wały Hetmańskie, miejsce głównej ceremonii, gdzie rwącego się do skoku rumaka dosiadł spizowy rycerz. Twórcą pomnika był pochodzący z or-

mianskiej rodziny lwowianin – Tadeusz Barącz – mający już na swym koncie m.in. popiersia Wagnera w Monachium i Szewczenki we Florencji, a także pomnik Sobieskiego w Kaluszu. W 1883 roku zgłosił miastu gotowość wykonania rzeźby, którą lwowska rada zamierzała uczcić pamięć króla, przeznaczając na ten cel z budżetu tysiąc złotych rocznie. Z początku myślano by rozpisać konkurs, ale szybko wycofano się z tego pomysłu. Pierwotnie monument miał być z kamienia, ostatecznie jednak zdecydowano się odlać go z brązu. Uroczystość odsłonięcia zaplanowano na 18 września 1898 r., lecz ze względu na dokonane 8 dni wcześniej zabójstwo cesarzowej Elżbiety przesunięto ją o dwa miesiące.

Po odczytaniu aktu erekcyjnego przez stojącego na czele komitetu Aleksandra Czołowskiego, na mównicę wstąpił prezydent Lwowa Godzimir Małachowski. Pod koniec XIX wieku przymierze galicyjskich ludów nie było jeszcze całkowicie zerwane, skoro w swym przemówieniu utrzymywał, iż „Jan Sobieski i Lwów w krwi swojej i naturze łączą pierwiastki polski i ruski, złączone w pełnej harmonii” („Gazeta Lwowska” nr 265 z 22 listopada, s. 5). Na marginesie warto przypomnieć, że matka króla Zofia Teofila była potomkinią książąt Daniłowiczów, a jej siostra Dorota sprawowała funkcję ksieni lwowskich benedyktynek. Gdy wystąpienie prezydenta dobiegło końca, opadła zasłona i rozpoczął się przemarsz z wieńcami, podczas którego „uczennice, mijając pomnik, obrzucały go bukiecikami” („Gazeta Lwowska”, jak wyżej).

Powszechnie ubolewano nad krótką pamięcią Wiednia, niepomnego, iż zawdzięcza Sobieskiemu ocalenie, i po 215 latach od odsieczy niezdolnego na najmniejszy gest dla uczczenia swego wybawcy: „nie wysłał deputacji, ani wieńca, ani nawet telegramu. Co go to obchodzi, że gdzieś tam na wschodzie monarchii miasto jakieś czci pamięć bohatera, który pośpieszył zagrożonej stolicy Austrii na ratunek, nie przeczuwając niestety, że to ocalenie, kiedyś w latach późniejszych, na nas mścić się będzie” („Dziennik Polski”, jak wyżej).

O godzinie trzynastej ponad trzystu gości zebrało się na przyjęciu w ratuszu, w którym z tej okazji urządzono wystawę pamiątek i dokumentów z czasów Wazów i Sobieskiego, po czym część uczestników uroczystości udała się powozami na Wysoki Zamek, gdzie od strony Zniesienia w dwóchsetlecie wyprawy wiedeńskiej umieszczono 12 września 1883 r. pamiątkowy głaz, a także do kamienicy Ponińskich w Rynku, aby obejrzeć pokoje, w których zatrzymywał się niegdyś król podczas swoich pobytów we Lwowie. Po zachodzie słońca „oświetlono pomnik elektrycznie. Król bohater na tle ciemnej nocy lśnił się złotymi barwami i wyglądał jak jakieś tajemnicze zjawisko” („Dziennik Polski”, jak wyżej). „Gazeta Narodowa” ze swej strony dopowiadała, że „światło padało na pomnik z lamp, ustawionych w przeciwnych kamienicach. Raz czerwono, raz zaś biał” (nr 324 z 22 listopada). Wieczorem prezydentostwo Małachowscy wydali prywatne przyjęcie, w ramach którego ze szczególnymi honorami podejmowali „czterech małomieszczan w prostych kożuchach”, przybyłych z rodzinnej miejscowości Sobieskiego – Oleska. Wcześniej w Teatrze Skarbowskiemu odbyły się dwa okolicznościowe przedstawienia: popołudniowe operetki Stanisława Dunieckiego „Paziowie królowej Marysieńki” oraz wieczorne, na które komitet uroczystości rozdyspono-

wał 300 miejsc na galerii dla młodzieży, po połowie szkolnej i rzemieślniczej. W programie obok „Halki” Stanisława Moniuszki znalazł się specjalnie na tę okazję napisany przez Stanisława Rossowskiego prolog, po czym „wśród niemiłkających oklasków (...) podniosła się kurtyna i oczom widzów ukazała się postać króla w otoczeniu zbrojnych hufców husarii, co wywołało ogólny entuzjazm” („Dziennik Polski”, jak wyżej).

Żywe obrazy, stanowiące apoteozę Mickiewicza, pojawiły się również tego samego dnia wieczorem w sali teatralnej Towarzystwa im. Moniuszki w Stanisławowie w związku z odsłonięciem pomnika poety. Z tej okazji gród Rewery „przybrał odświętne szaty. Główne ulice miasta, zwłaszcza te, którymi pochód ma przechodzić, udekorowano bogato zielenią i dywanami. Ze wszystkich domów powiewają chorągwie w barwach narodowych. Pogoda prześliczna. Wczoraj jeszcze prosił deszcz, dziś niebo niebieskie, dzień prawdziwie wiosenny, ciepły, słoneczny” – relacjonował „Kurier Lwowski” nr 324 z 22 listopada. Pomysł uczczenia Mickiewicza narodził się 8 lat wcześniej. W tym celu wyłoniono komitet, któremu przewodniczyli kolejno Ignacy Kamiński i Henryk Zathej, a w zbiorce funduszy wyróżniła się żona starszego zarządcy pocztowego – Gilewiczowa. Pięciometrowy pomnik wystawiono nakładem pięciu tysięcy złotych reńskich. Ponad dwumetrową statuetkę wieszczki wykuł w marmurze kararyjskim Tadeusz Błotnicki, autor podobnych monumentów w Tarnowie i Wieliczce, a także lwowskiego pomnika Franciszka Smolki i posągu Świtezianki z fontanny przy placu Halickim (dwa ostatnie dzieła uległy niestety zniszczeniu).

Wczesnym rankiem 20 listopada obudziły mieszkańców wystrzały z moździerzy oraz pobudka, odegrana o godzinie siódmej przez orkiestrę „Harmonii”. O dziesiątej, z miejsca zbiórki na placu trynitańskim, uroczysty pochód udał się na nabożeństwo do kolegiaty. Ceremonie religijne odbyły się ponadto w kościele ormiańskim, unickiej katedrze oraz synagodze Tempel. Po nich główna celebra przeniosła się na plac Mickiewicza, gdzie w samo południe nastąpiło odsłonięcie rzeźby. Z tej okazji głos zabierali: stojący na czele komitetu Paweł Bryła, polonista z miejscowego gimnazjum, burmistrz Nimhin oraz reprezentant rzemiosła Stanclik. Dwie godziny później zorganizowano w Kasynie bankiet na cześć twórcy pomnika, z udziałem byłego oraz aktualnego marszałka powiatowego – ojca i syna – Stanisława i Mieczysława Brykczyńskich. Również w Stanisławowie panowała jeszcze polsko-ruska zgoda, której poświęcił swój toast Sabat. W Sokole z kolei inżynier kolejowy Paweł Stwiertnia wygłosił przemówienie na temat uhonorowanego pomnikiem wieszczki. Zakończenie obchodów stanowiła wspomniana akademicka w teatrze, na którą złożyły się występy muzyczno-recytatorskie oraz odegranie fragmentu mickiewiczowskich „Dziadów” – „U Senatora” (całości wówczas jeszcze nie wystawiano, uczyni to dopiero za trzy lata w Krakowie Stanisław Wyspiański).

O ile stanisławowski Mickiewicz ostał się na swoim miejscu, to lwowski Sobieski z górą pół wieku później zmuszony został do emigracji do Gdańska, gdzie stanął na Targu Drzewnym. Powstał po nim na Wałach Hetmańskich próżnię zapełnił dopiero po upływie kilku dziesięcioleci Taras Szewczenko, usytuowany tam już w czasach ukraińskiej niepodległości. □

Remigiusz Węgrzynowicz

Kresowiacy na świecie

Utrzymujemy więzi z kresowiakami, których los rozproszył po świecie, ale tęsknota i wierność do ziemi ojczystej pozostała. Oni są naszymi ambasadorami. Wzbogacają nasz kresowy kapitał społeczny.

Pan mgr Jerzy Petryński w „Słowie o Autorze” („SF” nr 5 (88) 2005) nawiązując do wiersza „Nasza Kresowa Granada” Zbigniewa Kabaty, przedstawił w skrócie Jego bogaty życiorys: harcerski, wojenny oraz osiągnięcia naukowe o zasięgu światowym.

Dla uzupełnienia pozwalam sobie wspomnieć, że dr Kabata 16 kwietnia 1993 r. otrzymał godność „Doctora Honoris Causa” Akademii Rolniczej w Szczecinie. Miałem zaszczyt i przyjemność przewodniczyć w uroczystej promocji naszego znakomitego Kresowianina, którego promotorem był absolwent lwowskiej Akademii Medycyny Weterynaryjnej – prof. dr Eugeniusz Grabda. Wśród przyjaciół lwowskich dr. Kabaty w uroczystości uczestniczył prof. dr Zbigniew Jara z Uniwersytetu Wrocławskiego (były asystent jednego z wybitnych lwowskich uczonych prof. Wacława Moraczewskiego).

Mocno spletały się losy kresowianów na świecie. Pielęgnowujemy je... Jesteśmy nośnikami historii kresowej! Do rubryki „kresowiacy na świecie” załączam również kilka wierszy (do wyboru) autorstwa dr. med. wet. Jana Dobruckiego urodzonego w Czortkowie, którego losy zanosły do Kanady. Jest siostrzeńcem dyrektora XI gimnazjum we Lwowie – prof. dr. hr. Przeździeckiego. Wspaniałego pedagoga i patriotę, który po wojnie był prof. germanistyki na Uniwersytecie Wrocławskim.

Dr Dobrucki jest czynnym społecznie kresowianinem w Kanadzie. Jego twórczość literacka (m.in. „Nad Sere-tem”, wiersze) o tematyce kresowej posiada szczególny wyraz w kraju znacznej aktywności diaspory ukraińskiej... Wiersze doktora Dobruckiego urozmaicają nam czasem tradycyjne spotkania lwowskie w Szczecinie „przy świecach”.



Jan Dobrucki

Jan Dobrucki

Kominek

*Z kamienia czy z cegły
Powiedzieć dziś komu
Był ważną częścią
Polskiego domu,*

*W nim wszelkie kulinarne
Wypiekano cuda
Dziczyzny połówki
Czy baranie uda*

*Wędzono szynki
Przeróżne wędliny
Wspaniałe boczek
I polcie słoniny*

*On całą izbę
Swym ciepłem ogrzewał
Zapachem żywicy
Powietrze olśniewał*

*A gdy zima śniegiem
Dom otulała
Wokół kominka
Rodzina się zbierała*

*Czytano baśnie
Historię powstania
Wspominano bohaterów
I Sybiru zesłania*

*Co składali swe życie
Na ołtarzu Ojczyzny
Lub szczęśliwie przeżyli
Zachowując blizny*

*Przekazując młodym
Narodowe hasła
By miłość Ojczyzny
Nigdy nie wygasła*

*By w ich sercach zawsze
Jak dębina płonęła
Że Półki mu żyjemy
ONA nie zginęła...*

*A gdy się dębiny
Resztki dopalały
Usta dziękczynną
Modlitwę szeptały...*

*Dziś polskie kominki
Po świecie rozsiane
Płoną polskim ogniem
Zawsze te same...*

*Przy kominku w Kanadzie
Takie rymki złożone
Przypominają chwile
Już dawno minione...*

Grudzień 2000 r.

Józef Onoszko

Ułani Jazłowieccy

1 września 2005 r. w kościele parafialnym pod wezwaniem Świętego Andrzeja Apostoła w Nekli k. Wrześni odbyło się uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej, poświęconej żołnierzom-ułanom 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich.



Nekla 1.09.2005 r. Tablica 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich odsłonięta i poświęcona. Wartę pełnią żołnierze ze Stargardu Szczecińskiego

Na tablicy wyryto napis:

„Na wieczną chwałę żołnierzom 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich Podolskiej Brygady Kawalerii ze Lwowa, którzy w dniu 1 września 1939 roku w Nekli rozpoczęli bohaterską obronę ojczyzny stając w pierwszych dniach wojny w obronie ziemi wielkopolskiej”.

Urząd Miasta i Gminy
oraz społeczeństwo
miasta Nekla

Uroczystego odsłonięcia tablicy dokonał Burmistrz Miasta i Gminy Nekla pan Marian Balicki w towarzystwie pani poseł Krystyny Łybackiej, pana posła Bronisława Dankowskiego, pana generała Zdzisława Głuszczyka, prezesa rodzin 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich pana Jana Gromnickiego, dowódcy 1 Batalionu Kawalerii Pancernej im. 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich ze Stargardu Szczecińskiego pana ppłk. Krzysztofa Stachowiaka oraz członków Zarządu Głównego Związku Oficerów Rezerwy RP im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Poznaniu panów ppłk. Stanisława Tomaszewicza, ppłk. Mieczysława Chęcińskiego i kpt. Józefa Onoszko.

Poświęcenia tablicy dokonał kapelan Wojska Polskiego ks. por. Krzysztof Kacorzyk z parafii garnizonowej w Poznaniu, który wspólnie z ks. kanonikiem Ryszardem Golińskim i ks. Sławomirem Stronką odprawił Mszę św. w intencji żołnierzy 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich oraz młodzieży i dzieci z okazji rozpoczęcia nowego roku szkolnego.

W uroczystości brała udział kompania honorowa Wojska Polskiego ze Stargardu Szczecińskiego oraz poczty sztandarowe ww. kompanii honorowej, Zarządu Głównego ZOR RP im. Marszałka J. Piłsudskiego z Poznania, Polskiego Stronnictwa Ludowego z Nekli, Związku Harcerstwa Polskiego z Nekli, Ochotniczej Straży Pożarnej z Nekli, Koła Pszczelarzy z Nekli.

Licznie przybyli mieszkańcy Nekla, młodzież szkolna, przedstawiciele władz gminnych i samorządowych, córki i synowie ułanów jazłowieckich.

Z propozycją upamiętnienia przyjazdu 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich transportem kolejowym ze Lwowa do Nekli w dniu 1 września 1939 r. wystąpił do władz miasta i gminy w Nekli – Zarząd Główny Związku Oficerów Rezerwy RP im. Marszałka Józefa Piłsudskiego w Poznaniu w porozumieniu ze Stowarzyszeniem „Rodzina 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich” z siedzibą w Warszawie i dowództwem 1 Batalionu im. 14 Pułku Ułanów Jazłowieckich w Stargardzie Szczecińskim.

Po uroczystościach w kościele uczestnicy i goście przeszli do Nekielskiego Ośrodka Kultury, gdzie zostało wykonane wspólne zbiorowe zdjęcie.

A następnie gospodarz uroczystości burmistrz miasta i gminy pan Marian Balicki zaprosił wszystkich obecnych na skromny posiłek w salach NOK.

W trakcie posiłku wspomnieniami z lat wojny podzielili się: pan por. dr Józef Ladrowski, pan Jan Gromnicki, pan kpt. Marian Osada, pan mjr Zygfryd Kordus.

Na zakończenie obiadu przy kawie i ciastkach uczestnicy tego spotkania odśpiewali szereg piosenek wojskowych z pierwszej i drugiej wojny światowej.

kapitan rezerwy mgr Józef Onoszko
sekretarz Komisji Historycznej ZG ZOR RP
im. J. Piłsudskiego w Poznaniu

Zbigniew Berling

Sentymentalna podróż do korzeni

W maju 2005 roku odbyłem z całą rodziną podróż na Kresy, na Pokucie, do moich stron ojczystych, do miejsca mojego urodzenia. Tę wyprawę planowałem od daw-

na, ale do jej realizacji musiałem przekonać i namówić także pozostałych członków rodziny, zwłaszcza moje dzieci i wnuki.

Na Ukrainę jeździłem już wiele razy, moja żona Danuta, pochodząca z Podola, też uczestniczyła w kilku wycieczkach na Kresy, ale dzieci jeszcze ani razu.

Kiedyś przy okazji odpowiedniego nastroju i korzystając z obecności wszystkich członków rodziny przy świątecznym stole, kontynuowałem kresowe opowieści. I wtedy niespodziewanie zapadła decyzja. Córka Beata mówi: „Tato – jedziemy na Wschód, chcemy zobaczyć tamte strony, chcemy poznać nasze korzenie”. No nareszcie – po tylu latach namawiania – jest obietnica wyjazdu. Trzeba kuć żelazo póki gorące – szybko ustaliliśmy termin: jedziemy w maju 2005 r. – podczas długiego weekendu.

Przystąpiłem do przygotowań, wyznaczenia trasy i ustalenia programu wycieczki. Chciałem, żeby przy okazji pobytu w Kołomyi, pokazać dzieciom i wnukom jak najwięcej. Postanowiliśmy jechać samochodami, w trzech autach wszyscy się zmieścimy – 3 rodziny – 10 osób oraz bagaże.

Siadłem do mapy i wkrótce miałem już całą trasę w zarysie. Granicę przekroczymy w Medyce, potem drogą przez Mościska, Sądową Wisznę, Gródek Jagielloński, obwodnicą lwowską, Przemyślany, Rohatyn, Halicz, Stanisławów do Kołomyi. Stamtąd pojedziemy do Trójcy i Debesławiec oraz w góry. W drodze powrotnej odwiedzimy Kamieniec Podolski i Lwów. Telefonicznie zarezerwałem noclegi w kilku punktach trasy, żeby mieć pewność wygodnego zakwaterowania. Główną bazą miała być Kołomyja, tam zaplanowałem spędzenie najwięcej czasu – 5 dni.

Przygotowałem również kosztorys wycieczki, żeby każda rodzina miała orientację w skali przewidywanych wydatków, w przeliczeniu na złotówki, hrywny i dolary. Nasze noclegi na Ukrainie miały być płatne w dolarach (10 dolarów od osoby za nocleg z wyżywieniem: śniadanie + obiadokolacja). Program wycieczki i jej kosztorys powieliłem na ksero i wręczyłem głowom rodzin (zięciom), żeby przestudiowali, porównali z mapami i nauczyli się trasy. Wiem że czytali długo, analizowali i zapoznawali się z różnymi szczegółami. Uwidoczniło się to potem na trasie.

Przed wyjazdem zakupiliśmy wspólnie trochę artykułów żywnościowych oraz środków chemii gospodarczej, żeby można było wręczyć to w formie prezentów w miejscu zakwaterowania.

Nadszedł wreszcie dzień wyjazdu i w piątek rano – 20 maja – ruszyliśmy z żoną i najmłodszym wnukiem Bartkiem do Przemyśla. Tam mieliśmy pierwszy nocleg i tam wyznaczaliśmy sobie spotkanie. Pozostali, jako że tego dnia jeszcze pracowali – wyruszyli po południu. Następnego dnia wcześniej rano – już w komplecie, trzema samochodami ruszyliśmy do granicy w Medyce. Ludzi nie było jeszcze wiele, ale trzy kolumny aut posuwały się bardzo wolno. Po około 3 godzinach byliśmy po drugiej stronie. Na granicy wymieniliśmy część pieniędzy na hrywny, żeby mieć na benzynę i jedzenie. Na obwodnicy lwowskiej zatrzymaliśmy się przy stacji benzynowej w dość przyzwoitym barze, gdzie zjedliśmy posiłek. Było czysto, schludnie, dobra obsługa i toaleta z wodą. Jak wiele się tutaj już zmieniło w ciągu ostatnich lat. Jedziemy dalej – przez Przemyślany, Rohatyn do Halicza. Tutaj zatrzymujemy się na wzgórzu zamkowym, skąd oglądamy panoramę miasteczka i jego oko-

licy. Na zamku trwają prace remontowe. Następnym przystankiem jest Stanisławów. Wjechaliśmy do samego centrum miasta. Wszędzie coś budują, remontują, za kilka lat starówka będzie odnowiona. Obeszliśmy naokoło Rynek, podziwialiśmy ratusz, weszliśmy do dawnego kościoła ormiańskiego (obecnie cerkiew prawosławna). Krótki spacer w pobliżu bazaru, wśród tłumu handlujących i kupujących i jedziemy dalej. Na drogę do Kołomyi wyprowadził nas (bezinteresownie) młody Ukraińiec, bo inaczej byłibyśmy błądzili.

W Kołomyi jesteśmy około godz. 16.00, zamieszkaliśmy u sióstr Urszulanek, u których wcześniej zama- wiałem noclegi dla naszej grupy. Pokoje już na nas czekały, posiłek też. Czysto, spokojnie, łazienki z ciepłą wodą. Wykapani, odświeżeni, osławiamy się w nowym miejscu. Obserwuję moje dzieci, jak będą odbierać tę Ukrainę. Na razie jest wszystko dobrze. Samochody wprowadzamy na podwórko zamykane od ulicy żelazną bramą, więc będą bezpieczne.

Następnego dnia, w niedzielę, idziemy do kościoła. Spotykam tam wiele osób znajomych, których znam z poprzednich pobytów. Wszyscy usiłują mnie wtajemniczyć w sprawy konfliktu wśród miejscowej Polonii. Niestety – o tych przykrych sprawach wiem już z wcześniejszych korespondencji. Teraz tylko znajduję wzbo- gacone potwierdzenie wielu faktów.

Po Mszy św. idziemy zwiedzić miasto. Oglądamy odnowione domy, czyste uliczki, Rynek z ratuszem,



Fot. Maciej Rudyk

Kołomyja-Szeparowce.
Pomnik pomordowanych Żydów i Polaków

dawny kościół parafialny (teraz grekokatolicki), zwiedzamy też muzea: Muzeum Pisanki i Muzeum Huculszczyny. Po obiedzie jedziemy na cmentarz, gdzie zapalamy znicze przy kilku pomnikach i nagrobkach. Pomnik Ofiar Kosaczowa jest zaniedbany, stare kwiaty, potłuczone szkło z butelek, różne śmieci. Sprzątamy tutaj przy pomocy gałęzi, układamy nasze znicze i opowiadam dzieciom historię tego miejsca.

Po wyjściu z cmentarza jedziemy nad Prut, stajemy niedaleko mostu przy drodze na Jabłonów. Rzeka jest pełna po ostatnich opadach, robi wrażenie.

W poniedziałek jedziemy do Zabłotowa i Trójcy. Zatrzymujemy się przy kościele parafialnym pw. Świętej Trójcy w Zabłotowie, w którym byłem ochrzczony. Odwiedzamy siostry zakonne prowadzące w sąsiedztwie przedszkole i przekazuję na potrzeby kościoła 500 złotych od Oddziału Miłośników Kołomyi „Pokucie” we Wrocławiu. Siostra otwiera nam kościół i oprowadza po świątyni informując o planach remontowych. Widzimy jak wiele jest jeszcze do zrobienia. Po chwili zjawia się ksiądz proboszcz Jan Radoń, opowiada o swojej parafii, cieszy się, że odwiedzają te strony także ludzie młodzi. Zachęca nasze dzieci do przyjazdu na dłużej, gdyby przyjechała grupa młodzieży, to ofiaruje się jako przewodnik po tutejszych górach. Zainteresowało to wyraźnie Maćka, naszego zięcia, członka wrocławskiego klubu grotołazów i taterników.

Jedziemy stąd do nieodległej – tylko 3 km – miejscowości Trójca, skąd pochodzą moi Rodzice: Maria z Piotrowskich i Józef Berling. Zatrzymujemy się przy pomniku pomordowanych (23 października 1944 r.) – 74 mieszkańcach Trójcy. Wśród ofiar są też moi krewni. Zapalamy znicze i odmawiamy modlitwę za zmarłych. Opowiadam dzieciom i wnukom historię tej miejscowości i opisuję ową tragiczną noc, w której zginęło męczeńską śmiercią tylu Polaków, a ich domy spalono. Jedziemy teraz na dawne osiedle Dąbrowa (Dibrowa),



Fot. Maciej Rudyk

Trójca – 2005 r. Nieistniejące osiedle Dąbrowa, ani śladu po domach Polaków.

zasiedlone kiedyś przez Polaków, gdzie mieszkali dziadkowie Piotrowscy. Na przestrzeni ok. 1 kilometra nie ma ani jednego domu, ani studni, ani drzewa. Żadnego śladu, że tutaj kiedyś mieszkali ludzie. Stoi jedynie krzyż ze śladami uschniętych kwiatów. Przechodzący tamtędy starszy człowiek – Ukrainiec – potwierdza, że tu mieszkali Polacy, wskazuje nawet miejsce, gdzie był dom Piotrowskich. Przy słonecznej pogodzie widać

stąd w oddali góry, pasmo Czarnohory. Przejeżdżając wolno samochodami przez wieś odwiedzamy miejscowy cmentarz i cerkiew. Potem kierujemy się przez Haniów do Debesławiec. W Haniowie pokazuję miejsce, gdzie stał młyn i zabudowania śp. Andrzeja Workowskiego, po których też nie ma śladu. W Debesławcach zatrzymujemy się przy domu mojego urodzenia. Wybudował go Ojciec w 1936 roku, przy nim postawił kuźnię (był kowalem) i inne budynki gospodarcze. W mojej pamięci pozostało podwórko z kuźnią, studnią i kosznicą (mała wiata ze ścianami plecionymi z łożyny, do suszenia kukurydzy). Kuźni już nie ma, kosznicy też, ale reszta zabudowań pozostała. W budynku nie było nikogo, więc nie mogliśmy pokazać dzieciom wnętrza.

Tego dnia pojechaliśmy jeszcze do Kosowa i Kut, które zwiedziliśmy. Mając jeszcze trochę czasu zjechaliśmy na dół nad Czeremosz, gdzie dzieci mogły pobaraszkować wśród kamieni w płytkiej wodzie. Na wieczór wróciliśmy do Kołomyi, gdzie siostry czekały już z gotowym posiłkiem.

Następnego dnia, we wtorek, jedziemy w góry trasą: Delatyn, Jaremcze, Worochta, Żabie (Werchowyna), Krzyworównia, Kosów. Zaraz za Kołomyją zatrzymujemy się w Szeparowcach przy pomniku pomordowanych Żydów i Polaków. Zapalamy znicze, odmawiamy modlitwę za zmarłych, opowiadam dzieciom o pochodzeniu tego pomnika. Na trasie do Delatyna w wioskach spotykamy usypane kopce z krzyżami (wcześniej były na nich znaki tryzubów). Przy jednym z nich widzimy flagę w kolorach czarno-czerwonym. Musiałem swoim wytłumaczyć, że jest to symbol UPA, który tutaj eksponuje się publicznie.

Od Delatyna – jadąc doliną Prutu – rozpościerają się piękne widoki, śliczne górskie krajobrazy. W Jaremczu zatrzymujemy się na parkingu przy wodospadzie. Podziwiamy przełom Prutu, zwiedzamy bazar huculski, w regionalnej restauracji spożywamy posiłek. Nasze wnuki robią sobie zdjęcia w strojach huculskich, które się wypożyczają od przedsiębiorczego Hucula. Jadąc dalej malowniczą trasą wzdłuż Prutu, wjeżdżamy na przełęcz Jabłoniczką (Tatarską). Stąd podziwiamy widoki na góry, Howerla jeszcze jest w śniegu. Potem oglądamy pięknie położoną Worochtę, cerkiewkę na wzgórzu i szeroką dolinę Prutu. Wreszcie zagłębiając się w lasy, nawierzchnia drogi znacznie się pogarsza. Dojeżdżamy do Żabiego, rozległej wsi huculskiej, rozciągającej się na wiele kilometrów. Wokół fascynujące widoki na połoniny, na których nie ma zbyt wiele owiec ani bydła, jak to kiedyś bywało. Jedziemy powoli, żeby nacieszyć oczy wspaniałymi widokami górskiej panoramy. Maciek stwierdza, że chętnie by położył tutaj z kolegami i nie jest wykluczone, że jeszcze tu przyjedzie.

Zatrzymujemy się na chwilę w Krzyworówni, opowiadam dzieciom o Stanisławie Vincenzie, o pisarzu Iwanie Franko i o zespole muzycznym Romana Kumłyka, który kilka lat temu gościł we Wrocławiu. Do domu w Kołomyi docieramy wieczorem. Trzeba się spakować i rozliczyć z gospodyniami, bo następnego dnia wyjeżdżamy do Kamieńca Podolskiego, a nocleg będziemy mieli aż w Jazłowcu.

W środę raniutko wyjeżdżamy w kierunku na Śniatyn i Czerniowce, które oglądamy – niestety – tylko z okien samochodów. Zatrzymujemy się dopiero w Chocimiu,

gdzie zwiedzamy potężną warownię nad Dniestrem, która na nas robi duże wrażenie. Kolejnym przystankiem jest już Kamieniec. Zwiedzamy katedrę, odbudowującą się wolno starówkę i idziemy do twierdzy. Widok skalistego kanionu, który wyłobiliła rzeka Smotrycz, a następnie potężnych murów twierdzy wywołuje u wszystkich ogromny zachwyt. Chciałoby się tutaj pobycić dłużej, ale czas na zwiedzanie jest ograniczony, musimy jeszcze dojechać do Jazłowca, gdzie czekają noclegi i posiłki. Zjawiamy się tam wieczorem, szybko myjemy ręce i wchodzimy na stołówkę, bo obiadokolacja czeka już na stole. W klasztorze nie jesteśmy sami, po chwili wchodzi duża grupa Polaków, którzy przyjechali na motocyklach (Harlejach). Biorą oni udział w rajdzie motorowym Szlakiem Katyńskim, a tutaj mają nocleg.

Nazajutrz – w czwartek (Boże Ciało) – bierzemy udział w Mszy św. odprawianej w miejscowej kaplicy przez dwóch księży-motocyklistów (kapelanów tego rajdu). Po nabożeństwie nasze wnuki (Bartek i Krzysiek) nie mogą się oderwać od motorów, chodzą naokoło, siadają na siodelkach, robią sobie zdjęcia – jak to chłopaki. Potem zwiedzamy pałac (teraz klasztor), salę muzealną, przyległy park oraz katakumby z grobami

sióstr zakonnych. Żegnamy miłe i gościnne siostry Niepokalanki i ruszamy w drogę. Dzisiaj droga wiedzie przez Buczacze, Brzeżany do Przemyśla. Tam mamy ostatni na Ukrainie nocleg. W piątek z Przemyśla wyruszamy do Lwowa, którego zwiedzanie zaczynamy od cmentarza Łyczakowskiego i Obrońców Lwowa. Ruszamy stąd do centrum, udaje się nam znaleźć miejsce do parkowania przy pomniku Mickiewicza. Zwiedzamy katedrę Łacińską, Rynek, Katedrę Ormiańską, wreszcie cerkiew św. Jura. Dochodzimy do Wałów Hetmańskich, robimy zdjęcie na tle gmachu Opery i odbywamy spacer po bazarze.

Późnym popołudniem – solidnie zmęczeni – ruszamy na trasę ku granicy. Decydujemy się tym razem na przekraczanie granicy w Krakowcu, bo podobno krócej się tam stoi. Niestety – to był nasz błąd, staliśmy tam ponad 10 godzin. Nad ranem dotarliśmy do Przemyśla, gdzie czekały na nas łóżka i kąpiel w ciepłej wodzie. Spaliśmy tylko kilka godzin, potem krótkie zwiedzanie miasta i w południe wyruszamy do Wrocławia. Do domu dotarliśmy późnym wieczorem. Wszyscy cali, zdrowi, zmęczeni, ale zadowoleni. Podczas całej wycieczki przejechaliśmy 2650 kilometrów. □

Z pomocą powstańcom śląskim

Henryka Wolna-Van Das

Zapomniany epizod

(Przedruk z „Trybuny” nr 193 z 19 sierpnia 2005 r.)

Otwarcie zrekonstruowanego Cmentarza Orląt Lwowskich przypomniało Polakom jaką rolę w historii naszego kraju odgrywał Lwów. Przy okazji transmitowania uroczystości przez media wiele mówiono o zasługach młodych ludzi, którzy polegli w obronie Lwowa, miasta znajdującego się w tym czasie na kresach wschodnich II Rzeczypospolitej. Wspominano więc gimnazjalistów lwowskich i studentów, którzy oddali życie w obronie miasta. W powodzi wspomnień i relacji umknął natomiast znamienity epizod związany także z młodzieżą lwowską tamtych czasów. Nikt nie wspominał kadetów lwowskich, uczestników III powstania śląskiego, którzy ruszyli na pomoc powstańcom na Górnym Śląsku w rok po obronie Lwowa.

A jest to epizod jak najbardziej godny przypomnienia z różnych względów, nie tylko historycznych. Narosło bowiem wokół niego sporo nieporozumień i niewyjaśnionych faktów mających między innymi miejsce i we współczesnej rzeczywistości. W latach istnienia Trzeciej Rzeczypospolitej.

Płonąca granica

Przypomnijmy fakty stanowiące tło tego epizodu. W nocy z 2 na 3 maja 1921 roku wybuchło III powstanie śląskie. Trzecie, gdyż dwa poprzednie (1919 i 1920) zostały krwawo stłumione. Tym razem organizatorzy powstania wyciągnęli daleko idące wnioski z zaistniałych niepowodzeń. Powstanie było doskonale przysto-

wane pod względem militarnym i jego wybuch zaskoczył Niemców. Działania bojowe rozpoczęte akcją „Mosty” szybko objęły teren Górnego Śląska, a także obszary wschodniej, południowej i północnej Opolszczyzny. Powstaniem dowodzili zawodowi oficerowie zrzeszeni w POW Górnego Śląska. Po chwilowym zaskoczeniu Niemcy podjęli ofensywę i rozpoczęły się toczące ze zmiennym szczęściem krwawe walki trwające do połowy czerwca. Toczyły się owe walki głównie na obszarach Śląska Opolskiego. W powiecie kozielskim, pod Kędzierzynem, w powiecie strzeleckim i w powiecie olekskim przy granicy z Polską.

Związana międzynarodowymi traktatami Polska nie mogła rzecz jasna popierać powstania. Ten zbrojny zryw miał przecież miejsce na integralnym terenie Trzeciej Rzeszy, powstańcy nie mogli więc w żadnym wypadku liczyć na pomoc militarną Polski. Mogli za to liczyć na ochotników masowo napływających przez zieloną granicę. Z reguły tymi ochotnikami przybywającymi z Krakowa, Poznania, Warszawy i Lwowa byli żołnierze rezerwy lub oficerowie zawodowi, którzy na czas powstania mundur wojskowy zamienili na cywilne ubiory.

W dziewiątym dniu powstania na pomoc walczącym Ślązakom wyruszyła ze Lwowa 47-osobowa grupa kadetów. Byli to głównie słuchacze I Korpusu Szkoły Kadetów Lwowskich. Najstarsi z nich mieli lat 19, najmłodsi lat 16. Lwów opuścili w przebraniu i pod zmienionymi nazwiskami. Ku zachodniej granicy przedzierali się przez Przemyśl i Kraków. Drogę pokonywali pieszo,

z rzadka pociągami. W ślad za nimi biegł rozkaz wydany przez Sztab Generalny Wojska Polskiego w Warszawie skierowany do Dowództwa Głównego Komendy Wojsk Powstańczych natychmiast po opuszczeniu przez nich szkoły. – Zawrócić kadetów z drogi. Nie pozwolić im na przekroczenie granicy. Natychmiast odstawić do granicy z Polską.

Powstańcy rozumieją ten rozkaz, wszak kadeci są uczniami szkoły wojskowej. Nie wszyscy jednak dowódcy zgrupowań ten rozkaz respektują. W konsekwencji z 47-osobowej grupy ochotników, która wyruszyła ze Lwowa 9 maja, do powstańczych szeregów dociera 25. Przyjmuje ich w swoje szeregi batalion z podgrupy „Linke” dowodzony przez Karola Brandysa i pułk pszczyński, dowodzony przez kapitana Franciszka Rataja. Tenże dowódca, po 23 latach pod pseudonimem „Paweł”, już jako pułkownik, będzie dowodził powstańczym zgrupowaniem w Warszawie. Batalion Brandysa operuje w powiecie oleskim. Pułk pszczyński Rataja walczy na terenie powiatu kozielskiego.

Po latach Franciszek Rataj napisze o Kadetach Lwowskich, uczestnikach III powstania śląskiego: – Ci młodzi ludzie wnieśli do naszych oddziałów powstańczych ogromny ładunek odwagi i zapału. Przyczynili się do wzmocnienia dyscypliny, a nade wszystko stali się dla walczących powstańców symbolem pomocy i poparcia polskiego społeczeństwa w naszej walce o powrót do Polski.

Jak potwierdzają świadectwa innych powstańczych dowódców kadeci cieszyli się rzeczywiście doskonałą opinią w szeregach powstańczych. Organizowani w baon zapasowy pod dowództwem majora Brachacza podjęli służbę głównie w charakterze zwiadowców. Z 25 kadetów, którzy dotarli na Górny Śląsk, przeżyło 19. Sześciu poległo. Najmłodszy z nich miał szesnaście lat.

Najkrótsze biografie

Sześciu poległych kadetów lwowskich biografie miało krótkie. Mieszczące się w paru liniijkach. Jakże inne bowiem życiorysy mogli mieć nastolatki, niemal jeszcze dzieci? Historia potraktowała ich po macoszemu. Pamiętano o ich istnieniu zaledwie do roku 1939. Śląsk nie zdążył z postawieniem im pomnika upamiętniającego ich bohaterskie czyny. A po wojnie ich istnienie otoczyła znowu milczenie. Stali się tematem tabu. Jak Lwowskie Orle. Przez dziesiątki lat ich istnienia nie odnotował żaden słownik biograficzny ani żadne opracowanie traktujące o dziejach powstań śląskich. Dopiero w roku 1982 pojawili się w Encyklopedii Powstań Śląskich – wydanej przez Instytut Śląski w Opolu. Zaistnieli w haśle zbiorowym – Kadeci Lwowscy uczestnicy III powstania śląskiego – oraz w biogramach poległych pod Zębownicami i Lichynią. Tylko trzej mają w Encyklopedii swoje fotografie. Młodzieńcze twarze, dziecinne niemal sylwetki w przepisowym mundurze Szkoły Kadetów. A oto oni. Sześciu spośród 25, których śmierć dościsnęła na opolskiej ziemi.

Sierżant Henryk Czekaliński. Lat szesnaście. Słuchacz III klasy Korpusu Kadetów we Lwowie. Urodzony w Łęczycy w rodzinie ziemiańskiej. Wywiadowca w baonie Karola Brandysa w podgrupie „Linke”. Zginął pod Zębownicami 10 czerwca 1921 roku.

Henryk Pszczółkowski. Sierżant. Kadet I Korpusu. Lat 18. Urodzony na kresach wschodnich w rodzinie ziemiańskiej. Mieszkał w Warszawie. W III powstaniu śląskim walczył jako zwiadowca w podgrupie „Butrym” pod dowództwem Feliksa Arkensteina. Zginął pod Zębownicami 10 czerwca 1921 roku.

Zygmunt Zaszczyński. Sierżant. Lat 18, urodzony w Warszawie. Zwiadowca w baonie Karola Brandysa. Poległ w walce pod Zębownicami 10 czerwca 1921 roku.

Nieco wcześniej polegli natomiast:

Zygmunt Zakrzewski, lat 18. Zamieszkały w Warszawie. Pochodził z rodziny kupieckiej. Słuchacz III klasy Korpusu Kadetów Lwowskich. Zwiadowca w pułku pszczyńskim. Poległ 21 maja 1921 roku w walkach pod Lichynią.

Zygmunt Toczydłowski, lat 17. Urodzony w Jędrzejowie w rodzinie ziemiańskiej. Kapral. Słuchacz Szkoły Kadetów Lwowskich. Zwiadowca w pułku pszczyńskim. Poległ 21 maja pod Lichynią.

Karol Chodkiewicz, lat 16. Urodzony w Krakowie. Ostatni potomek rodu hetmana Karola Chodkiewicza. Słuchacz III klasy Korpusu Kadetów. Zginął jako zwiadowca pułku pszczyńskiego pod Lichynią 21 maja 1921 roku.

Druga Rzeczpospolita przyznała sześciu poległym w III powstaniu śląskim kadetom lwowskim najwyższe odznaczenie powstańcze – Krzyże na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi. Karol Chodkiewicz natomiast za wykazaną szczególną odwagę i męstwo otrzymał pośmiertnie Krzyż Virtuti Militari V klasy.

Historia pewnego pomnika

Blisko pół wieku Kadeci Lwowscy, uczestnicy III powstania śląskiego, byli nieobecni w historii Polski. Przemiany, które zapoczątkował rok 1980 w Polsce, a potem lata tak oczekiwanej Trzeciej Rzeczypospolitej dawały nadzieje, iż jednak ich czyn zostanie wydobyty z zapomnienia. I rzeczywiście. Coś zaczęło się dziać wokół tej sprawy. W roku 1981 grupka żyjących, wtedy jeszcze głównie poza granicami Polski, byłych Kadetów Lwowskich, wystąpiła z inicjatywą wybudowania na Śląsku pomnika poświęconego kadetom, uczestnikom walk powstańczych. Inicjatywę przejęły środowiska kombatanckie w kraju. Powstał Komitet Budowy Pomnika, uzyskano lokalizację na jego budowę, zaczęto zbierać fundusze na realizację. Stan wojenny przerwał te zabiegi. Ponownie wrócono jednak do sprawy pod koniec lat osiemdziesiątych. Pomnik miał powstać w Gogolinie. Powstał jego projekt, dzieło dwóch warszawskich artystów-plastyków, znaleziono wykonawcę i zaczęto gromadzić na placu budowy materiały, z których miał powstać pomnik: granit i piaskowiec. I wtedy niespodziewanie historia znowu wtrąciła się do sprawy kadetów lwowskich, uczestników III powstania śląskiego. Na budowę pomnika w Gogolinie nie zgodziła się Mniejszość Niemiecka mająca większość we władzach samorządowych. Powiedziano „Nein!” I decyzje uargumentowano tym, że, zdaniem władz samorządowych i społeczeństwa Gogolina, nie jest w tym mieście potrzebny kolejny pomnik. A jeżeli coś ma już powstać najlepiej jak to będzie szkoła z tablicą pamiątkową. W środowisku kombatanckim zawrzało. Emocje z obu stron się

gnęły szczytu. Padły ostre słowa o krótkiej pamięci Niemców, o niemieckiej bucie, tupecie i bezczelności, wreszcie wyciągnięto i taki argument, że Kadeci Lwowscy zostali wypędzeni przez potomków tych, z którymi walczyli w roku 1921. Druga strona też nie pozostała dłużna. Ktoś, nie wiadomo kto, wybił szyby w domu człowieka, który podjął się wykonania pomnika i wykonawca wycofał się z umowy.

Koniec lat osiemdziesiątych nie był dobrym czasem na stawianie pomników na Śląsku Opolskim. Rozgorzała właśnie pierwsza faza do dziś trwającego sporu o masową budowę pomników na opolskich wsiach poświęconych żołnierzom niemieckim, uczestnikom II wojny światowej. Każdy argument w tej walce był dobry.

W lutym 1991 roku na łamach „Polski Zbrojnej” ukazał się list jednego z inicjatorów budowy pomnika Kadetów Lwowskich na Śląsku Opolskim. – Jeżeli Polacy nie mają prawa do postawienia na polskiej ziemi pomnika swoim bohaterom, pisał autor listu, to człowiekowi opadają ręce.

Pomnik kadetów nie powstał ani w Gogolinie, ani nigdzie indziej. Stało się coś bardzo złego. Kadeci Lwowscy znowu zostali kartą przetargową historii.

Dziś na Śląsku Opolskim współistnieją pomniki żołnierzy niemieckich, pomniki Polaków ofiar stalinizmu i

ofiary ostatniej wojny. Powstał pomnik w Łambinowicach upamiętniający polskie i niemieckie ofiary wojny i czasy, które nastąpiły po wojnie, a wokół sprawy pomnika Kadetów Lwowskich, uczestników III powstania śląskiego, panuje całkowite milczenie. Nikogo nie interesuje już los tych młodych ludzi, którzy tylko przez przypadek nie spoczywają na Cmentarzu Orłąt Lwowskich. Jak więc to się dzieje? Jak to jest możliwe w czasach Trzeciej Rzeczypospolitej tak pieczołowicie nawiązującej do dziejów swojej poprzedniczki II Rzeczypospolitej? Jak to się stać mogło, że dla sześciu młodych Polaków, którzy oddali swe życie za Górny Śląsk brakło skrawka ziemi na tymże Śląsku? Brakło miejsca dla najmłodszego z nich, potomka wielkiego polskiego hetmana?

Ludzi, którzy byli inicjatorami powstania pomnika Kadetów Lwowskich w Gogolinie dziś w większości już nie ma, ale to wcale nie znaczy, że nie można wrócić do tej sprawy. Wyjaśnić ją do końca bez niedomówień i insynuacji. I rozpocząć całą sprawę od nowa. Bo, czy się to komu podoba, czy nie, prawda jest taka, że Kadeci Lwowscy walczący w III powstaniu śląskim to część historii Polski, tak samo jak Lwowskie Orłęta. Orłęta Śląskie to epizod godny upamiętnienia i we Lwowie, i na terenie Śląska. □

Iwo Werschler

Podhajczanin pod Monte Cassino

Południowo-wschodnie kresy II Rzeczypospolitej okupowane po 17 września 1939 r. przez Sowiety, a w 1941 r. przez Niemcy, przeżywały gehennę. Antypolska, eksterminacyjna polityka kolejnych okupantów zadała ich mieszkańcom niewysłowione cierpienia. Równocześnie ziemia kresowa wydała wielu bohaterów, którzy oddali wszystko co mieli najcenniejszego Ojczyźnie. O jednym z nich traktuje ten szkic.



Aleksander Wojciechowski
(1918-1944)

Aleksander Wojciechowski, w domu rodzinnym nazywany Leszkiem, urodził się 26 lutego 1918 r. w Podhajcach. Był najmłodszym spośród siedmiorga dzieci Adolfa i Karoliny. Po ukończeniu szkoły powszechnej męskiej w Podhajcach, idąc w ślady starszych braci, kontynuował naukę w gimnazjum humanistycznym. Gimnazjum znajdowało się w pobliskich Brzeżanach. Wśród wielu absolwentów tej zasłużonej

żanach, gimnazjum nadano imię Rydza, od roku marszałka Polski.

Zarówno szkoła powszechna, jak i gimnazjum dały swoim uczniom nie tylko rzetelną wiedzę, ale i patriotyczne wychowanie. Znakomicie uzupełniał je Związek Harcerstwa Polskiego, organizacja formująca ludzi prawych, ideowych, oddanych Ojczyźnie. Do ZHP wstąpił Aleksander już w Podhajcach. Przez osiem lat przynależności do harcerstwa zdobywał liczne sprawności, rozwijał tężyznę fizyczną, zaradność i inicjatywę, cechy cenne w służbie wojskowej. Od dziecka okazywał zapal do żołnierki; dwaj bracia – Jan i Michał – byli oficerami zawodowymi! Dlatego w ostatnich latach nauki w gimnazjum działał również w Przysposobieniu Wojskowym młodzieży szkolnej. Organizacja ta pozostawała pod kierownictwem Centralnego Urzędu PW i WF i korzystała z fachowych instruktorów dostarczanych przez armię. PW ogarniała wielką ilość członków, karnych, wyćwiczonych i pełnych zapału. Aleksander prowadził w gimnazjum hufiec PW i jako członek tej organizacji oraz harcerz, bywał na różnych obozach. Odbił też kursy: podinstruktorski dla obrony przeciwgazowej i Obrony Przeciwlotniczo-Gazowej (OPLG) dla służby obserwacyjnej. W 1939 r. zdał maturę i zaraz został powołany do Junackich Hufców Pracy. Skierowany na Górny Śląsk, gdzie w okolicach Wodzisławia i Mikołowa prowadzono prace fortyfikacyjne, został ogarnięty działaniami wojennymi. Wycofujący się junacy brali udział w walkach. Do Podhajec wrócił przez Lubelszczyznę, skrajnie wyczerpany. Brat, Józef Wojciechowski, wspomina, że

szkoły było kilku generałów, m.in. Edward Rydz-Śmigły. W 1937 r., gdy Aleksander kształcił się w Brze-

Leszek po powrocie spał bez przerwy dwie doby. Tymczasem 18 września do Podhajec weszły wojska sowieckie. Okupanci usuwali dotychczasowe władze i wprowadzali swoje „porządki”. 22 października, w atmosferze zastraszenia, odbyły się tzw. wybory do Zgromadzenia Narodowego Zachodniej Ukrainy. Na wiecach i w agitacyjnych publikacjach nie ukrywano, że wyłonieni w nich deputowani głosować będą za przyłączeniem odebranych Polsce ziem do ZSRR. Na scenie ukraińskiego Narodowego Domu wystawiono wyszydzającą Polskę „sztukę”, którą oglądały obowiązkowo dzieci i młodzież szkolna. 27 października Zgromadzenie Narodowe we Lwowie jednogłośnie uchwaliło prośbę do Rady Najwyższej ZSRR o włączenie Zachodniej Ukrainy w jego granice. Stało się to już 1 listopada, a 29 tegoż miesiąca wszystkim osobom znajdującym się na jej terenie narzucono obywatelstwo sowieckie.

W Podhajcach z dnia na dzień zmieniały się warunki życia. Z lad sklepowych zniknęły towary dotąd powszechnie dostępne. Szkołę zukrainizowano; obok pozostawionych na dotychczasowych stanowiskach nauczycieli, pojawili się przybysze zza Zbrucza. Aktywizowali się miejscowi komuniści i „sympatycy” ustroju sowieckiego. Byli to lokalni Żydzi i Ukraińcy. Na Polaków spadać zaczęły represje. Już od września miały miejsce aresztowania urzędników i policjantów. 9 grudnia dokonano jednoczesnej akcji uwięzienia wielu przedstawicieli podhajeckiej inteligencji, z reguły oficerów rezerwy. W brzeżańskim więzieniu znalazło się około 20 osób. Był wśród nich Mieczysław Kowalczyk, którego Aleksander spotkał później w polskim wojsku. Aresztowanych wywieziono po pewnym czasie do Kijowa i tam w większości zamordowano. W nocy z 9 na 10 lutego 1940 r. przeprowadzono na Kresach pierwszą masową akcję deportacyjną. W jej wyniku wywieziono na Sybir tysiące polskich rodzin. Były wśród nich rodziny podhajeckie oraz z okolicznych wsi. Niemal w całości deportowano mieszkańców wsi Mazury i Sobiesko.

13 kwietnia nastąpiła wywózka rodzin aresztowanych poprzednio oficerów i urzędników. W dniu tym zabrano z domu siostrę Aleksandra, Marię Zarębinę, z synkami: trzyletnim Romkiem i półtorarocznym Stasiem. Mąż Marii, inż. Tadeusz Zaręba, wzięty do niewoli sowieckiej w 1939 r., był internowany w obozie starobielskim. W tym czasie prawdopodobnie już nie żył, ale fakt ten dotarł do wiadomości rodziny dopiero w 1943 r. Sytuacja Marii była tragiczna. Aleksander podjął szybką decyzję – pojedzie z siostrą! Tak oto jako „dobrowolec” znalazł się w wagonie kolejowym. W czasie kiedy skład stał jeszcze na stacji, a krewni wywożonych rozpaczali, naczelnik transportu uspokajał ich dając przykład Aleksandra mówiąc: „ten młody człowiek jedzie ochotniczo”, co miało być dowodem, że wywożonym nic nie grozi. Wraz z Marią i Aleksandrem deportowano wówczas rodziny Czopów, Dziadykiewiczów, Domadzierskich, Beckerów, Jastrzębskich, Kowalczyków, Schneiderów, Kasprzyków, Stesłowiczów, Horbaczyńskich, Wilhardów, Friców, Finków, Melnyków i in. Po dwóch tygodniach transport dotarł do Dżuruna w Kazachstanie. Dalej przewożono zesłańców ciężarówkami do Tymiru. Maria trafiła ostatecznie do kolchozu im. Kaganowicza w tymirskim rejonie, okręgu Aktiubińskaja. Klimat był tam surowy, kontynentalny. Jak okiem sięgnąć step. Brak drzew.

Rolnictwo nędzne: głównie uprawa prosa, plony ubogie. Zupełny brak jarzyn i owoców. Deportowanych skierowano natychmiast do pracy w kolchozie. Pracowali od rana do wieczora bez wynagrodzenia, które obiecywano w naturze po zebraniu plonów. Brakowało nawet czarnego, gliniastego chleba, po który trzeba było chodzić do odległego o 35 km miasta. Leszek, aby pomóc Marii i jej dzieciom, pracował od wczesnego rana na stepie. Orał wołami ziemię, siał proso i słonecznik, kosił i gromadził siano. Okresowo mieszkał w ziemiance. Gdy kończono zbiory zauważył, że zboże natychmiast ładowano na ciężarówki i wywożono w nieznanym kierunku. Praca na stepie trwała ok. 10 tygodni. Do siostry wrócił pod koniec listopada 1940 r. Nastąpiła mroźna zima, temperatura spadała do -40°C. Zesłańcy mieli kłopoty z opałem. Wobec braku drewna palili suchy nawóz bydłocy. Gdyby nie pomoc od rodziców i rodzeństwa dostarczana w formie paczek, nie przeżyliby.

Mimo takich warunków Aleksander nie tracił nadziei. Sytuację polityczną rozpoznawał na podstawie dostępnej prasy. W listach do rodziny prosił też o wiadomości: „napiszcie dużo i całkiem otwarcie, spróbujemy czy dojdzie tu list taki” – napisał. Po klęsce Francji dopytywał się „co stało się z naszymi i z S.”; chodziło mu o armię polską i o gen. Sikorskiego.

Rok 1941 przyniósł zmiany. „Leszek to stachanowiec” – pisała Maria do rodziców. Jako „dobrowolec” posiadający wykształcenie średnie został skierowany na kurs, po którym zrobiono go „uczotczykiem” i wyznaczono do nadzorowania traktorzystów, którym miał obliczać wykonaną pracę i „trudodni”. Dzięki temu zarabiał więcej i mógł efektywniej pomagać siostrze, którą oprócz trosk o dzieci gnębił brak wieści od męża.

Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej obudził nadzieje polskich zesłańców. Nie wiadomo kiedy i jaką drogą dotarli do kolchozu Kaganowicza wiadomości o układzie Sikorski-Majski i formowaniu armii polskiej nad Wołgą. Aleksander postanowił zgłosić się do wojska. Pragnął walczyć za Ojczyznę i miał nadzieję na wydobycie siostry i siostrzeńców z sowieckiego piekła. W zachowanym brudnopisie podania czytamy: „Do Dowództwa Armii Polskiej na ręce płka Kownackiego w Buzuluku. Proszę o zaciągnięcie mnie jako ochotnika do szeregów Armii Polskiej. Jestem poborowy z cenzusem ur. 1918. Przy komisji poborowej w Podhajcach otrzymałem kat. A, jednak z powodu wybuchu wojny przydziału nie otrzymałem. Odbyłem natomiast obowiązkową służbę pracy w JHP (8 baon pracy 66 komp.). Dziś w okresie tworzenia się naszej Armii na obczyźnie mogę być potrzebnym”.

Aleksander został przyjęty i wcielony 24 lutego 1942 r. do 27 pułku piechoty w składzie 10 dywizji formowanej w miejscowości Ługowaja w południowym Kazachstanie. W 27 p.p. spotkał aresztowanego w grudniu 1939 r. w Podhajcach ppor. Mieczysława Kowalczyka, kolegę brata Józefa. Kowalczyk miał za sobą więzienie w Brzeżanach, obóz w Starobielsku i 7 miesięcy pracy w lasach uralskich. Podobnie jak Aleksander pozostawił na zesłaniu krewnych, wśród nich rodziców. W Ługowaja przebywali krótko. W marcu 1942 r. nastąpiła pierwsza ewakuacja części armii polskiej z ZSRR na Bliski Wschód. Aleksander opuścił „nieludzką ziemię” już w tej fazie. Niestety, nie udało się wydostać siostry z synami.

Nie są znane okoliczności, które się na to złożyły. Nie uratował z zesłania swoich bliskich także M. Kowalczyk. Z kołchozu, w którym pracowali, wyjechali za późno z powodu braku środków transportu. W 1943 r., w czasie wielkiego głodu, zmarli jego rodzice – Olga i Michał Kowalczykowie.

W kwietniu 1942 r. żołnierze 27 p.p. przez Krasnowodsk, morzem dotarli do Pahlewi w Persji, a dalej transportem kołowym do Palestyny, która stała się w tym czasie żywym ośrodkiem polskiego życia politycznego i kulturalnego. Aleksander znalazł się w Palestynie 23 kwietnia i początkowo zaliczony został do rezerwy Dowódcy Wojska Polskiego Środkowego Wschodu, gen. J. Zajęca. Wkrótce jednak, 6 maja 1942 r., przeniesiono go do 3 Dywizji Strzelców Karpackich. Tam otrzymał przydział do 2 kompanii strzeleckiej w 6 batalionie 2 brygady. 3 DSK powstała z okrytej sławą obrony Tobruku i walk pod Gazalą, Samodzielnej Brygady Strzelców Karpackich oraz z 9 i 10 DP tworzonych w ZSRR. Składała się z dwu brygad, każda po 3 baony piechoty oraz innych rodzajów wojsk.

Już 8 czerwca Aleksander skierowany został na 2 miesiące do szkoły podoficerskiej przy 6 baonie, którą ukończył z wynikiem bardzo dobrym. Po zaprzysiężeniu zatwierdzono mu cenzus naukowy. Podczas pobytu w Palestynie chorował. W lipcu leczył się w szpitalu 3 dni, ale 5 października został hospitalizowany na czas dłuższy, do 25 listopada. Z suchego zapisu przebiegu służby wojskowej zachowanego w Instytucie im. Gen. Sikorskiego w Londynie (sygn. A.XII.27/67) nie wynika na co chorował. Po powrocie do kompanii został Aleksander odkomenderowany do Szkoły Podchorążych Rezerwy Piechoty 3 DSK, w której uczył się od 9 grudnia 1942 r. do 7 marca 1943 r. Naukę ukończył z wynikiem pomyślnym i uzyskał tytuł podchorążego rezerwy oraz awans do stopnia st. strzelca. We wrześniu i październiku 1943 r. odbył jeszcze kurs walki górskiej przy 1 Brygadzie Strzelców Karpackich. Po tym kursie został mianowany rzeczywistym kapralem podchorążym rezerwy. Rozkazem oddziału personalnego APW z dn. 13 stycznia 1944 r. Aleksandra Wojciechowskiego zakwalifikowano do grupy podchorążych posiadających warunki do awansu na podporucznika. Zanim do tego doszło, nastąpiły ważne wydarzenia na frontach II wojny światowej. Rok 1942 był rokiem przełomu. Sukcesy państw „Osi” doszły do kresu. W Afryce Płn. wojska niemieckie dotarły do granic Egiptu, a na froncie wschodnim przekroczyły Kaukaz stwarzając zagrożenie dla sił brytyjskich na Środkowym Wschodzie. W obliczu tego zagrożenia jednostki polskie skierowano do Iraku. 3 DSK została początkowo skierowana do Syrii, a do Iraku dotarła pod koniec października. W połowie listopada przesunięto ją w rejon Mosulu z zadaniem osłaniania kierunków wybiegających od Turcji i Azerbejdżanu. Dywizja przystąpiła do budowy umocnień terenowych. W grudniu była już gotowa do odparcia uderzenia nieprzyjaciela na pola naftowe Iraku.

Zimowe miesiące były dla żołnierzy 3 DSK bardzo ciężkie. Obóz baonów 2 brygady położony był na pustej, błotnistej równinie. Namioty wkopywano głęboko, aby nie podmywała ich woda z obfitych o tej porze deszczów. Ogrzewano je piecykami wyrabianymi z baniek po benzynie. Wodę pitną dowożono beczkowozami.

Warunki materialne żołnierzy były bez porównania lepsze niż w ZSRR. Aleksander jako strzelec otrzymywał żołd w wysokości 1 £ na dekadę, a po awansie na st. strzelca – 1 £ i 12 szylingów 6 pensów płatne z dołu oraz dodatek kolonialny 4 pensy dziennie. Rozkazem Naczelnego Wodza wprowadzono dodatek dla szeregowców – 6 pensów dziennie. Wyżywienie było dostosowywane do warunków klimatycznych: w zimie obfite śniadanie i obiad, a lekka kolacja. W okresie upałów – odwrotnie. Ponadto w oddziałach istniały sklepiki, w których zaopatrywano się w rozmaite artykuły. Tymczasem sytuacja ogólna zmieniała się. Niemcy ponieśli klęskę pod El Alamein. W Maroku i Algierii wylądowały wojska alianckie i wypierały Niemców i Włochów z Afryki Płn. Także na froncie wschodnim, po kapitulacji 6 armii niemieckiej pod Stalingradem, Sowieci zaczęli zadawać ciosy hitlerowcom na froncie zakaukaskim. Zagrożenie Iraku minęło. Jednak pomyślne wydarzenia przyćmiły doniesienia o konferencji w Teheranie i nocy sowieckiej przywracającej obywatelstwo sowieckie nawet rdzennym Polakom w ZSRR. Załamała się nadzieja na wydostanie znajdujących się tam rodzin żołnierzy Armii Polskiej na Wschodzie. Wreszcie porażająca wiadomość o zbrodni katyńskiej i zerwanie przez Stalina stosunków z rządem polskim – dopełniły czary goryczy.

Na początku maja 1943 r. 3 DSK została przesunięta do rejonu Altun Köprü na lewy brzeg Tygrysu. Nowy obóz nad rzeką Mały Zab znajdował się w terenie odkrytym i spalonym słońcem. W godzinach południowych temperatura w cieniu przekraczała +50°C. Wielu żołnierzy doznało udaru słonecznego. Pustynia roiła się od gadów i groźnych owadów. Ogólnie okres lata 1943 r. był pod względem klimatycznym najcięższy dla żołnierzy polskich podczas całego ich pobytu na Środkowym Wschodzie.

1 czerwca do Iraku przybył na inspekcję NW gen. W. Sikorski. 7 czerwca był na ćwiczeniach 2 brygady, a następnie dokonał przeglądu 3 DSK. W kronice jednego z baonów zapisano: „To jest Ten co nas wywiódł z ziemi sowieckiej, z domów niewoli. Był nam jak ojciec i jak ojciec do nas przemawia”. Bolesną strunę w sercach żołnierzy poruszyła ta część przemówienia, w której Sikorski mówił o tragicznym położeniu rodzin pozostawionych w ZSRR.

Po katastrofie gibraltarskiej i śmierci gen. Sikorskiego, nowy Naczelnny Wódz – gen. K. Sosnkowski – powołał na stanowisko szefa swego sztabu dotychczasowego dowódcę 3 DSK gen. S. Kopańskiego. 6 sierpnia 1943 r. dowództwo dywizji objął gen. Bronisław Duch. W czerwcu brygady dywizji przeprowadziły ćwiczenia przeprawowe na Małym Zabie, a w lipcu – nocnego natarcia batalionu. Były to ostatnie większe ćwiczenia terenowe w Iraku.

21 lipca 1943 r. weszła w życie nowa organizacja APW. Dowództwo armii w polu przemianowano na dowództwo 2 Korpusu, w skład którego weszła 3 DSK. Dowódcą Korpusu pozostał gen. W. Anders.

W sierpniu Korpus został przerzucony do Palestyny. 2 brygada, w której służył Aleksander Wojciechowski znalazła się w Julis. W listopadzie oddziały 3 DSK zaczęły opuszczać Palestynę i zostały skoncentrowane w obozie Qassasin w Egipcie.

Tymczasem bowiem, po wyparciu Niemców i Włochów z Afryki, alianci wylądowali na Sycylii. 8 września Włochy skapitulowały. Amerykanie znaleźli się pod Salerno, a Anglicy zajęli Taranto i Bari.

Niemcy, których kapitulacja sojusznika nie zaskoczyła, rozbroili oddziały włoskie i zorganizowali silny opór na drodze aliantów do Rzymu. Gdy to się działo, na Bliski Wschód, do 2 Korpusu przybył gen. Sosnkowski. Po rozmowach z gen. Andersem i dowódcami brytyjskimi powzięto decyzję o skierowaniu Korpusu na front włoski. W owym czasie propaganda sowiecka i komuniści polscy oskarżali żołnierzy Andersa o niechęć do walki z Niemcami, a 2 Korpus nazywali wojskiem „faszystowskim i pańskim”.

Przesuwanie 2 Korpusu do Włoch rozpoczęło się w grudniu 1943 r. W Port Saidzie żołnierze wchodzili na okręty, z których formowano konwój. Każdy żołnierz oprócz broni i maski przeciwgazowej posiadał plecak, worek, manierkę, łopatkę i chlebak. 16 grudnia konwój w eskorcie niszczycieli wypłynął na zachód, a 21 tegoż miesiąca pierwsze statki znalazły się w Taranto. W monografii poświęconej Dywizji Karpackiej czytamy: „Po 4 latach wędrówki po krajach Azji i Afryki – nareszcie powrót do Europy – bliżej Polski”.

Pierwsze tygodnie pobytu na ziemi włoskiej nie były jednak łatwe. Padał deszcz i śnieg, a żołnierzy ulokowano w namiotach. Na początku lutego 1944 r., pokonując zasypane śniegiem drogi, 3 DSK zluźowała 78 DP brytyjskiej na odcinku frontu nad rzeką Sangro. W tym czasie alianci dokonali lądowania pod Anzio, na południe od Rzymu, ale nie zdołali otworzyć drogi do stolicy Włoch. W okresie walk nad Sangro prowadzono głównie działania patroli i niewielkie potyczki. W połowie lutego 3 DSK otrzymała zadanie wykonania działania demonstracyjnego, aby Niemcy ściągnęli tam swe odwody. Pod koniec marca na inspekcję przybył gen. Sosnkowski. Był to trudny czas. Żołnierze byli pod wstrząsającym wrażeniem przemówienia Churchilla z 22 lutego, w którym brutalnie stwierdził, że W. Brytania nigdy nie gwarantowała Polsce jej granicy wschodniej. Zaufanie żołnierzy do Anglii zostało zachwiane, nie tracili jednak wiary w celowość dalszej walki. Ufali, że sumienie świata obudzi się.

Całością wojsk alianckich we Włoszech dowodził marszałek Harold Alexander. Stał on na czele 15 Grupy Armii składającej się z 5 armii amerykańskiej i 8 armii brytyjskiej, którą dowodził gen. Oliver Leese. Alexander miał nadzieję, że z nadejściem wiosny otrzyma wsparcie i w ciągu kilku miesięcy potrafi dojść do Dunaju. Te nadzieje przekreśliła polityka Roosevelta, który ulegając Stalinowi zdecydował się główny wysiłek skierować na Francję.

Tymczasem zadaniem 8 armii, której dowództwu podlegał 2 Korpus Polski, było otwarcie drogi na Rzym. Na przeszkodzie znajdował się masyw górski Monte Cassino i dolina rzeki Liri, gdzie Niemcy urządzili główne linie oporu, z linią Gustawa na czele. Składała się ona z kutyh w skale i betonowych bunkrów, chronionych stalowymi płytami stanowisk cekaemów, wież stalowych z działami wmontowanych w skały, z zasieków i pól minowych. Od stycznia do marca 1944 r. stoczono trzy bitwy o Monte Cassino, które nie dały oczekiwanego przez aliantów rezultatu. W drugiej połowie marca

rozpoczęło się przesuwanie wielkich jednostek 8 armii w nowy rejon koncentracji. Do rejonu Sessano-Carpinone-Civitanova przeszła 3 DSK. Przystąpiono do ćwiczeń wyrabiających zaprawę w walkach górskich i doskonalących natarcie na silnie umocnione pozycje. W ramach tych ćwiczeń Aleksander Wojciechowski odkomenderowany został na kurs strzelców wyborowych w Carpinone. Alianci przygotowywali operację mającą otworzyć im ostatecznie drogę na Rzym. Gen. Leese zaproponował gen. Andersowi zdobycie wzgórz Monte Cassino, dając krótki czas na podjęcie decyzji. Gen. Anders uznał, że zarówno ze względów militarnych jak i politycznych 2 Korpus powinien podjąć się tego zadania. Tak doszło do czwartej bitwy o Monte Cassino, w której udział wzięli Polacy.

Natarcie 2 Korpusu, które ruszyło w nocy z 11 na 12 maja 1944 r. miało na celu zdobycie wzgórz 593 i 569, wzgórz zwanego „Widmem” i Massa Albaneta. Mimo przejściowych sukcesów osiągniętych przy ogromnych stratach, natarcie obu dywizji – 3 Karpackiej i 5 Kresowej, załamało się. Jednak gen. Leese był zdania, że Korpus wykonał zadanie pierwszej fazy, ponieważ przez związanie najlepszych sił wroga umożliwił brytyjczykom włamanie się w dolinę rzeki Liri. Druga faza nastąpiła 17 maja. W dniu tym do walki ruszył 6 baon, w którym służył Aleksander Wojciechowski. Zadaniem baonu było, po opanowaniu wzgórz 593 i 569 przez baon 4, uderzenie od wschodu w celu zdobycia i utrzymania Massa Albaneta.

Rozkaz pogotowia 6 batalion otrzymał o godz. 8.25, a pół godziny później rozkaz wymarszu. Według wcześniej ustalonego planu miało to nastąpić po opanowaniu przez 4 baon wzgórz 593. W rzeczywistości 4 baon dopiero gotował się do natarcia. Kompanie ruszyły. Najpierw grupa rozpoznawcza pod dowództwem por. M. Kowalczyka, dalej dowódca baonu mjr K. Różycki, a kolejno 2, 1 i 3 kompanie strzeleckie. Aleksander w drugiej. Po pół godzinie czoło baonu natknęło się na kompanię nosicieli amunicji i musiało zwolnić tempo ruchu. Około 10.00 mjr Różycki odprawił 2 kompanię do natarcia. Minąwszy tzw. Domek Doktora kompania zaczęła przechodzić na zachodni stok grzbietu 593. Dowódca jej, por. M. Brzozowski, wyznaczył plutonom kierunki: 1 pluton środkiem stoku na południe, 2 pluton – na prawo od niego na ruiny fermy Albaneta i 3 pluton – za pierwszym. Informacje jakie dowódca 6 baonu otrzymywał w tym czasie z brygady były optymistyczne i mówiły o opanowaniu wzgórz, z których Niemcy mogli baon ostrzeliwać. Niestety, informacje te okazały się fałszywe. O godz. 11.15 dowódca 2 kompanii zameldował, że kompania rusza do natarcia i prosił o ześrodkowanie ognia moździerzy na Albaneta. Wkrótce okazało się, że oczekiwanego wsparcia nie otrzymał. Najdalej wysforował się 1 pluton i okopawszy się w odległości ok. 100 m od ruin Albaneta zwalczał cele nieprzyjacielskie ogniem strzelców wyborowych. Ponieważ jednak pluton ten znalazł się w obrębie ugrupowania wroga, stracił łączność z kompanią. „Gdy 2 kompania uwikłana w gęstych zaroślach na zachodnim zboczu wzg. 593 podniosła się do szturm, otrzymała ogień broni maszynowej z Albaneta i z nieodkrytych jeszcze bunkrów na swych tyłach. Dowódca kompanii por. Brzozowski został trzykrotnie ranny, w jego poczcie

padło 3 rannych, w plutonach zaś 17 zabitych. Wśród rannych był też ppor. S. Kantorski, d-ca 2 plutonu. Gdy otrzymał on drugą ranę, dowództwo plutonu objął po nim kapral podchorąży Aleksander Wojciechowski. Poderwał pluton do szturmu i w tej chwili padł ugodzony śmiertelnie."

Bitwa pod Monte Cassino toczyła się nadal. Padali liczni ranni i zabici. Do wieczora 17 maja 6 baon nie zdołał zniszczyć wszystkich bunkrów przeciwnika i tak przetrwał noc na 18 maja. Dopiero około 7.30 opanował całkowicie Massa Albaneta. Tego dnia o 9.50 do ruin klasztoru benedyktynów na Monte Cassino dotarł patrol 12 pułku ułanów podolskich. W ruinach znaleziono 16, przeważnie rannych, żołnierzy niemieckich. Polacy zatknęli na gruzach flagę polską.

2 Korpus poniósł w bitwie ciężkie straty. 29 maja 1944 r. w 2 brygadzie 3 DSK odbył się apel poległych. Kronikarz jednej z kompanii zapisał: „Wiele razy widziałem i brałem udział w różnych uroczystościach wojskowych, lecz nigdy nie było takiego nastroju, tak cicho, tak jakoś dziwnie – jak dziś. Nadchodzi dowódca brygady płk dypl. Szymański, robi przegląd batalionów, po czym przemawia: zebraliśmy się tutaj, aby oddać hołd

poległym żołnierzom-kolegom w bitwie pod Monte Cassino, Albaneta, Angelo i Piedimonte, w bitwie, która dla nas nie była bitwą o te miejscowości, ale bitwą o Polskę. (...) Pada rozkaz – W batalionach kolejno apel poległych! Adiutanci odczytują długie listy zabitych, a szefowie głośno odpowiadają: Polegli na polu chwały w bitwie o Monte Cassino. Werble oddzielają jedno nazwisko od drugiego. Po apelu trzyminutowa cisza, po której kapelan z całą brygadą odmówił Anioł Pański. Uroczystość kończy Rota... Z setek piersi płynie śpiew potężny, lecz inny niż zwykle, bo z serc zboliałych, przez krtań zaciśniętą i lzy niejednego...".

Podhajczanin Aleksander Wojciechowski został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Walecznych i mianowany za czyny bojowe podporucznikiem rezerwy w Korpusie Oficerów Piechoty. W Zeszycie Ewidencyjnym pod datą 17 V 44 zapisano: „Polegli na Polu Chwały pod Monte Cassino (Włochy) w obronie Wolności i Niepodległości Rzeczypospolitej Polskiej”.

Szczańki ppor. Aleksandra Wojciechowskiego spoczywają na polskim cmentarzu wojennym na **Monte Cassino**. □

Pamiętnik pociągu pancernego „Gen. Iwaszkiewicz”. Rok 1920 (I)

I. Pierwsze walki na Ukrainie

Pociąg pancerny „gen. Iwaszkiewicz” powstał w styczniu 1920 z przemiany normalno-torowej pancerki „Gromobój” na szeroko-torową zdobytą na Ukraińcach. Obsadę tworzyła załoga „Gromobója”, żołnierz stary, który przelewał krew na wszystkich frontach w czasie wielkiej wojny światowej, a w roku 1918-1919 dobrze się dawał we znaki Ukraińcom.

Część załogi obsadziła w dzień Bożego Narodzenia 1919 r. pancerkę „Wilna Ukraina”, którą Denikin zabrał Petlurowcom, a Polacy Denikinowi.

Styczeń 1920 r. zszedł na patrolowaniu linii Podwołoczyska-Płoskirów-Derażnia i oczyszczaniu kraju z band ukraińskich, denikińskich i bolszewickich.

Z końcem stycznia cała załoga „Gromobója” przeniosła się do szeroko-torowej pancerki.

W Tarnopolu zbudowaliśmy sobie tabor. 28 I odjechał na stały pobyt do Płoskirowa.

Bolszewicy trzymali się wtedy w wielkiej odległości od naszych oddziałów, mieliśmy więc w tym czasie względny spokój. Ostrożność musiała być jednak zachowana ze względu na chłopów. Potworzyły się w tym czasie drobne republiki. Paszkowiecka wystąpiła przeciw polskim oddziałom. Dopiero po spaleniu kilku wsi chłopcy złożyli broń.

W połowie lutego rozpoczęły się utarczki z bolszewikami, którzy zaczęli napadać na nasze wysunięte oddziały. Brali w nich udział także chłopcy miejscowi, ci donosili bolszewikom o ruchach naszych wojsk. Bolszewicy używali zwykle wielkiej liczby sani, którymi przewozili błyskawicznie całe oddziały. Często w miejscach zdawało się bezpiecznych padały nagle strzały z ukry-

cia, w ten sposób mieliśmy w pierwszej połowie lutego ciężko rannego szeregowca H.

Osiemnastego lutego uderzyła V dywizja na Derażnię, braliśmy udział w atakach wraz z pociągiem pancernym „Pionier”. Przy 25-stopniowym mrozie ustawiliśmy w ciągu dwóch dni około 150 szyn.

Dwudziestego czwartego przypuścili bolszewicy gwałtowny atak na Derażnię z trzech stron, przy czym od południa przedarli się na nasze tyły, okrążając stację i miasto. „Iwaszkiewicz” wspierał nasze prawe skrzydło, odpędzając bolszewików od toru, który chcieli przerwać połączenia z Płoskirowem. Odtąd przez miesiąc trzymaliśmy placówkę stojąc z pociągiem w małym wąwozie pod Bachmatowcami za Derażnią oddaleni o 2 km od naszych placówek piechoty. Na tak wysuniętym stanowisku trzeba było zachować wielką czujność. Dzień i noc wysyłaliśmy patrole, które często staczały utarczki z patrolami nieprzyjacielskimi.

Piątego marca wzięliśmy udział w wypadzie wywiadowczym na Koryczyniec (czyli Wołoskoje). Nasze armatki spisały się tam dobrze; od ich ognia zginął pułkownik bolszewicki i komisarz cywilny, jak zeznali jeńcy wzięci pod Gałuzińcami. Wzięliśmy też udział w wypadach na Gałuzińce dziewiątego i siedemnastego marca. W tym ostatnim wypadzie wysunęliśmy się znacznie przed nasze oddziały i zatrzymaliśmy się koło wsi Nowa Huta niewidoczni z powodu mroku (4 rano) i mgły. Z boku na równej wysokości stała bateria bolszewicka, która nas niezauważyła, lecz strzelała w stronę Derażni na naszą piechotę rozwijającą się do ataku. Wtem słyszemy szum parowozu i turkot wagonów, podjechała pancierka bolszewicka, zatrzymała się przed nami i dała

ognia ze swych dział ponad dachami „Iwaszkiewicza” na „Pioniera”, który mając tor uszkodzony wolno posuwał za nami. Nagle odezwały się nasze armatki rażąc przeciwnika z bliskiej odległości. Zaskoczony tym „Broniewik” ruszył do tyłu i cofnął się do stacji Komorowce, jednak stacja była już w ręku naszej dzielnej dziewiętnastki (19 p.p.O.L.), która z lewego skrzydła jarami i lasami zaszła na tyły bolszewickie, opanowała miasteczko Wołkowińce, gdzie kwaterował sztab brygady sowieckiej i stację Komorowce. Natychmiast nasi zniszczyli tory na stacji, pancernka bolszewicka widząc, że grozi jej odcięcie przyspieszyła swój bieg i z szaloną szybkością wjechała na stację strzelając ze wszystkich dział i karabinów maszynowych. Trzask, huk i nagle wszystko ucichło, i koła pancernki wyskoczyły z szyn i zaryły się głęboko w ziemię. W ręce 19 p.p. wpadła cała załoga pancernki i kilkanaście karabinów maszynowych. Samą pancerkę musieliśmy z wielkim żalem zostawić z braku czasu (2 dni roboty) i narzędzi potrzebnych do podnoszenia pociągu, a zresztą druga pancernka bolszewicka przybyła na ratunek wykołejonej „grocie”, która jednak trzy miesiące później odnowiona dokuczała nam bardzo pod Krzyżopolem mszcząc się za swą klęskę w Komorowcach. W marcu ściągnęli bolszewicy większe siły i pomnożyli liczbę baterii. Odtąd urozmaicali nam postój w wąwozie waląc po nas granatami i szrapnelami, szczególnie w południe, gdy parowóz przywoził nam obiad, ostrzeliwanie wzmagало się, a pancernki bolszewickie podsuwały się próbując nas zaskoczyć.

Przy ostrzeliwaniu posługiwali się bolszewicy balonami na uwięzi i aeroplanami, które prócz tego nas bombami obrzucały. Dwudziestego marca podsunęła się pancernka bolszewicka pod osłoną zawiei śnieżnej na odległość 100 kroków, przy czym o mało co nie zagarnęła naszego patrolu. Nasze dwie armatki czołowe zaraz rozpoczęły ogień; „Broniewik” bolszewicki został cztery razy trafiony, zginął tam oficer sowiecki i 8 żołnierzy, kilku było rannych. Przednia armatka została rozbita naszym pociskiem. Szczegóły te podali nam jeńcy z innej pancernki bolszewickiej. Dotychczas odległość między pozycjami naszymi a bolszewikami wynosiła 3-5 km. Pod koniec marca bolszewicy podsunęli się znacznie bliżej. Wysunięte do przodu miejsce naszego postoju bolszewicy okrążyli, w Karyczyńcach Blachowych ustawili baterie o 2 km od nas, z baterią tą ciągle mieliśmy do czynienia. Stała ona na lewo od toru pod osłoną pagórków na równej wysokości z nami, piechota bolszewicka podsunęła się pod Kryniczne i Derażnię.

Derażnia, miasto i stacja, znalazła się pod ogniem baterii bolszewickich. Ażeby bolszewików odrzucić uderzyły V i XII dywizja piechoty dwudziestego siódmego marca celem przesunięcia w przód naszych pozycji. Pociągi pancerne „Gen. Iwaszkiewicz” (tj. my) i „Pionier” stoczyły walkę z pancerkami nieprzyjacielskimi. W walce tej „Pionier” otrzymał trzy strzały w wozy i maszynę, poniósł też straty w ludziach. Patrol z naszego pociągu dotarł na odległość kilku kilometrów od stacji Komorowce i zabrał podoficera P. zmarłego z powodu upływu krwi, którego „Pionier” pozostawił. Odtąd trzymaliśmy placówkę pod Nową Hutą wysunięci 2 km przed piechotą, której placówki stały w Karyczyńcach Blachowych.

Pierwszego kwietnia mieliśmy znów wypad na Komorowce. Pod wsią Karaczyńce Rymowije (czyli Do-

mskoje) zaatakował naszą pancerkę batalion piechoty i szwadron kozaków Kotowskiego, sławnego partyzanta bolszewickiego. Puściliśmy w ruch wszystkie karabiny maszynowe i armaty i rozpędziliśmy na cztery wiatry bolszewików, którzy zostawili wielu rannych i zabitych. Patrol nasz zderzył się z oddziałem kozaków, po krótkiej walce kozacy uciekli. Łupem naszym były trzy konie.

Podczas gdy ścieraliśmy się z bolszewikami, batalion 19 p.p. dotarł do Komarowiec i uderzył na bagnety na pancerkę bolszewicką. Pięć razy zrywali się nasi do ataku, lecz bez skutku. Po ukończeniu akcji wróciliśmy na nasze stanowisko w Nowej Hucie.

Miejsce naszego postoju w Nowej Hucie dobrze było wybrane, pociąg stał w głębokim wąwozie długości 1 km; przed nami i po bokach przestrzeń odkryta ułatwiała obserwacje. Pancernki bolszewickie dojeżdżały na skraj lasu oddalonego o 1,5 km od nas.

Drugiego przed południem zauważyliśmy maszynę, która wyjechała z lasu i wolno zbliżała się ku nam. Na przodzie parowozu siedział bolszewik i kiwał na nas przyjaźnie drągiem, do którego był przywiązany kawał czerwonej płachty. Wreszcie parowóz zatrzymał się. Od nas wyruszył patrol z oficerem celem zbadania tego niezwykłego faktu. Okazało się, że parowozem przyjechali parlamentariusze bolszewicy z propozycją zawieszenia działań wojennych na tym odcinku podczas Świąt Wielkanocnych, a właściwie mieli oni polecenie prosić o spotkanie się naszych oficerów wyższych z ich delegatami. Na drugi dzień maszyna znów podjechała ku nam. Łącznik bolszewicki wysłany do nas oznajmił, że maszyną przyjechał dowódca bolszewickiego pociągu pancernego „Śmierć pasożytom” i Żyd-komunista, jednak boją się przyjść do nas. Sam zaś radził nam, ażeby Żyda zarżnąć, a dowódcę pancernki zabrać w plen*. Skończyło się na tym, że maszyna nagle ruszyła i uciekła.

Kilka dni później zdecydowana została wyprawa celem złapania bolszewickiej pancernki. Pod osłoną nocy patrol znanego pociągu pod dowództwem ppr. K i podch. F. przekradł się przez placówki bolszewickie i wszedł do wsi Koraczyńce Rymowije obsadzonej przez większe siły (dwa pułki kozaków). Zadaniem patrolu było zbadać, gdzie jest pancernka bolszewicka i ewentualnie wysadzić tor za nią. Patrol ten wszedł do budki kolejowej i od budnika dowiedział się szczegółowo o rozkładzie sił bolszewickich. Pancernki bolszewickiej nie było zupełnie. Obok budki stał dom, w którym mieszkał sowiecki dowódca odcinka.

Następnie patrol ruszył w stronę polską. Po drodze natknął się na większą placówkę bolszewicką, która patrol nasz zapytała wstrzymując: Stój, kto idzie?, na co pp. K. odpowiedział po rosyjsku: Patrol z pancernki (rozwiadka z „Broniewika”). Ażeby uniknąć dalszych badań patrol skręcił w zarośla i dostał się do swego pociągu.

Po zdaniu raportu wznowiony ruszył znowu celem złapania bolszewickiej placówki. Równocześnie nasz pociąg i „Pionier” podsunęły się cichutko tuż pod wieś. Wedęty bolszewickie znów zatrzymały nasz patrol i pytały, czy co ciekawego nie zauważyliśmy, biorąc nas za ich własny patrol. Wreszcie po otrzymaniu odpowiedzi jeden z bolszewików, któremu coś się nie spodobało

mówi: takiś czarny jak Lach. Wtedy patrol nasz rzucił się na nich biorąc całą placówkę do niewoli, przy czym i karabin maszynowy. Na odgłos walki oba nasze pociągi pancerne wjechały w środek wsi, strzelając z armat i karabinów maszynowych i ręcznych na wieś rozłożoną po obu stronach toru kolejowego. Wśród bolszewików powstała panika; niektórzy z nich sądząc, że to własna ich pancerka tak ich łupie przez pomyłkę, wybiegali przed chaty, machali rękami i wołali, żeby nie strzelać. Wreszcie dali drapaką zostawiwszy wiele koni, broni i amunicji.

Od dwudziestego kwietnia codziennie podjeżdżała pancerka bolszewicka i wypuszczała na nas ogromną ilość pocisków. Tabor nasz na tymczasowo zjechał już do Derażni, gdzie odwiedzały nas bolszewickie aeroplany obrzucając stację bombami. Stacja była zapelniona transportami wojskowymi. Było tam również 90 wagonów amunicji. Także na pozycje rzucały aeroplany bomby, na naszą bojówkę, lecz zwykle bezskutecznie.

II. Ofensywa wiosenna na Kijów-Odesse

Dwudziestego czwartego kwietnia (niektóre grupy wcześniej) przeszły nasze wojska do ofensywy w kierunku na Odesse i Kijów. Jednak na odcinku naszym przeważająca część oddziałów „gen. Iwaszkiewicza” uderzyła na bolszewików dopiero dwudziestego szóstego kwietnia. Jedynie pociągi pancerne otrzymały rozkaz wcześniej rozpocząć akcje.

Już w nocy z dwudziestego czwartego na dwudziestego piątego pociąg nasz i „Pionier” ruszyły do przodu w celach wywiadowczych. Udało się nam wtedy zająć

stację Komarowce. Następnie wróciliśmy na swe stanowisko do Nowej Huty.

Dwudziestego szóstego wszystkie oddziały przeszły do akcji. O świcie nasze pociągi pancerne zajęły stację. Pancerka bolszewicka chciała odbić stację, lecz przyjęta ogniem naszych dział cofnęła się. Przed południem dojechaliśmy do wsi Wosiatyńce naprawiając ciągle tor. Tu natknęliśmy się na pancerkę bolszewicką na odległość 300 m. Bolszewicy zerwali tor przed nami, nasze zaś pociski zerwały tor za pancerką bolszewicką, dostała też trafny strzał w bok, lecz nieszkodliwie. Podczas walki zagwoździła się nasza armatka czołowa, po wystrzale utkwiał granat w połowie lufy i więcej nie można było z niej strzelać. Założono świeżą łuskę, ta jednak zagięła się i powstała jeszcze większa komplikacja, bo nawet zamka nie było można odemknąć, ani łuski z powrotem wydobyć. Pancerka bolszewicka tymczasem spieszenie naprawiła tor. Podch. F. wyszedł z patrolem i dostał się do pancerki bolszewickiej na odległość 80 kr., wywiązała się strzelanina, w czasie której raniony został szer. M. Wreszcie pancerka bolszewicka uciekła do stacji Serbinowce. Pociąg nasz cofnął się także do stacji Komarowce w celu naprawienia zepsutego działka. Część załogi pozostała jednak, by naprawić uszkodzony tor, aby później pociąg nasz bez straty czasu mógł jechać dalej. Pomimo gwałtownego ostrzeżliwania naprawiliśmy tor, ale tymczasem nastąpiła noc.

(c.d.n.)

* „w plen” – do niewoli (ros.)

† Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Śp. Wiktor Dreher (1904-2005)



W dniu 17.10.2005 r. w Domu Kombatanta im. gen. Boruty-Spiechowicza w Szczecinie zmarł w wieku 101 lat śp. por. Wiktor Dreher. Śp. zmarły jako młody polski patriota w szeregach Orląt Lwowskich brał udział w obronie Lwowa w 1918 i 1920 roku. Był Kawalerem dwóch krzyży „Za obronę Lwowa”. Był honorowym członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej (SZŻAK). W ceremonii pogrzebowej udział

wzięli przedstawiciele Zarządu Okręgu SZŻAK w Szczecinie, poczet sztandarowy b. żołnierzy AK Obszaru Lwowskiego w Szczecinie, przedstawiciele Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich oraz przedstawiciele Domu Kombatanta.

Zorganizowana przez prezesa grupy kombatantów im. Orląt Lwowskich por. Mieczysława Rychlickiego, przy współudziale Zarządu Okręgu SZŻAK, kompania honorowa WP oddała śp. zmarłemu honory wojskowe.

Mowy pożegnalne nad trumną zmarłego wygłosili wiceprezes Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich profesor, doktor medycyny Bolesław Nagaj oraz b. żołnierz AK Obszaru Lwowskiego por. Julian Nadolski. Rodzina śp. zmarłego Wiktora okazała kombatantom, lwowiakom i wojsku wzruszającą wdzięczność za zorganizowanie tak uroczystego pogrzebu śp. Wiktorowi.

Urodzony w 1904 roku śp. Wiktor jako młodociany ochotnik w 1918 roku w szeregach Orląt Lwowskich walczył w obronie Lwowa. Podczas jednej z walk dostał się do ukraińskiej niewoli. Znalazł się tam o krok od dramatycznej śmierci. Uratowany został dzięki interwencji międzynarodowej organizacji humanitarnej. Ponownie bierze udział w obronie Lwowa, gdy miasto zostaje zaatakowane przez bolszewicką Czerwoną Armię. W 1939 roku po wkroczeniu do Lwowa napastniczej Armii Sowieckiej obawiając się aresztowania i śmierci ze strony NKWD śp. Wiktor przez zieloną granicę przedostaje się do Polski okupowanej przez hitlerowskie Niemcy. Tutaj podczas ulicznej łapanki zostaje zatrzymany przez Gestapo i wywieziony na przymusowe roboty do Niemiec. Ciężko pracując udziela dużej pomocy moralnej Rodakom i niewolnikom innych narodowości.

Cześć Jego pamięci!

por. Mieczysław Rychlicki

Śp. dr n. wet. Mirosław Jerzy Kuźnicki



Jerzy Kuźnicki – członek Oddziału TMLiKPW w Częstochowie zmarł tragicznie w dniu 26 sierpnia 2005 roku w wieku 87 lat.

Urodził się 10 kwietnia 1918 roku w Mykanowie, pow. Częstochowa.

W Częstochowie uczęszczał do Szkoły Powszechnej i Gimnazjum im. H. Sienkiewicza. W roku 1936 uzyskał maturę, po czym odbył przeszkolenie w Szkole Podchorążych przy 27 Pułku Piechoty w Częstochowie. W 1937 roku podejmuje studia na Wydziale Medycyny Weterynaryjnej Uniwersytetu Warszawskiego. Wybuch wojny w 1939 roku przerywa studia. Zostaje zmobilizowany do 74 Pułku Piechoty z Lublińca, w którym walczy z Niemcami jako dowódca plutonu ciężkich karabinów maszynowych. Po rozbiciu pułku udaje się Mu uniknąć niewoli.

W okresie okupacji hitlerowskiej próbuje przedostać się do Wojska Polskiego we Francji. Bez powodzenia. Dwukrotnie zostaje złapany przez Niemców, osadzony w obozie pracy. Znowu ucieka, ale tym razem wraca z terytorium Niemiec do Polski. Musi się ukrywać. Wyjeżdża do Warszawy, gdzie podejmuje konspiracyjne działanie w komórce legislacyjnej Komendy Głównej Armii Krajowej. Niespokojna natura ciągnie Go do bardziej zdecydowanych działań – do partyzantki. I wreszcie w 1944 roku, jako oficer KEDYWU, zostaje skierowany do 30 Poleskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej, gdzie pełni funkcję dowódcy kompanii. Po zajęciu terenów Polesia przez Armię Czerwoną zostaje aresztowany przez NKWD i wywieziony do Obozu Internowanych Oficerów Armii Krajowej w Riazaniu – ZSRR. Przebywa tam trzy lata i trzy miesiące.

Po powrocie do kraju podejmuje przerwane przez wojnę studia i w roku 1950 uzyskuje dyplom lekarza weterynarii podejmując pracę jako kierownik PZLZ Orne-ta w woj. olsztyńskim. W 1954 roku przenosi się na Opolszczyznę, gdzie w latach 1954-1956 był kierownikiem lecznicy w Krapkowicach, a w okresie 1956-1960 Powiatowym Lekarzem Weterynarii w tym mieście. W latach 1960-1975 jest Powiatowym Lekarzem Weterynarii w Oleśnie. W 1975 roku podejmuje nowe wyzwanie. Na dwa lata (1975-1977) wyjeżdża do Królestwa Maroka, gdzie pełni funkcję wizytatora stadnin koni.

Po powrocie do Polski od 1977 roku pracuje jako kierownik Zakładowego Weterynaryjnego Inspektoratu Sanitarnego w Chłodni Składowej w Częstochowie. W roku 1990 przechodzi na emeryturę, ale nie traci kontaktu z zawodem pełniąc obowiązki organu urzędowego badania zwierząt rzeźnych i mięsa aż do 2000 roku. Długie życie dr. Mirosława Kuźnickiego to nie tylko walka o wolność Ojczyzny i praca zawodowa, to również działalność społeczno-zawodowa. Pracując na Opolszczyźnie działa w Kole Powiatowym w Oleśnie i we władzach Oddziału Wojewódzkiego Zrzeszenia Leka-

rzy i Techników Weterynarii. Po powołaniu Izby Lekarsko-Weterynaryjnych aktywnie uczestniczy w działaniu Śląskiej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej będąc przez dziewięć lat członkiem Komisji Etyki, Deontologii i Historii Zawodu, w tym przez pięć lat jej przewodniczącym.

Wiele jego opracowań, artykułów, wspomnień z przeżyć wojennych i powojennych, a także pracy zawodowej czytaliśmy w „Życiu Weterynaryjnym” i Biuletynie Śląskiej Izby. Uczestniczył w Okręgowych Zjazdach Śląskiej Izby. Na ostatnio odbytym w marcu w 2005 roku otrzymał Odznakę Honorową „Meritus” za zasługi dla Samorządu Lekarsko-Weterynaryjnego nadaną przez Radę Krajową Izby. Dodać trzeba, iż od roku 1999 był Prezesem Klubu Seniora Lekarzy Weterynarii Regionu Częstochowskiego.

Przez całe swoje życie działał w różnych stowarzyszeniach w środowisku, w którym żył i pracował.

Za walkę z hitlerowskim najeźdźcą odznaczony był dwukrotnie Krzyżem Walecznych. Posiadał Krzyż Armii Krajowej, Krzyż Partyzancki i inne odznaczenia bojowe. Posiadał stopień kapitana WP. Dziesięciu autorów książek o wojnie i okupacji wymienia Jego nazwisko. Był członkiem Światowego Związku Żołnierzy Armii Krajowej, Związku Sybiraków, Koła Riazanczyków, a także Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Częstochowie.

Za pracę zawodową odznaczony był Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski, Złotym Krzyżem Zasługi, odznaką „Za Wzorową Pracę w Służbie Weterynaryjnej” oraz licznymi odznakami branżowymi i regionalnymi – Zrzeszenie Lekarzy i Techników Weterynarii nadało Mu Złotą i Srebrną Odznakę Honorową.

Był człowiekiem prawym, szczerym i serdecznym, oddanym zawodowi, pracowitym – w 1989 roku w wieku 72 lat uzyskał stopień doktora nauk weterynaryjnych. Był pełen optymizmu i pogody ducha, mimo że życie nie szczędziło Mu ciężkich chwil. Ten optymizm, pogoda ducha, humor i życzliwość, koleżeństwo jednały Mu sympatię wszystkich, z którymi spotykał się.

Ta niespodziewana śmierć zaskoczyła nas wszystkich. Będzie brakowało Go w spotkaniach organizowanych przez Śląską Izbę, Klub Seniora, Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, na spotkaniach koleżeńskich i towarzyskich różnych środowisk. Będzie brakowało nam Jego recytacji wierszy, wspomnień z lat studenckich, czasu wojny i pracy zawodowej, Jego humoru i optymizmu.

Żegnamy Cię Doktorze Mirku smutni, ale będziemy Cię wspominać serdecznie.

Koleżanki i Koledzy ze Śląskiej i Opolskiej Izby Lekarsko-Weterynaryjnej, Klubu Seniora, Przyjaciele i Znajomi, Lwowiacy i Kresowiacy, do których miłość i szacunek zapoczątkowana została w łagrach GULagu i pozostała na trwałe do końca życia.

Cześć Jego pamięci.

Zarząd TMLiKPW w Częstochowie

Wielka Dama małej sceny – Jolanta Martynowicz



W kwietniu 2004 roku przybył do Brzegu z przedstawieniem „Zemsty” Polski Teatr Ludowy ze Lwowa, a wraz z nim Jolanta Martynowicz. Nikt z nas wtedy nie wiedział, że nosi w sobie śmiertelną chorobę, która 3 miesiące później zabrała Ją z tego świata. Dzielnie walczyła z chorobą, w czym miała wsparcie swoich przyjaciół z teatru, ale tę walkę przegrała. W sierpniu 2004 roku odeszła na zawsze od rodziny, teatru i przyjaciół. Zespół teatru uczcił Jej pamięć wydaniem broszury poświęconej dokonaniom na deskach sceny, a w rocznicę śmierci wspomnieniowym wieczorem o Niej.

Kim była?

Ukończyła studia na Politechnice Lwowskiej i pracowała w zawodzie inżyniera-ekonomisty, ale jeszcze wcześniej została AKTORKĄ. Gdy jesienią 1957 roku emerytowany polonista Piotr Hausvater zakładał polski teatr we Lwowie, zgłosiła się do niego 16-letnia, skromnie ubrana, śliczna dziewczyna z ogromnymi ciemnymi oczami – Jolanta Martynowicz. W teatrze została na długie 46 lat, do swojej śmierci. Oprócz występów w polskim teatrze pracowała zawodowo, opiekowała się swoją matką i osieroconymi bratankami.

Czym był dla Niej teatr? Jak sama napisała był „po prostu życiem i sposobem na życie – to poniekąd mój dom, moje radości i moje smutki”. Był odskocznią od codziennych trosk, które niosło życie, a Ona wieczorem ubierała się w „teatr, jak w płaszcz ochronny, na pewien krótki czas, by potem wrócić w świat realny”. Wcielała się w swoje rozliczne role; od lirycznej Aliny z „Ballady ny”, poprzez dramatyczną Ismenę z „Antygony” Anouilh’a, do postaci z komedii Aleksandra Fredry, jak Podstolina z „Zemsty”, czy Elwira z komedii „Mąż i żona”, dysponowała całą paletą aktorskich emploi. Jej talent aktorski został dostrzeżony podczas prezentacji „Ślubów panieńskich” i „Panny Maliczewskiej” – dyplomowych przedstawień Zbigniewa Chrzanowskiego przed profesorami moskiewskiej szkoły teatralnej. Po tej prezentacji Zbigniew Chrzanowski otrzymał dyplom reżysera-teatrologa, zaś Jola Martynowicz propozycję studiowania w moskiewskiej szkole teatralnej, bez konkursu i bez egzaminów wstępnych. Nie skorzystała z tej oferty

i do końca pozostała wierna małej, polskiej scenie w pałacyku Bielskich we Lwowie. Jej talent z upływem lat rozwijał się i dojrzewał, budząc zachwyt widowni zarówno w remizie strażackiej w Kołomyi, jak i na deskach renomowanych teatrów Kijowa, Warszawy czy Londynu. Na przestrzeni 46 lat zagrała w 29 spektaklach, w trudnej do policzenia liczbie przedstawień. Istotą Jej talentu było to, że w kostiumie, na deskach sceny, całkowicie identyfikowała się z odtwarzaną przez siebie postacią. Gdy nie występowała na scenie szukała innych zajęć: pisała scenariusze, układała programy literackie, próbowała reżyserowania.

Ta wielka pracowitość Joli Martynowicz ma swoje korzenie w rodzinnej tradycji. Jej pradziadek – Antoni Rolle był lekarzem i społecznikiem w Kamieńcu Podolskim, nie tylko fundatorem szpitala dla ubogich, ale też historykiem i piewcą przeszłości tej ziemi, chroniącym zabytki polskiej kultury przed zniszczeniem przez carską Rosję. Rodacy uczcili go tablicą pamiątkową w katedrze katolickiej w Kamieńcu Podolskim, która zachowała się do dzisiejszych czasów. Dziadek – Michał Rolle był dziennikarzem, autorem dzieła „Ateny Wołyńskie”, członkiem komitetu budowy pomnika Adama Mickiewicza we Lwowie. Spoczywa na cmentarzu Łyczakowskim. Jola Martynowicz, podobnie jak Jej znamienici przodkowie, umiłowała polską kulturę i polski Lwów. W kołodzie, którą napisała dla przedstawienia „Szopka Lwowska”, czytamy:

*„Lwowie, miasto me
Wciąż o Tobie śnię.
Wznoszę modły
Dziś do Pana
By zachował cię.*

*W dzień zimowy, mroźny taki
Do Betlejem niby ptaki
Lecą myśli twych batarów
Gdzie Łyczaków i Kleparów
Cetnerówka i Sygniówka
Cytadela, Lewandówka.*

*Ta joj, Jezunieczku w żłobie
Wyznajemy Boga w Tobie
Cała wiara ta, Tobie wdzięcznie gra.
Luli Dziecineczko ma...”*

Jola Martynowicz została pochowana na cmentarzu Janowskim, obok swojego bratanka.

Alicja Zbyryt

Śp. mgr Teresa Słowikowska-Olejarczyk (1941-2005)

W piękne, jesienne popołudnie 5 października 2005 roku rodzina i liczne grono przyjaciół pożegnało na opolskim Cmentarzu Komunalnym wielce dla opolskiej oświaty i kultury zasłużoną mgr Teresę Słowikowską-Olejarczyk, ponad czterdzieści lat służącą swoim talentem i wiedzą nauczycie-

lom i młodzieży tu na Śląsku Opolskim i w całym kraju.

Kiedy z końcem 1990 roku w związku z kolejną reformą narodowego systemu oświatowego likwidacji ulegał Opolski Oddział Instytutu Kształcenia Nauczycieli, jego dyrektor prof. dr hab. Stanisław Rogala tak wtedy o pracy Pani Teresy m. in. napisał: „...należała do tych współpracowników, z którymi zawodowe rozstanie sprawia olbrzymią przykrość i poczucie próżni w przestrzeni wypełnionej wcześniej intelektualną mocą wspierania...”.

Począwszy od 1991 roku, aż do przejścia na emeryturę w 2003 roku pracowała mgr Teresa Słowikowska-Olejarczyk w Wojewódzkim Ośrodku Metodycznym w Opolu, była kierownikiem pracowni odpowiedzialnych za prowadzenie badań oświatowych i wdrażanie nowych rozwiązań pedagogicznych do codziennej szkolnej praktyki.

Urodziła się 14 lutego 1941 roku we Lwowie.

Wraz z rodziną w 1945 roku zamieszkała w Kłodzku, a następnie w Olecku (woj. białostockie). Tam ukończyła szkołę podstawową, a w miejscowym Liceum Ogólnokształcącym w 1959 roku złożyła egzamin dojrzałości. Na miejsce studiów wybrała Wrocław, i tu w 1946 roku po obronie z wyróżnieniem pracy „Kształtowanie się folklorystycznego warsztatu romantycznych zbieraczy pieśni ludowych” uzyskała dyplom magistra filologii polskiej. Związana stypendium fundowanym z naszym województwem podjęła w tym samym roku pracę nauczycielską w Liceum Ogólnokształcącym im. Bolesława Chrobrego w Brzegu serdecznie przyjęta przez dyrektorkę mgr Danutę Wąsacz. Uczyla języka polskiego, okresowo języka francuskiego, prowadziła bibliotekę szkolną czyniąc z niej ośrodek społeczno-kulturalnego życia placówki. Poprzez zbudowaną przez siebie sieć łączników bibliotecznych docierała do wszystkich uczniów Liceum, propagowała czytelnictwo, a jednocześnie wylaniała utalentowanych wychowanków, którzy byli aktorami Szkolnego Teatru Poezji, znanego z udziału w konkursach artystycznych, uświetniające szkolne i miejskie uroczystości. Zaprojektowała i zorganizowała Szkolną Izbę Tradycji.

W 1977 roku przyjęła propozycję przejścia do pracy w charakterze starszego wykładowcy w Opolskim Oddziale Instytutu Kształcenia Nauczycieli. Był to czas wdrażania w życie reformy oświatowej, gruntownej zmiany ulegały programy nauczania, praktycznie wszyscy nauczyciele szkół podstawowych musieli zostać objęci dodatkowym doskonaleniem, wymagało to ogromnej pracy organizacyjnej i merytorycznej. Mgr Teresa Słowikowska-Olejarczyk należała do najbardziej zasłużonych w tym dziele pracowników oświaty odpowiadających za przygotowanie nauczycieli do zupełnie nowych zadań.

Począwszy od 1980 roku poświęciła się problematyce zobiektywizowanego badania osiągnięć szkolnych uczniów. Po ukończeniu podyplomowych studiów pomiaru osiągnięć szkolnych (Gdańsk 1980, Racibórz 1982) objęła kierownictwo Pracowni Pomiaru i Dokumentacji Osiągnięć Szkolnych w opolskim Instytucie. Bardzo szybko zespół, którym kierowała został uznany za najlepszy w kraju, napisane przez kierowniczkę Pracowni studium „Budowanie i koncepcja narzędzi do pomiarów ogólnopolskich badań osiągnięć uczniów” stało się podstawowym opracowaniem, do dziś korzystają z niego teoretycy i praktycy zajmujący się problematyką oceny uczniów. W 1981 roku została sekretarzem naukowym programu radiowo-telewizyjnego „Sprawdzanie osiągnięć szkolnych”, wyniki swoich badań publikowała w czasopiśmie pedagogiczno-kulturalnych, m.in. w: „Oświacie i Wychowaniu”, „Kwartalniku Nauczyciela Opolskiego”, „Opolu”, „Polonistyce”, część opracowań trafiła do publikacji zwartych m.in. do wrocławskich „Zadań do lektury”. Wszystko to sprawiło, że dorobek pisarski mgr Teresy Słowikowskiej-Olejarczyk jest imponują-

cy, obejmuje kilkadziesiąt bardzo ważnych dla polskiej oświaty prac, do dzisiaj zachowujących aktualność, każda z nich wyróżnia się wysokim poziomem merytorycznym i krystalicznie piękną polszczyzną. Niezależnie od pracy badawczej prowadziła zajęcia dla nauczycieli w całym kraju, nieustraszona propagatorka zobiektywizowanych metod oceniania uczniów, zachęcała do podjęcia wysiłku w tym kierunku pedagogów w: Suwałkach, Częstochowie, Lublinie, Ostrołęce, Legnicy itd. W województwie opolskim z kolei przez dziesięć kolejnych lat przygotowywała i kierowała badaniami osiągnięć szkolnych w szkołach różnych typów. Przygotowane z badań raporty były cennymi dokumentami pozwalającymi władzom oświatowym i samorządowym doskonaląc lokalne systemy oświatowe. Prowadziła również zajęcia na wyższych uczelniach m.in. na Uniwersytecie Opolskim i na Uniwersytecie Gdańskim. Współorganizowała w różnych miastach konferencje i sympozja pedagogiczne, przedstawiała na nich swoje przemyślenia, zostały one ogłoszone w pokonferencyjnych publikacjach. W latach 1996-1998 przewodniczyła w Opolu Wojewódzkiemu Zespołowi Egzaminacyjnemu „Nowa Matura”, była także zastępcą przewodniczącego Okręgowej Komisji Egzaminacyjnej we Wrocławiu, odpowiadała za przygotowanie zestawów egzaminacyjnych do szkół średnich i egzaminów maturalnych. Pod jej kierunkiem i redakcją w opolskim Wojewódzkim Ośrodku Metodycznym ukazała się seria „Sylabusów”, poradników ułatwiających przygotowywanie się do różnych szkolnych egzaminów, ukazały się one w wielotysięcznych nakładach. W latach 1993-1995 była kierownikiem naukowym zaprojektowanego przez siebie ogólnopolskiego programu badawczego „Diagnoza potrzeb edukacyjnych nauczycieli”. Do ostatnich chwil swojego życia brała udział w pracach Centralnej Komisji Egzaminacyjnej w Warszawie, przy tworzeniu standardów wymagań egzaminacyjnych jako podstawy przeprowadzenia egzaminów maturalnych. Zainicjowała i przeprowadziła w latach 1992-1996 kolejnych pięć „Uczniowskich Warsztatów Dziennikarskich”, sumujących dorobek edytorski placówek oświatowych na Opolszczyźnie i propagujących twórczość pisarską wśród uczniów i nauczycieli.

Wybitna polonistka, współautorka pionierskich w kraju i w naszym regionie działań i prac w dziedzinie pomiaru dydaktycznego, niezwykle wymagająca przede wszystkim od siebie, umiała – jako szefowa Pracowni i zespołów – wśród współpracowników zdobyć wielki szacunek, cieszyła się niezwykle autorytetem konsekwentnego, twórczego i pozytywnie motywującego przełożonego.

Pozostawiła po sobie żal i serdeczną pamięć, pamięć człowieka szlachetnego, prawego i pięknego w najlepszym i najszerszym tego słowa rozumieniu.

Odznaczona została Złotym Krzyżem Zasługi, Medalem Komisji Edukacji Narodowej. Otrzymała Nagrodę Ministra Oświaty i Wychowania oraz Nagrodę Kuratora Oświaty w Opolu.

Zmarła 28 września 2005 roku. Pochowana została w Opolu.

Jerzy Duda

Komisja Historyczna przy Zarządzie Okręgu Związku Nauczycielstwa Polskiego w Opolu

Sp. Adam Sowiński (1926-2005)



W dniu 13 października 2005 r. pożegnaliśmy na Cmentarzu Jerozolimskim w Nysie Adama Sowińskiego urodzonego 24.09.1926 r. na Lewandówce we Lwowie, gdzie rozpoczął naukę w szkole podstawowej im. Kazimierza Wielkiego. W okresie późniejszym, kiedy rodzice przenieśli się z rodziną do miasta, chodził do klas wyższych do słynnej szkoły „Orląt” im. Sienkiewicza na „Gródku”,

którą ukończył w 1943 r. Jak większość starszej młodzieży tej szkoły brał czynny udział w akcjach zbrojnych Armii Krajowej. W roku 1944 został powołany do Ludowego Wojska Polskiego, w którym służył do 1946 r. Po ukończeniu Szkoły Podoficerskiej po roku awansowany na stopień kaprała i przeniesiony na pisarza do Sztabu Jednostki. Posiadając wybitne zdolności rysunkowe, przy sporządzaniu gazetek ściennych w świetlicach wojskowych zdobył nowy zawód dekoratora, który przydał mu się w życiu prywatnym. Po wyjściu z wojska przeniósł się z Zabrza do Nysy, gdzie był już jego ojciec Eugeniusz i szwagier Marian. Przez kilka lat pracował jako dekorator w Powiatowym Związku Gminnych Spółdzielni i Powszechnej Spółdzielni Spożywców, a następnie po zatrudnieniu się w Zakładach Urządzeń Przemysłowych w dziale reklamy i po uzupełnieniu szkolenia

zawodowego otrzymał tytuł mistrza w zawodzie malar-skim, w którym pracował aż do emerytury. Uhonorowany został wieloma odznaczeniami i dyplomami. Niezależnie od pracy zawodowej wolny czas poświęcał pracy społecznej. Do Towarzystwa Miłośników Lwowa należał od chwili jego powstania tj. od 1988 roku, najpierw jako członek zwyczajny, a później jako członek Zarządu Oddziału, a ponadto prowadził kronikę oddziałową. Oddział TMLiKPW w Nysie przed 17 laty, kiedy go zakładaliśmy, liczył wówczas ponad 200 lwowiaków. Obecnie liczy kilkudziesięciu kresowiaków, z których nie wszyscy przychodzą, a niektórzy składki opłacają przez wnuków. Z każdym dniem ubywa naszych krajanów, a stwierdzamy to chodząc po cmentarzach, gdzie przybywa nowych nazwisk. Adam tęsknił do rodzinnego „Grodu”. Wynikało to z częstych rozmów z powracającymi z wycieczek kresowych oraz z oglądania zdjęć kresowych, zwłaszcza Lwowa. W maju br. prosił koleżankę wyjeżdżającą na wycieczkę do Lwowa, ażeby mu zrobiła zdjęcie domu, w którym mieszkał przy ul. Lwowskich Dzieci 36. Zdjęciem tym cieszył się jak małe dziecko. Dwa dni przed śmiercią oglądając zdjęcia z otwarcia Cmentarza Orląt Lwowskich miał łzy w oczach z żalu, że już nie może pojechać do Lwowa z powodu złego stanu zdrowia.

Zmarł nagle lwowianin z urodzenia, nysanin z wyboru.

Niech mu ta ziemia nyska, którą ukochał, lekka będzie. Niech spoczywa w Pokoju.

Józef Drzazga
(rodak z Łyczakowa)

Errata do Nr. 5 (80) 2005 r.

	jest	ma być
okładka I str.	A. Parzywara	A. Przywara
str. 44, tytuł wiersza	Morituri	Morturi

W „SF” Nr 5 (88) / 2005, s. 3, szp. lewa przez pomyłkę nie wymieniono Uniwersytetu Rzeszowskiego i Przedsiębiorstwa Komunikacyjno-Samochodowego S.A. w Rzeszowie, głównych sponsorów tablicy ufundowanej profesorom lwowskim w Rzeszowie. Za pomyłkę Redakcja przeprasza.

Gdzie kupić „Semper Fidelis”

Przypominamy mieszkańcom **Warszawy** i okolic, że pismo „Semper Fidelis” jest do nabycia w Galerii Myśliwskiej Elite Expeditions przy ulicy Tarczyńskiej 1, której właścicielką jest lwowianka p. Izabela Malec, tel. (022) 8245969 (koło hotelu Sobieski).

Informujemy także PT Czytelników „Semper Fidelis” we **Wrocławiu** i okolicy, że nasze czasopismo sprzedawane jest w księgarni „Ossolineum”, która obecnie – po przeniesieniu z Rynku – znajduje się przy ul. Kołłątaja 16 (w pobliżu Dworca Głównego PKP).

Lista Ofiarodawców w miesiącach X-XI 2005 r.

- | | |
|--|--|
| 1. Bożena Sobolewska, Białostoczek,
pomoc świąteczna 50.- | 7. Józef Wojciechowski, Legnica 50.- |
| 2. Adam Nikorowicz, Dębica,
Cmentarz Orląt Lwowskich 20.- | 8. Joanna Ciechanowska, Gliwice,
pomoc świąteczna 100.- |
| 3. Andrzej i Elżbieta Poraj-Malina, Warszawa,
na wydawnictwo 200.- | 9. Dr T. Błażyński, Anglia, pomoc świąteczna 90.- |
| 4. TMLiKPW Oddział Kłodzko, na pomoc
Polakom na wschodnich Kresach 1000.- | 10. Zdzisław Szuba, Szczecin,
na wydawnictwo 200.- |
| 5. Saturnin Wasilewski, Gostyń 100.- | 11. Danuta Mantke, Wrocław,
pomoc świąteczna 200.- |
| 6. TMLiKPW Oddział Kielce,
Cmentarz Łyczakowski 2000.- | |

Wszystkim Szanownym Ofiarodawcom składamy najserdeczniejsze podziękowania.

Informacje

Prof. dr hab. Witold Zdanowicz wydał monografię „Monte Cassino, Ankona, Bolonia – 1944-2004”. Książka zawiera kilkadziesiąt biogramów żołnierzy gen. Andersa. Ukazała się w wydawnictwie „Śląsk” w Katowicach.

Informujemy PT Czytelników, że prenumerata dwumiesięcznika „Semper Fidelis” na rok 2006 wynosi 35 zł. Nr konta znajduje się na II stronie okładki.

Redakcja „Semper Fidelis”

Contents

The new Polish Saints: archbishop Józef Bilczewski and rev. Zygmunt Gorazdowski	1
Danuta Śliwińska – Christmas is coming – some Carpathian huculs' recipes for traditional festive meals	2
Remigiusz Węgrzynowicz – „Dulce et decorum est pro patria mori...” – the fates of Poland during World War II and after	5
Zbigniew Umański – Borderland chronicle	8
Marek Rogalski – Cruel annihilation of the Polish village Huta Pieniacka by Ukrainian fascists in 1944	13
Alicja Zbyryt – Zadwórze, the Polish Thermopylae	14
Helena Wiewiórska – The Borderlanders Abroad	15
Eugeniusz Dmytrów – Kosaczów – an interesting quarter of Kołomyja	18
Władysław Bohr („Sas”) – In the Soviet P.O.W. camps (cont.)	22
Janusz Ragankiewicz – Our expulsion from native Lwów (cont.)	25
Zbigniew Umański – Celebration of the Lwów Days in Warsaw	29
Zbigniew Umański – Exhibition of Lwów keep – sakes after Marshal Józef Piłsudski	30
Eugenia Dąbrowska – Polish school youth from Truskawiec on vacation organized by the Lwów Lovers Society at Tarnów	31
Marian Wiszniewski – XVth anniversary of Lwów Lovers Society Section at Świdwin	32
Wanda Butowska – Music in Lwów on the VIIth Lwów Days in Poznań	34
Piotr Jackowski – XVth anniversary of the Lwów Lovers Society Section at Stalowa Wola	36
Piotr Franków – Borderlanders meeting at Rogi near Gorzów Wlkp.	37
Janina Baj – Borderland meetings	37
Jerzy Duda – Beautiful Lwów in painting and sculpture	38
Aleksander Smoliński – without "Fire and Sword" at Zbaraż (cont.)	39
Anna Walisch-Machalica, Zofia Walisch, Stanisław Walisch – Tragic vicissitudes of our Father the late Hugon Walisch	42
Piotr Marek Stański – Unveiling of the monuments of Jan III Sobieski in Lwów and Adam Mickiewicz at Stanisławów in 1898	46
Remigiusz Węgrzynowicz – About some Borderlanders dispersed over the world	48
Jan Dobrucki – The Hearth – a poem	48
Józef Onoszko – The Jazłowiec Uhlans	49
Zbigniew Berling – A sentimental journey to the Borderland roots	49
Henryka Wolna-Van Das – The Lwów cadets coming to Silesian insurgents' aid	52
Iwo Werschler – From Podhajce to Monte Cassino	54
Diary of the armoured train "Gen. Iwaszkiewicz" in the Polish-Soviet war of 1920	58
OBITUARY COLUMN	
Mieczysław Rychlicki – The late Wiktor Dreher	60
Tragic death of the late dr Mirosław Jerzy Kuźnicki	61
Alicja Zbyryt – The late Jolanta Martynowicz, a Great Lady of small theatre stage	62
Jerzy Duda – Obituary of the late Teresa Słowikowska-Olejarczyk	62
Józef Drzazga – Farewell to the late Adam Sowiński from Lwów	64
Errata	64
Where to buy „Semper Fidelis”	64
List of Donors	64
Informations	65



Świąteczni goście jadą do Lwowa